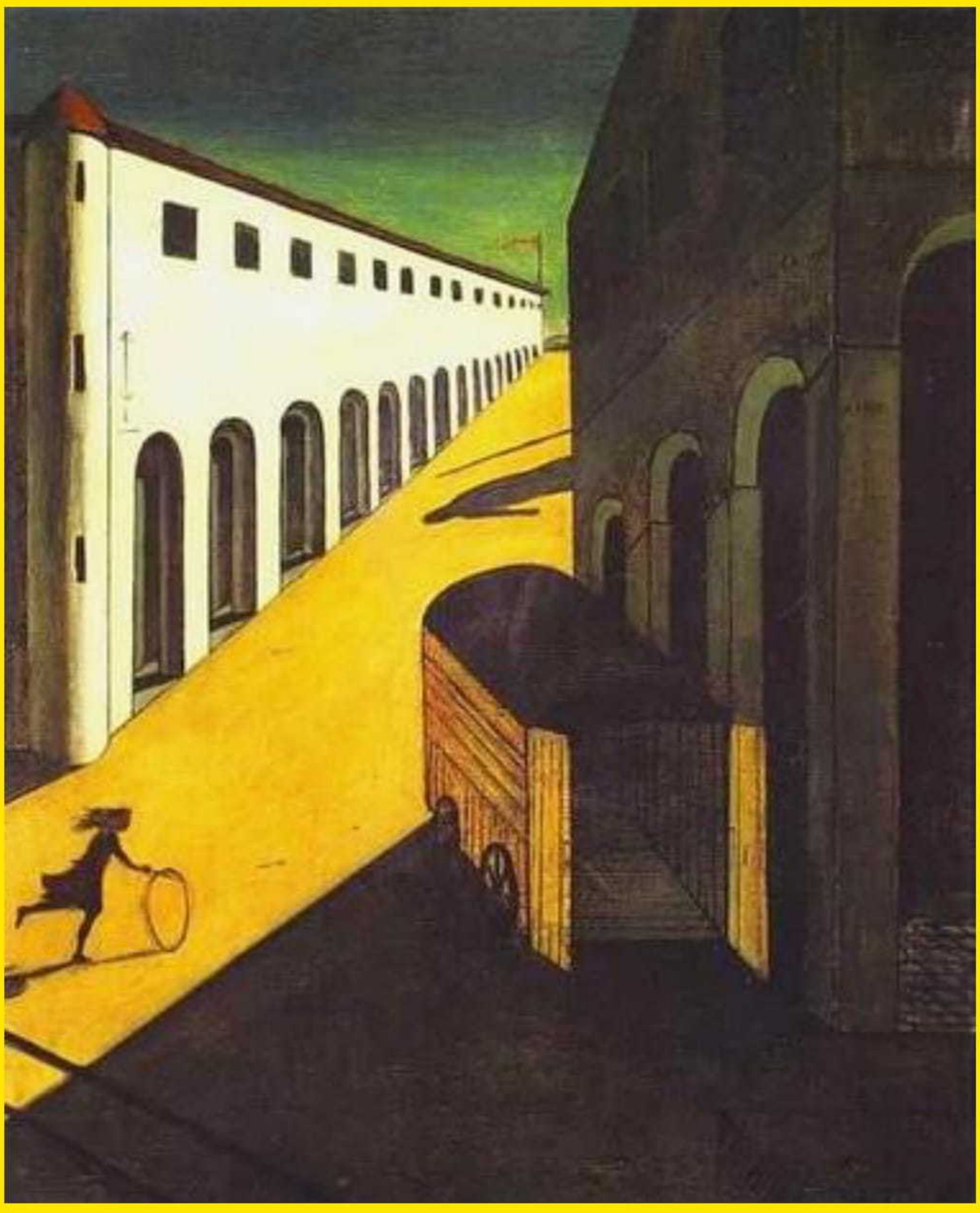


# ALMANAX

# STUDENCKI

2022 VOL. 2

NR 2. LATO





# Stopka

**AlmanaX Studencki**

**Almanach Twórczości Artystycznej Studentów Uniwersytetu Gdańskiego**

**Vol. II 2022, Nr 2 Lato**

**Koło Naukowe Teoretyków Literatury UG**

**Patronat:**
**Wydział Filologiczny UG**
**Instytut Filologii Polskiej UG**

**Redakcja: Michał Bolek (Dział Przekładu), Joanna Danowska (Działy Plastyczne), Bartosz Dłubała (Ekspozytura Poznańska), Patryk Dzikiewicz, Dominika Plaskota (Dział Prozy „W stronę fantastyki"), Alicja Smaruj, Paulina Sokólska (Dział Prozy „W stronę liryki"), Marysia Wrzeszcz (Dział Poezji), Aleksandra Zdanowicz, Maciej Dajnowski (Bałagan i Opóźnienia)**

**Adiustacja, korekta, redakcja:** ***Co mi zrobisz, jak mnie złapiesz? DIY***

**Typografia i skład:** ***Joa DIY & Sophrosyne DIY***

***Concept art*** **i oprawa graficzna:** ***Joa DIY & Yōkai DIY***

**Na okładce:**

**Giorgio de Chirico,** ***Misterio e malinconia di una strada*** **(1914)**

**Gdańsk MMXXII**

© Kacper Buńkowski, Beata Budzkowska, Philip K. Dick, Bartosz Dłubała, Michał Harat, Zuzanna Heger, Michalina Janas, Szymon Kamiński, Tadeusz Karabowicz, Aleksandra Kasprzak, Klaudia Kłosowska, Martyna Krawcewicz, Patrycja Kuchta, Laura Lange, Martyna Ludkowska, Katarzyna Łada, Przemysław Mazurkiewicz, Paulina Mocka, Igor Muchowski, Станіслав Новицький (Stanisław Nowycki), Adrian Krystian Pacuszka, Róża Piotrowska, Malwina Prusinowska, Kinga Sokołowska, Paulina Sokólska, Jan Szopa, Oliwia Walijewska, Milena Zielińska

© AlmanaX Zespół

Wszelkie reprodukcje rysunków, malarstwa, grafik, fotografii i innych takich zostały użyte w celach wyłącznie edukacyjnych i jedynymi dysponentami praw autorskich są ich właściciele. Zresztą tam, gdzie z takich lub owakich przyczyn zabrakło odpowiedniej adnotacji, pochodzą one na ogół z domeny publicznej Wikimedia Commons. :D

W składzie wykorzystano darmowe fonty Fisherman, Monocracy Cuts and Clips oraz WC Fetishist Bta.

Numer zamknięto w Halloween 31 października 2022 r.

Kontakt:

e-mail: almanax.redakcja@gmail.com

Messenger: m.me/100172365560354

FB: https://www.facebook.com/AlmanaX-100172365560354

Instagram: @almanax.almanach

Tumblr: https://almanax-almanach.tumblr.com/

WWW: https://fil.ug.edu.pl/wydzial_filologiczny/instytuty/instytut_filologii_polskiej/dzialalnosc_instytutu/kola_naukowe/kolo_naukowe_teoretykow_literatury_ug

Fejs

Inst

Stronka

Tumbler



# SPIS TRESCI


Spis treści 3

Wstępniak 6

**UKRAINA..... 7**

**Ukraina w (kilku) obrazach 8**

Свято-Успенська Святогірська лавра (Ławra Świętogórska) 8

Kalush / Kalush Orchestra 14

Чернівці / Czerniowce 18

**Dla Ukrainy 30**

Martyna Krawcewicz, * * * [Dzień taki jak zawsze] 30

**POEZJA..... 34**

Bartosz Dłubała, * * * [Jeśli musisz już wyjeżdżać] 35

Bartosz Dłubała, * * * [przygryzam palec żeby było dobrze] 36

Bartosz Dłubała, * * * [za dolara nie można wyglądać jak milion] 37

Bartosz Dłubała, * * * [Za Mamusię jadło się więcej] 38

Bartosz Dłubała, *Obiekcje* 39

Станіслав Новицький (Stanisław Nowycki), * * * [ліплені голови з попелу] 40

Станіслав Новицький (Stanisław Nowycki), * * * [wyrzeźbione głowy z popiołów],
przeł. Tadeusz Karabowicz 40

Станіслав Новицький (Stanisław Nowycki), * * * [Лесі Степовичці] 42

Станіслав Новицький (Stanisław Nowycki), * * * [Łesi Stepowyczce],
przeł. Tadeusz Karabowicz 42

Michalina Janas, *nie mam ciebie* 43

Michalina Janas, *Cudzoziemka* 44

Michalina Janas, *dziewanna* 45

Michalina Janas, * * * [jesteśmy zmuszone / do rodzenia] 46

Aleksandra Kasprzak, *historie ze zlewu* 47

Adrian Krystian Pacuszka, * * * [dziś w kinie studyjnym] 48
Adrian Krystian Pacuszka, *zapowiedź* 49
**Fraszka** **50**
Paulina Sokólska, *Infomercial* 51
Paulina Mocka, *Eat* 60
Patrycja Kuchta, *Góralki (wadowickie)* 61
Laura Lange, *Sapho na Tinderze* 62
Katarzyna Łada, *Czarna Perła* 65
Klaudia Kłosowska, *Księga XI* 66
Michał Harat, *Człowiek z żelaza* 67
Paulina Sokólska, *Zupa jak u mamy* 71
Paulina Sokólska, *Kuchenne rewolucje* 72
**PROZA** **73**
**W stronę liryki** **74**
Beata Budzkowska, *Jeż* 74
Kinga Sokołowska, *Spomiędzy* 78
**W stronę postmoderny** **81**
Paulina Sokólska, *Eternity* 81
Beata Budzkowska, *Apostazja* 83
**W stronę fantastyki** **85**
Malwina Prusinowska, * * * [Uśmiecham się?] 85
Ävælíne, *Varinate* 90
Oliwia Walijewska, *Aquila* 103
Szymon Kamiński, *Bunt zwierząt* 108
**COLLAGE** **120**
Zuzanna Heger, *Kolaże* 121
**SCENARIUSZ** **126**
Przemysław Mazurkiewicz, *Obcy!* 127

**ESEJ**..... **134**

Jan Szopa, *Apokalipsa mojego ojca* 135

**REPORTAŻ**..... **142**

Paulina Mocka, *Samodzielne podróżowanie oczyma kobiety* 143

**FOTOGRAFIA**..... **149**

Róża Piotrowska, *Fotografie* 150

Igor Muchowski, *Fotografie* 153

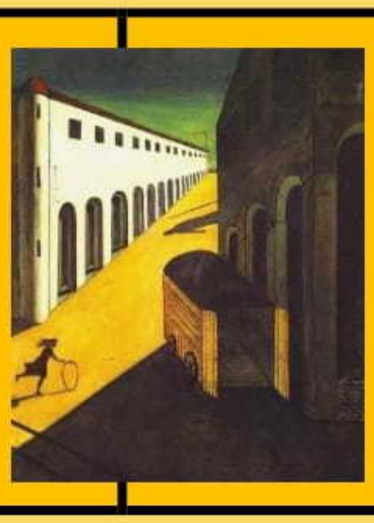
Milena Zielińska, *Fotografie* 155

Bartosz Dłubała, *Fotografie* (*Starorzecze*, *Ba-lot*, *nad*, *Ambona*) 160

Kacper Buńkowski, *Fotografie* 164

**Nasze podwórko**..... **174**

**Noty biograficzne**..... **183**



# WSTĘPNIAK
## TO IEST
# EDYTORIAŁ

Będzie krótko, oi!, krótko będzie. Straszny poślizg. Taka tradycja. To krótko będzie.

A więc. Po pierwsze. Zaczynamy od „a więc”, ponieważ nie należy zaczynać od „a więc”. Czas na zmiany.

Po drugie. Czas na zmiany i zmiany będą wkrótce. Na razie eksperymentujemy ze składem, a od najbliższego numeru…

Po trzecie. Oczywiście, w kolejnym regularnym numerze „AlmanaXu” coś o Ukrainie i dla Ukrainy. Nie będziemy się tłumaczyć. Sami najlepiej wiecie. A komu się nie podoba, to won.

Po czwarte. Z zawartością też rytualnie eksperymentujemy, ale nie aż tak znowu bardzo, więc bez paniki, powinniście dać radę. Proza, poezya, scenaryusz, esey, reportaż, fotogramy i heliograwiury. I też inne takie.

Po piąte. Mamy stałą Expozyturę Poznańską. Rozpoznacie to po coraz większej grupie Autorek i Autorów z Wielkopolski. Pracujemy nad Stałą Expozyturą Krakowską…

Po szóste. Trzeba się wreszcie na spokojnie zastanowić, czy Redakcyyny Sekretaryyant powinien nadal pisać te wstępniaki. Zestarzał nam się misiuk, zesiwiał i kurzem pokrył. Może i czas się takiej formuły pozbyć. I dziada z nią razem.

Chór Erynii
*Na śmietnik z nim, na śmietnik precz!*

Po siódme. Krótko miało być, więc jest krótko. Nie spać, zwiedzać.

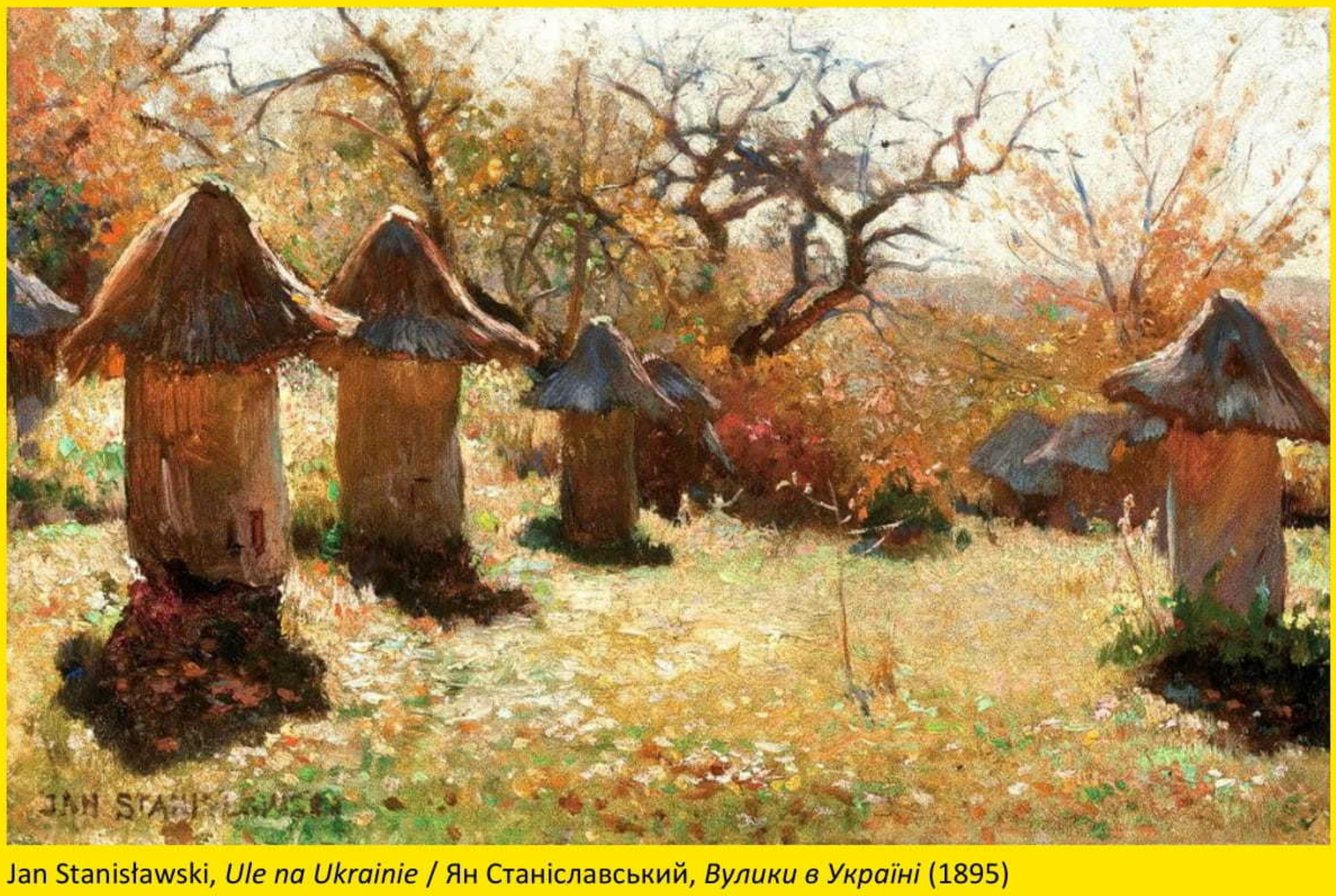
Z prekariackim pozdrowieniem: Oi! Oi!

* * * * *  * * *

[podpis nieczytelny]



# UKRAINA




Jan Stanisławski, *Ule na Ukrainie* / Ян Станіславський, *Вулики в Україні* (1895)

**Свято-Успенська Святогірська лавра (Ławra Świętogórska)**

Святогірськ (Swiatohirśk, Świętogórsk) to nieco ponad czterotysięczne miasteczko w obwodzie donieckim, leżące nad Dońcem (Siwerśkim). Słynne z położonego w pobliżu zabytkowego monastyru – Ławry Swiętogórskiej. Jest to monastyr męski, od roku 2004 ławra, trzecia w Ukrainie po Peczerskiej (w Kijowie) i Poczajowskiej (w Poczajowie na Wołyniu). Jest ważnym centrum monastycznej duchowości prawosławnej Wschodniej Ukrainy, Ukrainy Słobodzkiej, Naddonia, rosyjskich obwodów kurskiego, biełgorodzkiego, woroneskiego oraz Kubania. Należy do Ukraińskiej Cerkwi Prawosławnej Patriarchatu Moskiewskiego.

Pierwsze wzmianki piśmienne o miejscu kultu pochodzą z roku 1526, choć istnieje opinia, że najwcześniejsze osadnictwo chrześcijan miało tu miejsce jeszcze przed chrztem Rusi – w jaskiniach na brzegach Dońca. W XVI-XVII wieku monastyr uważany był za religijną twierdzę pomiędzy tatarskim stepem a katolicką Polską, znaleźli tu między innymi schronienie prawosławni mnisi z Ławry Poczajowskiej, gdy przystąpiła ona do kościoła unickiego. Aż do ugody perejasławskiej (w 1659 roku) o klasztor zmagali się z wojskami moskiewskimi kozacy pułkownika Iwana Bohuna (po ugodzie monastyr pozostał pod kontrolą Moskwy). Po sekularyzacji dokonanej przez Katarzynę II w 1788 r. i rabunku archiwów i zbiorów dokonanym przez Rosjan klasztor wszedł w posiadania kniazia Potiomkina.

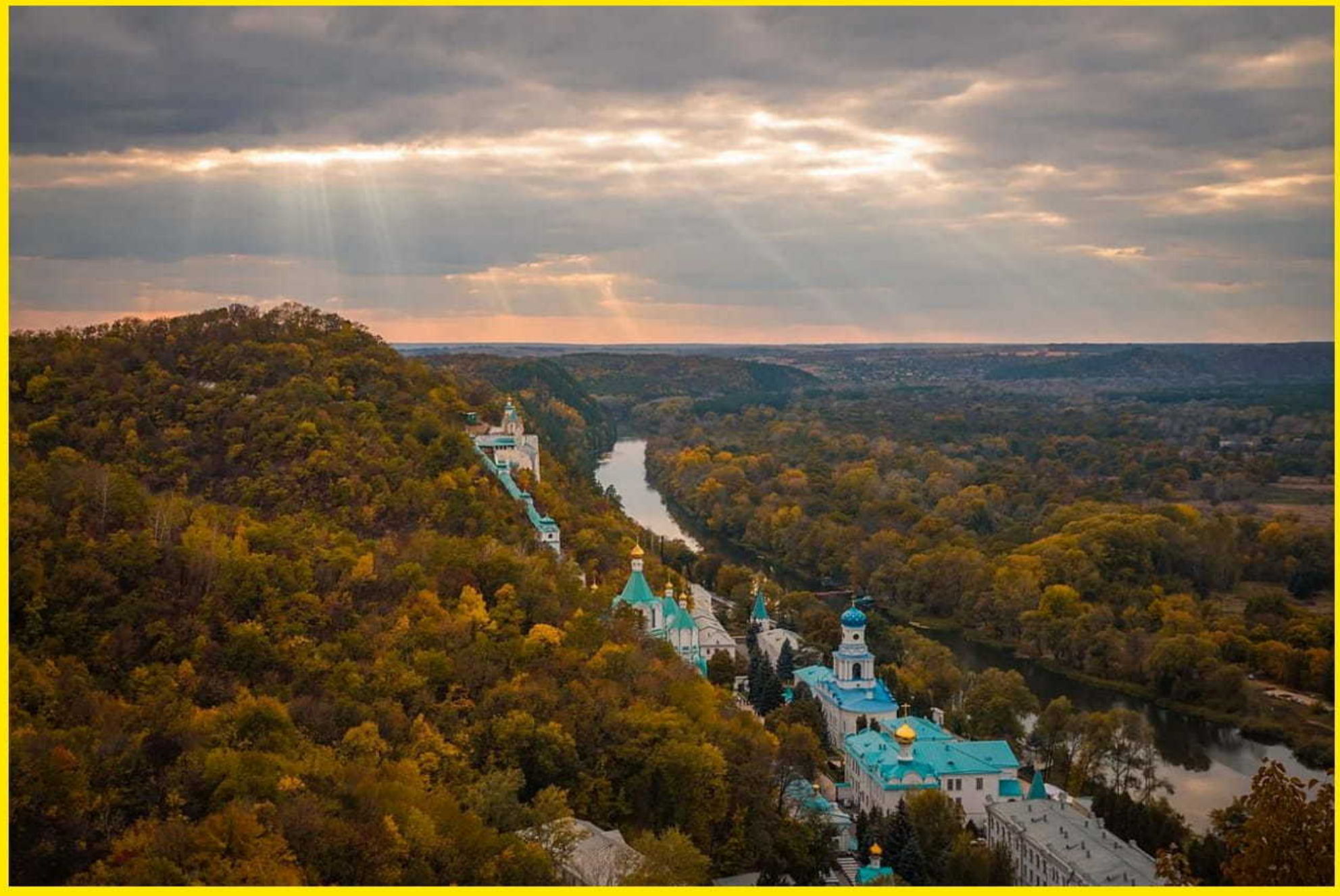
Monastyr ponownie otwarto w roku 1844. Powstały wówczas m.in. monumentalny Sobór Zaśnięcia Bogurodzicy (Uspeńśkyj) i Cerkiew Pokrowśka. Przed I wojną światową żyło tu około sześciuset mnichów.

Po rewolucji radzieckiej, w 1922 roku, monastyr zamieniono na ośrodek wypoczynkowy, zniszczono skity (pustelnie) Arsenyjewśkyj, Ochtyrśkyj i Spasiw, cerkwie Preobrażeńśką, Wsichswjatśką i Petro-Pawliwśką. Sobór Uspeńśkyj zamieniono na kinoteatr.

Zespół klasztorny uznano za zabytkowy w roku 1980. W latach 1992-95, już po odzyskaniu przez Ukrainę niepodległości, trwały prace rekonstrukcyjne. W pierwszej ćwiartce wieku XXI w monastyrze mieszkało ponad stu mnichów.

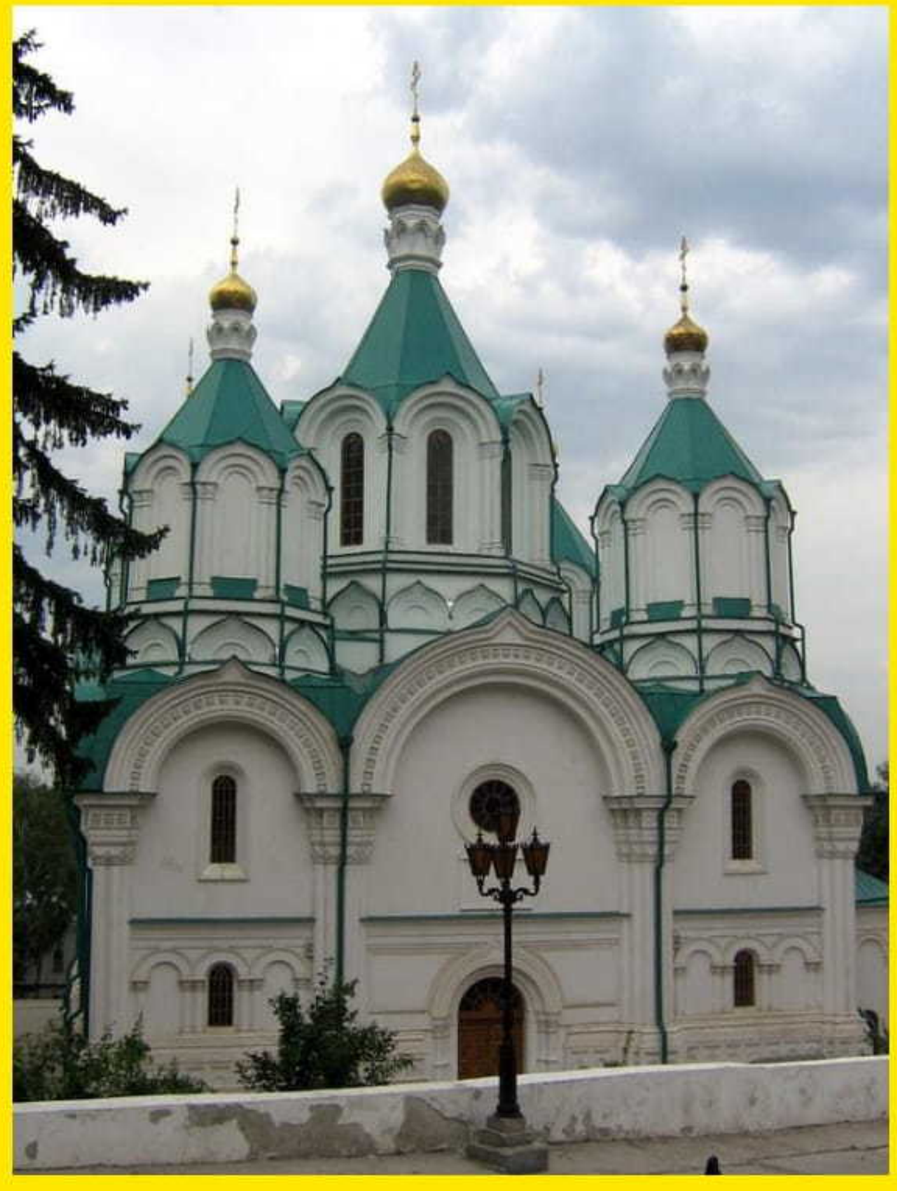
Od początku rosyjskiej agresji na Ukrainę w roku 2014 kler ławry aktywnie kolaborował z okupantami. W klasztorze ukrywał się między innymi znany terrorysta, pułkownik fsb, girkin (striełkow), niektórzy mnisi klasztoru brali czynny, zbrojny udział w walkach przeciwko Ukrainie, opowiadając się za stworzeniem tzw. noworosji i przyłączeniem terytoriów okupowanych do federacji rosyjskiej.

Mimo kolaboracji, wiosną 2022 roku klasztor stał się celem dla rosyjskiej artylerii i lotnictwa. Uszkodzono budynki, były ofiary pośród osób przebywających na terenie ławry. W związku ze zniszczeniami, 4 czerwca 2022 r. Rada Najwyższa Ukrainy zwróciła się formalnie do UNESCO o usunięcie federacji rosyjskiej z grona państw współtworzących ten organ ONZ.

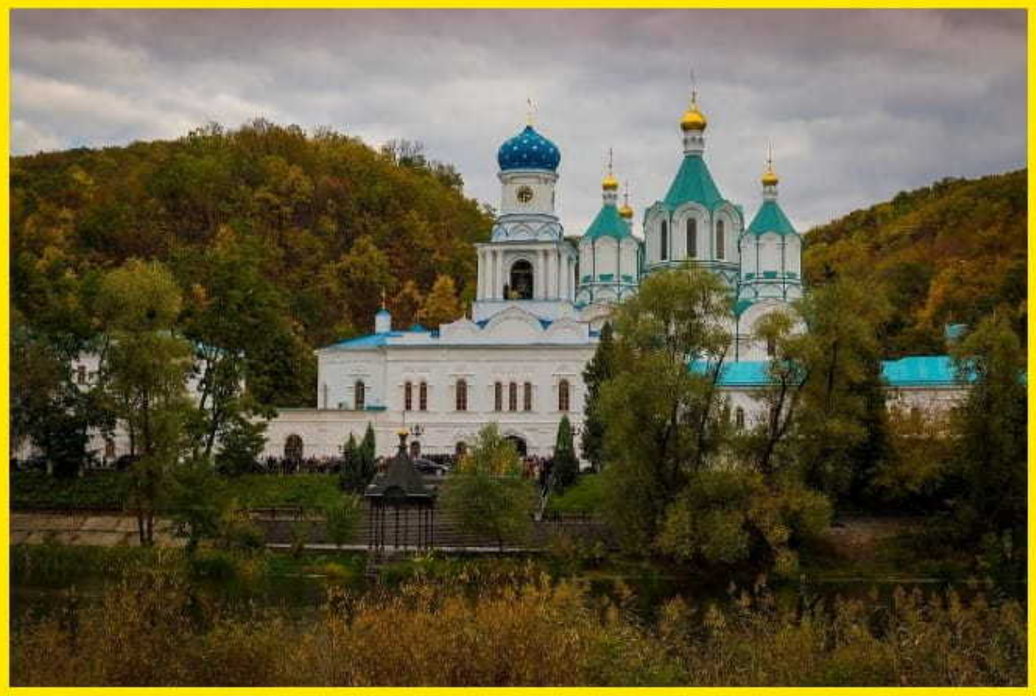


Ławra Świętogórska w roku 2014. Źródło: Wikipedia (UA)

Po prawej: Ławra Świętogórska. Sobór Uspeńskyj.
Źródło: Wikipedia (UA)



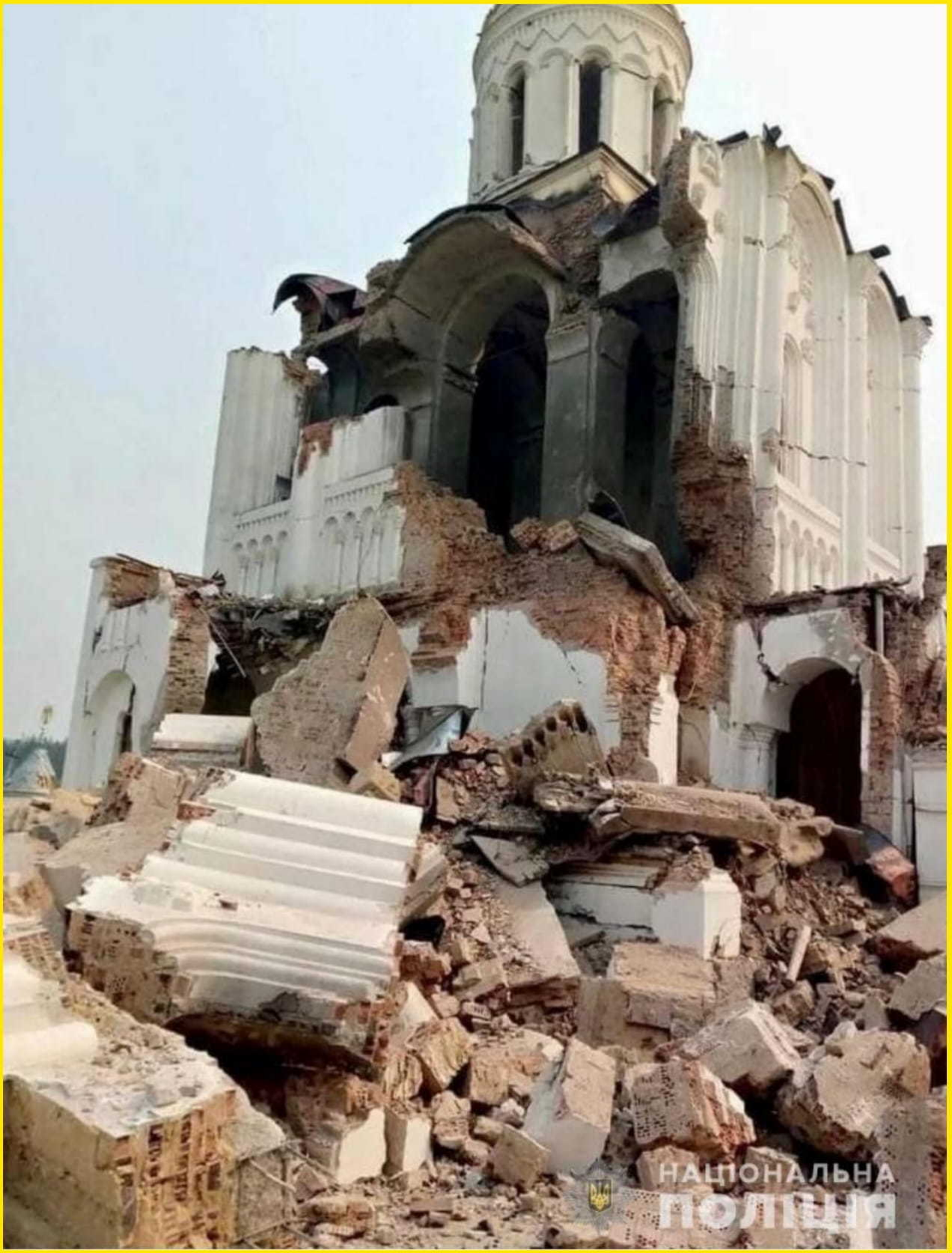
Poniżej: Ławra Świętogórska. Cerkiew Swjato-Pokrowśka.
Źródło: Wikipedia (UA)



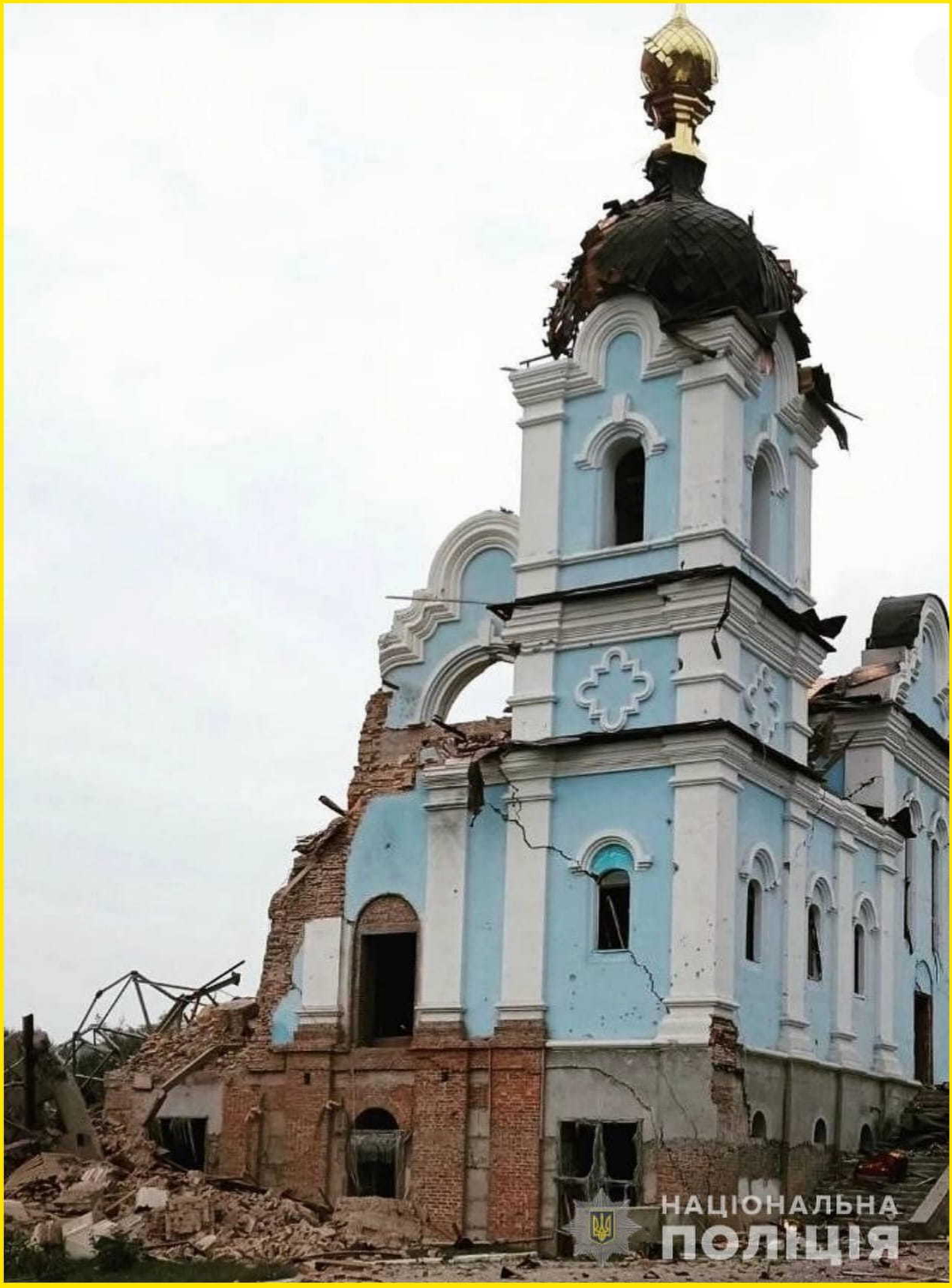


Ławra Świętogórska. Cerkiew Mykołajiwśka. Źródło: Wikipedia (UA)






Ławra Świętogórska. Cerkiew Heorhiiwśka skitu Heorhiiwśkiego po rosyjskim ostrzale artyleryjskim wiosną 2022 r.
Żródło: Policja ukraińska




Ławra Świętogórska. Cerkiew ikony „Wsich Skorbotnych Radist'" po rosyjskim ostrzale artyleryjskim wiosną 2022r.
Żródło: Policja ukraińska



Źródło: agencja UNIAN

4 czerwca 2022 r.
Płonie Wsichswjatśkyj skit Ławry Świętogórskiej




Źródło: Źródło TPYXA.net




**Kalush** to kijowski zespół hip hopowy powstały w roku 2019. Jego nazwa pochodzi od miana rodzinnej miejscowości lidera: Калуш (Kałusz) to miasto rejonowe w obwodzie iwanofrankiwśkim, z którego pochodzi raper – wokalista i tekściarz – Олег Псюк (Ołeh Psiuk) aka Псючий Син (Psi Syn). Prócz niego w projekt zaangażowani są DJ Влад Курочка aka MC Килиммен (Wład Kuroczka aka MC Kyłymmen), drugi wokalista Олександр Слобояник aka Саша Таб (Ołeksandr Słobojanyk aka Sasha Tab) oraz multiinstrumentaliści Ігор Діденчук (Ihor Didenczuk), Тимофій Музичук (Tymofij Muzyczuk) i Віталій Дужик (Witalij Dużyk). Do niedawna drugim wokalem był Андрій Гандзюк aka Джонні Дивний (Andrij Handziuk aka Johnny Strange).

Już w roku swych narodzin Kalush podpisał umowę z legendarną nowojorską wytwórnią Def Jam (odpowiedzialną m.in. za sukcesy Slayera, Beastie Boys, Public Enemy, LL Cool J-a czy Snoop Doga). Pod ich sztandarami Kalush wydali dwie płyty studyjne: „XOTIH" („HOTIN") oraz „Йо-Йо" („Jo-Jo"; feat. Skofka), obie w roku 2021.

W tym też roku ci sami muzycy powołali do życia projekt równoległy pod nazwą **KALUSH Orchestra**. KALUSH Orchestra rap łączy z muzyką ludową i tradycyjną – ukraińską. Pod tym szyldem Psiuk i spółka zostali reprezentantami Ukrainy w 66. Konkursie Piosenki Eurowizji, który zwyciężyli piosenką zatytułowaną „Stefania" („Стефанія").

Podczas finału (14 maja 2022 roku) grupa wezwała Europę do wsparcia broniącego się Mariupola i twierdzy Azowstal. Już 15 maja świat obiegło nagranie wideo, na którym *a capella* śpiewa „Stefanię" jeden z obrońców Azowstalu (działo się to dosłownie kilka dni przed ustąpieniem Obrońców z terenu Kombinatu).

30 maja muzycy KALUSH Orchestra sprzedali statuetkę nagrody na aukcji charytatywnej. Spieniężyli także charakterystyczny, różowy kapelusz, w którym wystąpił Psiuk. Cena nagrody osiągnęła 900 000 dolarów, kapelusz zresztą także sprzedał się nieźle – za 11 milionów hrywien. Zysk z aukcji artyści przeznaczyli na zakup wywiadowczo-bojowego drona UKRSPECSYSTEMS PD-2 dla armii ukraińskiej. Wkrótce też sami powrócili w szeregi Sił Zbrojnych Ukrainy, z których przepustki otrzymali tylko na czas konkursu Eurowizji.



Kalush. Źródło: Facebook

Kalush. Źródło: concert.ua







Powyżej: KALUSH Orchestra 2022. Źródło: eurovision.tv

Poniżej: KALUSH Orchestra w przeddzień Konkursy Eurowizji 2022. Źródło: Wikipedia UA





15 maja 2022 r. Mariupol, bunkry w podziemiach Azowstalu. Obrońca Kombinatu śpiewa „Stefanię”.
Źródło: Twitter

## Чернівці / Czerniowce

**rum. Cernăuți, jid. טשערנאָוויץ,**

**orm. Չերնովեց, niem. Czernowitz/Tschernowitz**



Czerniowce są z pewnością jednym z wielu ukraińskich miast mogących walczyć o palmę pierwszeństwa w kategorii „najpiękniejsze". Położone są w południowo-zachodniej części Ukrainy, na podkarpackiej Bukowinie, nad – skądinąd sławną („Tam szum Prutu, Czeremoszu Hucułom przygrywa") – rzeką Prut (Прут), dopływem Dunaju. Współcześnie pełnią funkcję stolicy obwodu (czerniowieckiego), a liczą nieco ponad ćwierć miliona mieszkańców. Są właściwie miastem granicznym – do Seretu w Rumunii jest zaledwie 40 km, do Suczawy około 80., a do mołdawskich Lipkan – niecałe 90 km. Jest to o tyle warte wzmianki, że Czerniowce w europejskiej wyobraźni geograficznej należą do miast-archetypów pogranicza, wieloetniczności i wielokulturowości (jak Odessa, jak Triest, jak Wilno). Zresztą w dziejach Czerniowców ich przynależność polityczna zmieniała się stosunkowo częściej niż innych miejscowości naszego środka Europy.

Pojawienie się najstarszych osad na obszarze dzisiejszego miasta przypada na wiek XII, ale na pierwszą wzmiankę piśmienną Czerniowce musiały czekać aż do rok 1408. Od półwiecza były wówczas częścią Hospodarstwa Mołdawskiego toczącego ze zmiennym szczęściem boje z Turcją i Tatarami. Wraz z Mołdawią od połowy wieku XVI znalazły się pod zwierzchnością Imperium Osmańskiego.

Dwa wieki później (w 1775 r.) miasto przyłączone zostało do Austrii, by w 1849 r. stać się stolicą Księstwa Bukowiny, które było jednym z krajów koronnych Cesarstwa Habsburgów.

W latach Wielkiej Wojny okupowane było przez Rosję (1916-1918), a w epoce dwudziestolecia międzywojennego (1918-1940) należało do Rumunii.

W 1940 r. Czerniowce zajęto i przyłączono do ZSRR, przez następne cztery lata (1941-1944) ponownie były rumuńskie, by ostatecznie od roku 1944 stać się częścią Ukraińskiej Republiki Radzieckiej (a niepodległej Ukrainy od 1991 r.).

Najważniejszym chyba zabytkiem Czerniowców jest główny kompleks Czerniowieckiego Uniwersytetu Narodowego im. Jurija Fedkowycza, który mieści się w dawnej rezydencji prawosławnego metropolity Bukowiny i Dalmacji, w 2011 roku wpisanej na listę światowego dziedzictwa UNESCO. Sam Uniwersytet powstał na mocy dekretu cesarza Franciszka Józefa w roku 1875 (do roku 1918 nosił też jego imię). Obecny patron uczelni był wybitnym bukowińskim poetą rusińskim i ukraińskim. Współcześnie żartobliwie nazywa się czerniowiecki uniwersytet „Ukraińskim Hogwarthem".



Чарнавецкага нацыянальнага ўнівэрсытэту імя Юрыя Фядзьковіча
Czerniowiecki Uniwersytet Narodowy im. Jurija Fedkowycza (1864-1882)

Kompleks budynków, dawniej będących siedzibą metropolitów, powstał w latach 1864-1882, według projektu czeskiego architekta Josefa Hlávki i jest wybitnym dokonaniem dziewiętnastowiecznego historyzmu: eklektycznie łączy przede wszystkim elementy neobizantyńskie i neoromańskie. Siedzibą uniwersytetu jest od roku 1955.

Do najstarszych budowli Czerniowców zaliczają się drewniane cerkwie Mykołajiwśka (1607 r.), Woznesenśka (koniec w. XVII), św. Spirydona (1715 r.), Uspeńska na Kaliczanci (1783 r.). Najstarszą murowaną świątynią jest grekokatolicka Cerkiew Narodzenia Najświętszej Bogarodzicy w dzielnicy Horecza, wzniesiona w stylu późnomołdawskim w roku 1767. Inne zabytkowe cerkwie to m.in. grekokatolicki Sobór Uspinnja Preswjatoj Bohorodyci (1820-1821);

Sobór Katedralny Swjatoho Ducha (1844-1860), najważniejsza cerkiew prawosławia Patriarchatu Moskiewskiego na Bukowinie; Cerkiew Swjatoj Paraskewy Serbśkoj (1844-1862), sobór katedralny, siedziba Eparchy Czerniowieckiej Ukraińskiej Cerkwi Prawosławnej (Patriarchatu Kijowskiego i Całej Ukrainy); Cerkiew Swiato-Mykołajiwśka (1927-1939), należąca do Cerkwi Patriarchatu Moskiewskiego, reprezentuje styl rumuński. Z kościołów rzymskokatolickich wzmianki warte są zbudowana w latach 1787-1814 Bazylika Podwyższenie Krzyża i neogotycki kościół Najświętszego serca z lat 1891-1894.



Церква Різдва Пресвятої Богородиці
(Монастир «Гореча»)

Cerkiew Narodzenia Najświętszej Bogurodzicy
w Czerniowcach (Monastery Horecza)



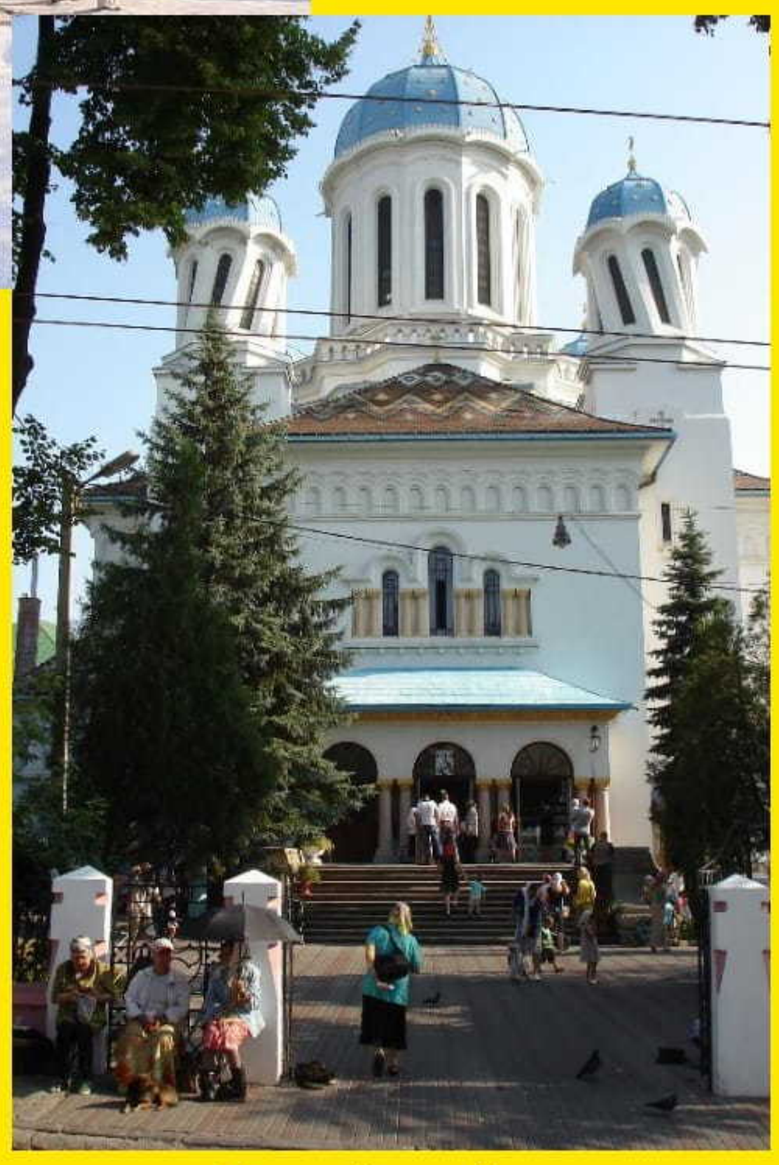
Успенська церква на Калічанці

Cerkiew Uspeńska na Kaliczance



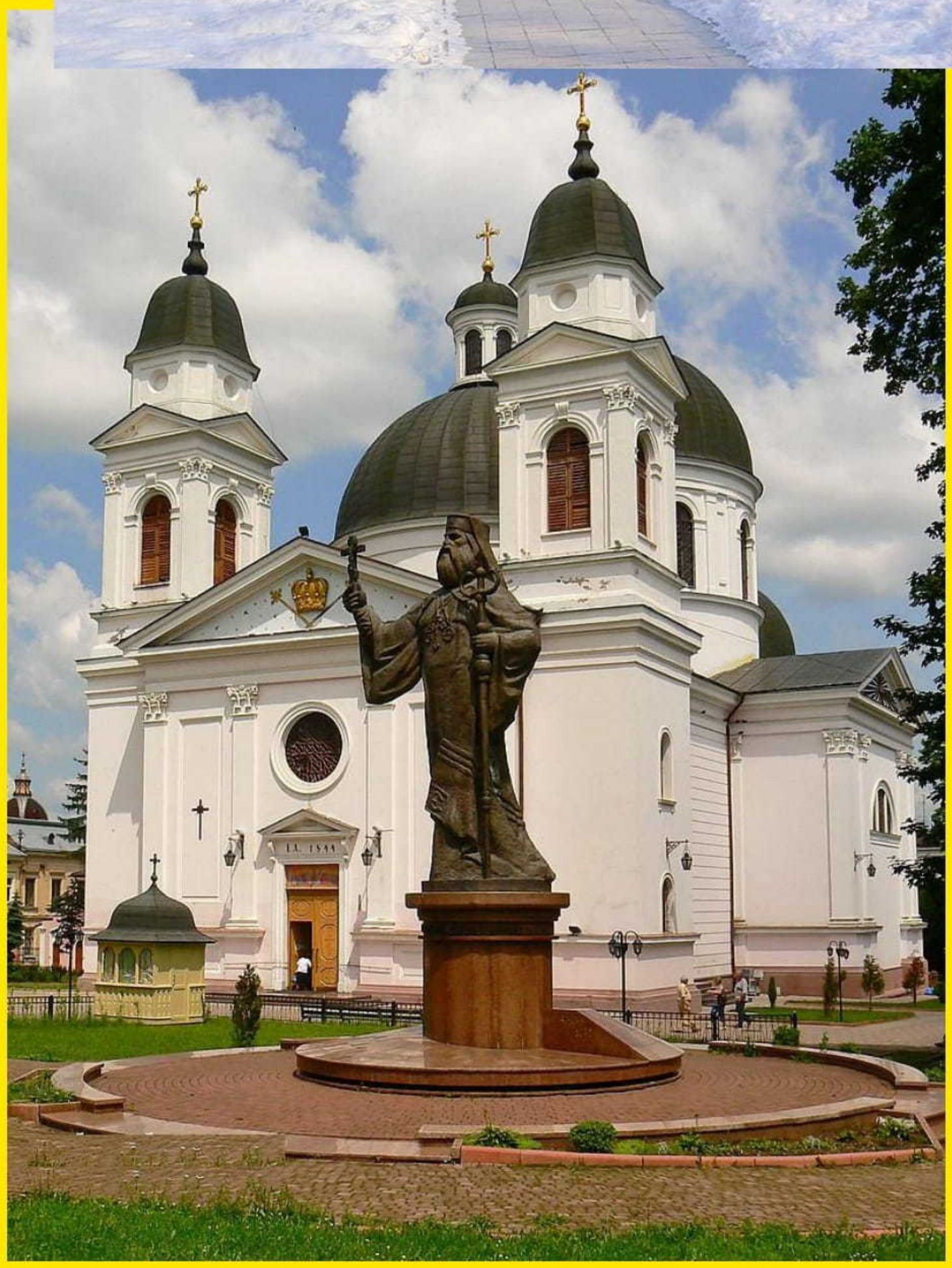
Миколаївська
церква

Cerkiew
Mikołajewska



Миколаївський
кафедральний собор

Sobór Katedralny
św. MIkołaja



Кафедральний собор Святого Духа

Sobór Katedralny św. Ducha



Osobną – już niestety nieliczną – kategorią czerniowieckich zabytków stanowią synagogi. Przede wszystkim lata Holocaustu, ale także i półwiecze powojennych rządów sowieckich sprawiły, że pozostałości kultury żydowskiej w mieście są nieliczne w porównaniu do roli, jaką diaspora odgrywała jeszcze przed II wojną światową. Czynne są tylko niektóre, na ogół odrestaurowane synagogi, nie zawsze przypominające swe zniszczone pierwowzory.

W latach 1959-1994 jedyną czynną bożnicą w mieście była zbudowana w 1923 roku niewielka świątynia Bejt-Tfila Bińjamin, czynna jest dziś również niewielka dziewiętnastowieczna synagoga Mordko i Tauby Kornów. Nie zachowała się chasydzka bożnica Bojaner Rebe, ani zamieniona na salę sportową w roku 1952 Synagoga Chóralna „Bejt-Ares". Ani oryginalnej postaci, ani funkcji nie zachowała otwarta w 1877 roku synagoga reformowana „Tempel", zbudowana w stylu mauretańskim. Po zniszczeniach II wojny i epoki stalinowskiej pełni obecnie funkcję kina.

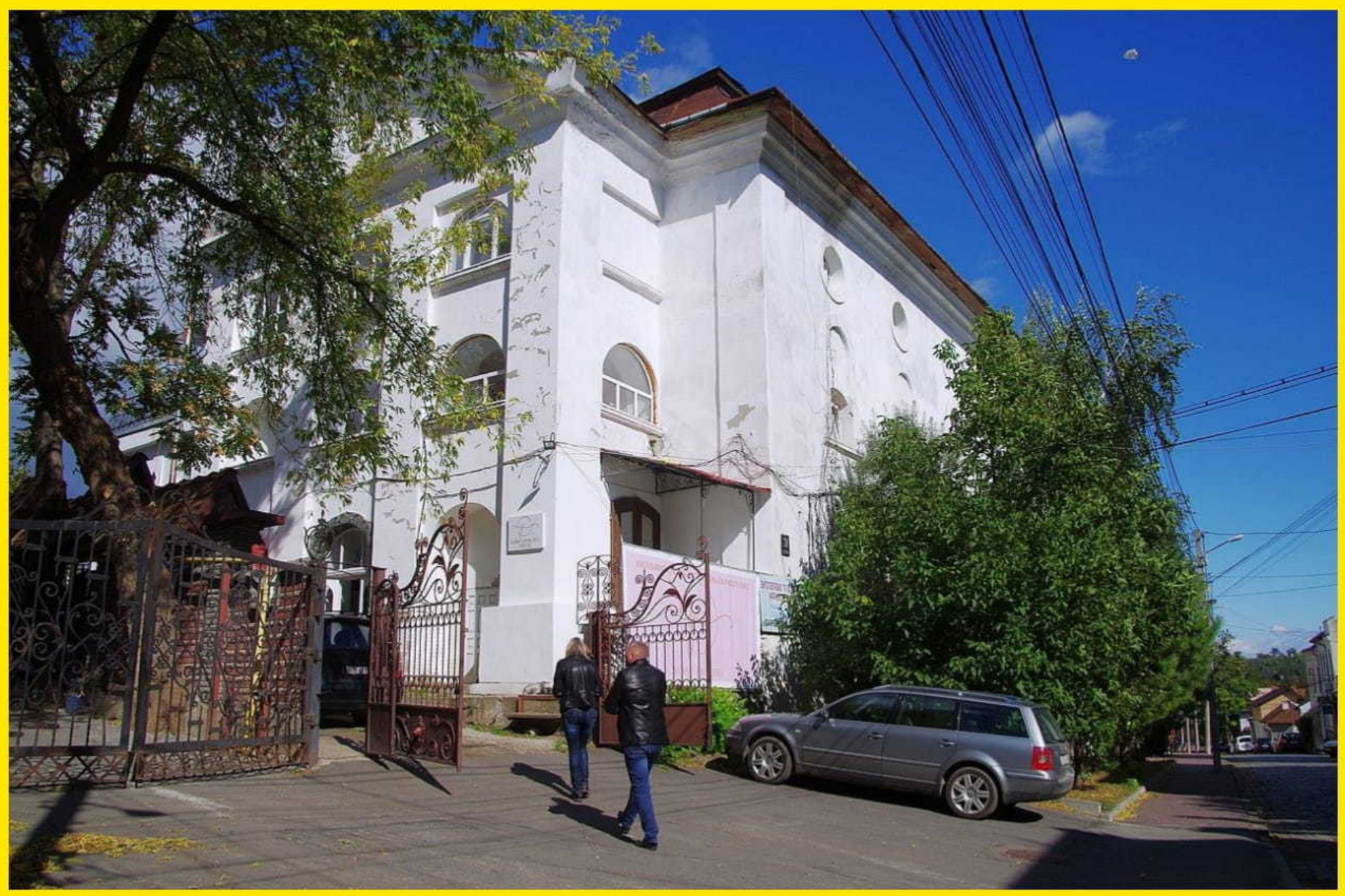
Podobny los spotkał barokowo-klasycystyczną Wielką Synagogę z 1853 roku (ortodoksyjną); roli swej nie pełni już od długiego czasu. Funkcjonuje natomiast urocza synagoga Sadhirśka – powstała w stylu mauretańskim w roku 1842 i odnowiona w minionej dekadzie.



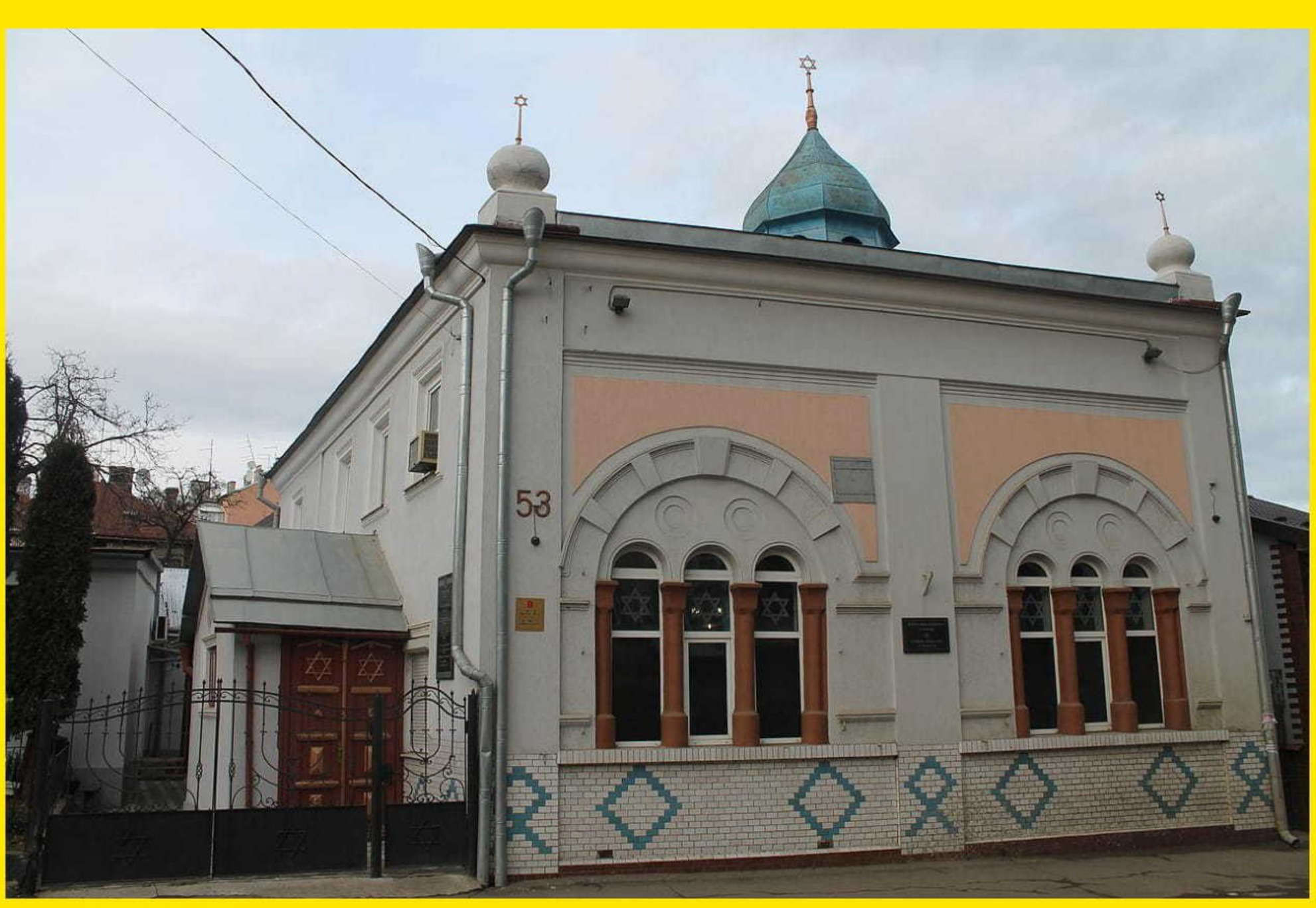

בית הכנסת טמפל

Синагога «Темпль» на рубежі XX ст.
і сьогодні

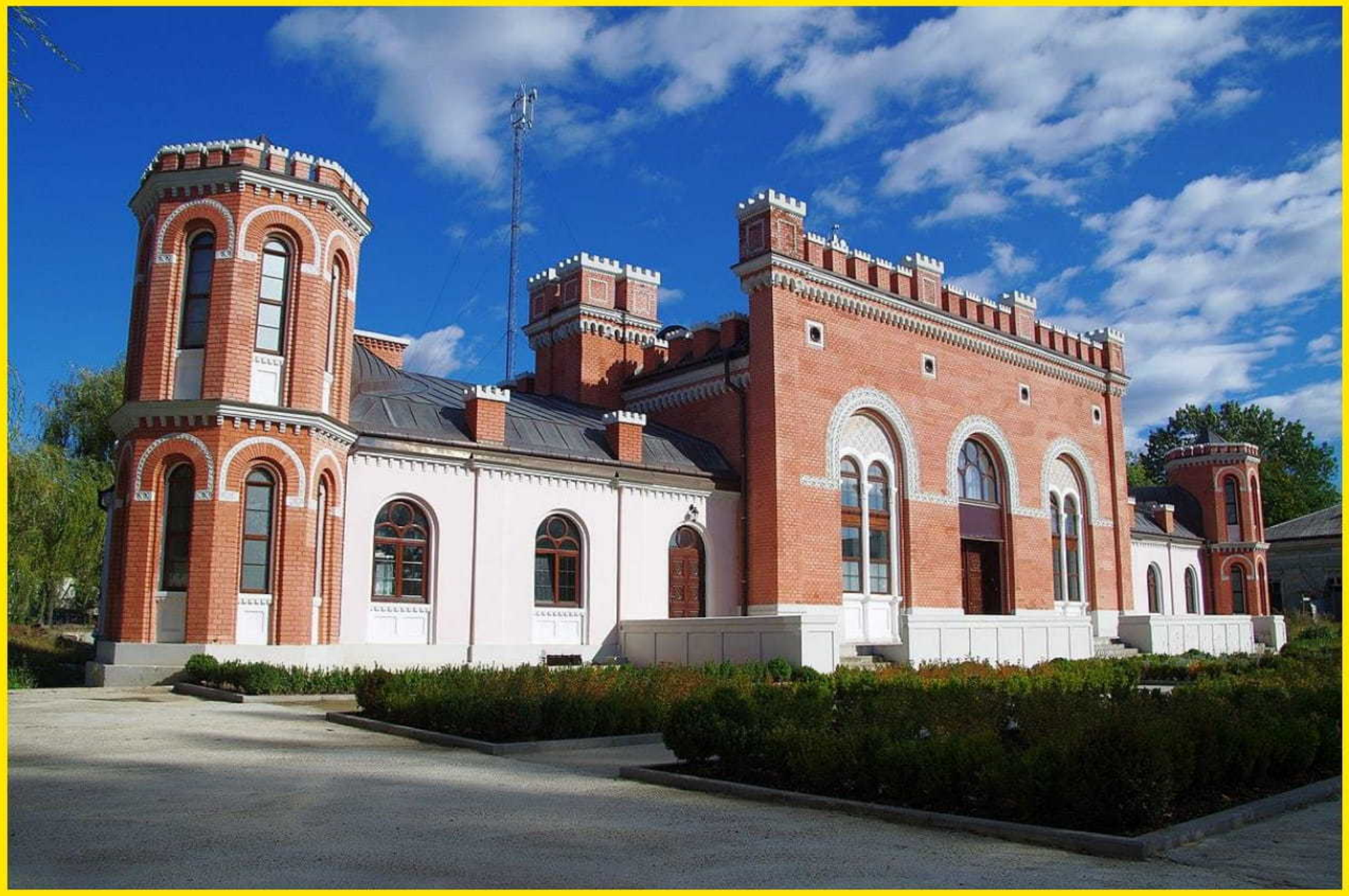
Synagoga „Tempel" u progu wieku XX
i współcześnie



Велика синагога («Ґроссшил») сьогодні / בית הכנסת בית תפילה בנימין
Wielka Synagoga („Grossszil”). Stan współczesny

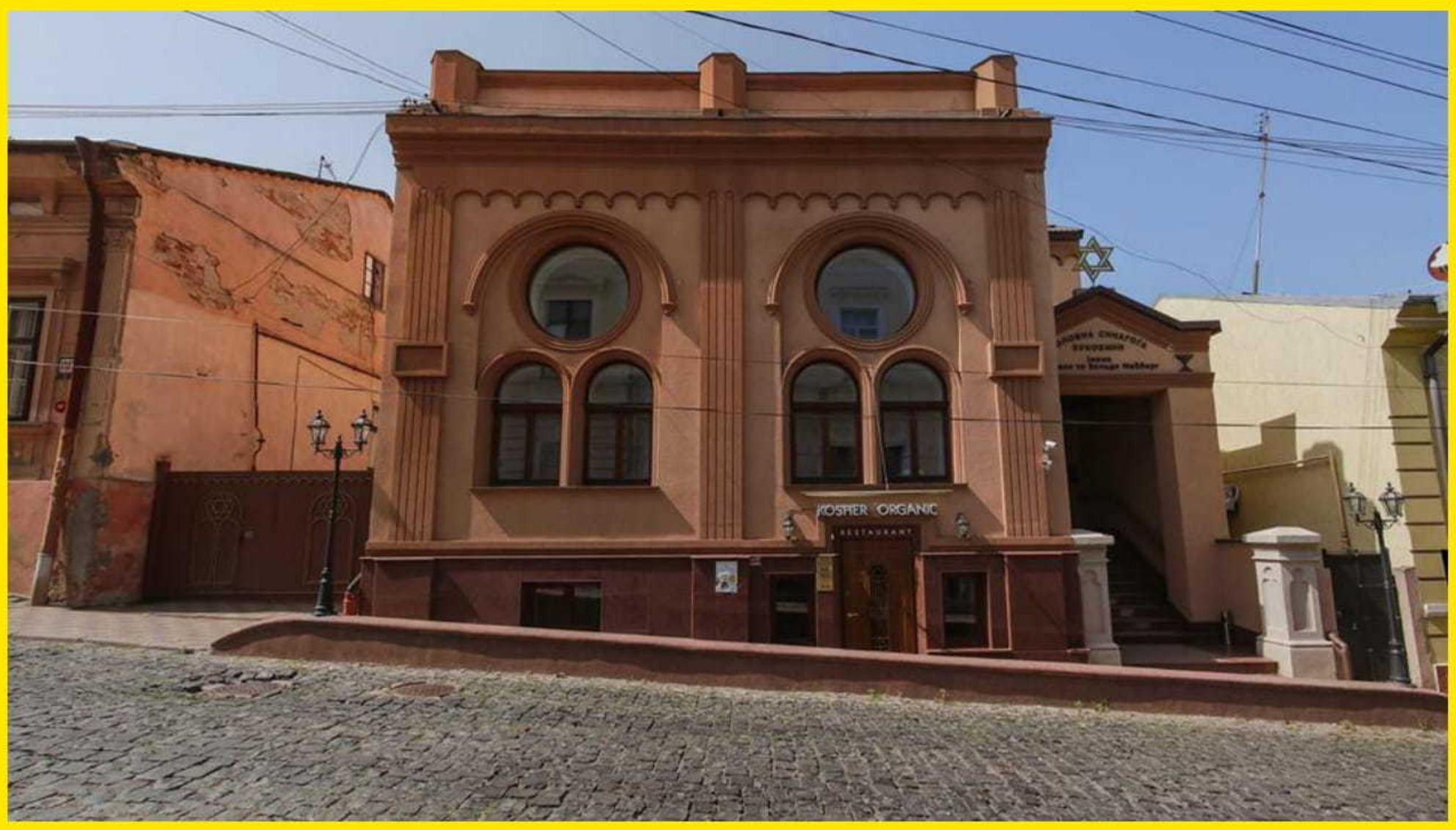



Бейт-Тфіла Біньямін / בית הכנסת בית תפילה בנימין
Synagoga Bejt-Tfila Bińjamin



Садгірська синагога / סאַדיגאָראַ־קלויז (Sadigora-klojz)
Synagoga w Sadagórze

Синагога Мордко і Таубі Корн «Корншил» / קורן שיל בית כנסת
Synagoga Mordechaja i Tauby Korn („Korn Shil”)



Na przełomie XIX i XX wieku, na fali żywo się rozwijających ruchów narodowych powstały w Czerniowcach siedziby różnych stowarzyszeń kulturalnych: Polski Dom Narodowy (działający w latach 1905-1945), Ukraiński Dom Narodowy (otwarty w roku 1899), Żydowski Dom Narodowy (z 1907 roku), Niemiecki Dom Narodowy (z 1908 roku) i Rumuński Dom Narodowy (tzw. „Nowy" z lat 1937-1940).




Український Народний Дім / Ukraiński Dom Narodowy [1899]



Польський Народний Дім
Dom Polski
[1905]




Єврейський Народний Дім у Чернівцях
Żydowski Dom Narodowy
[1907]



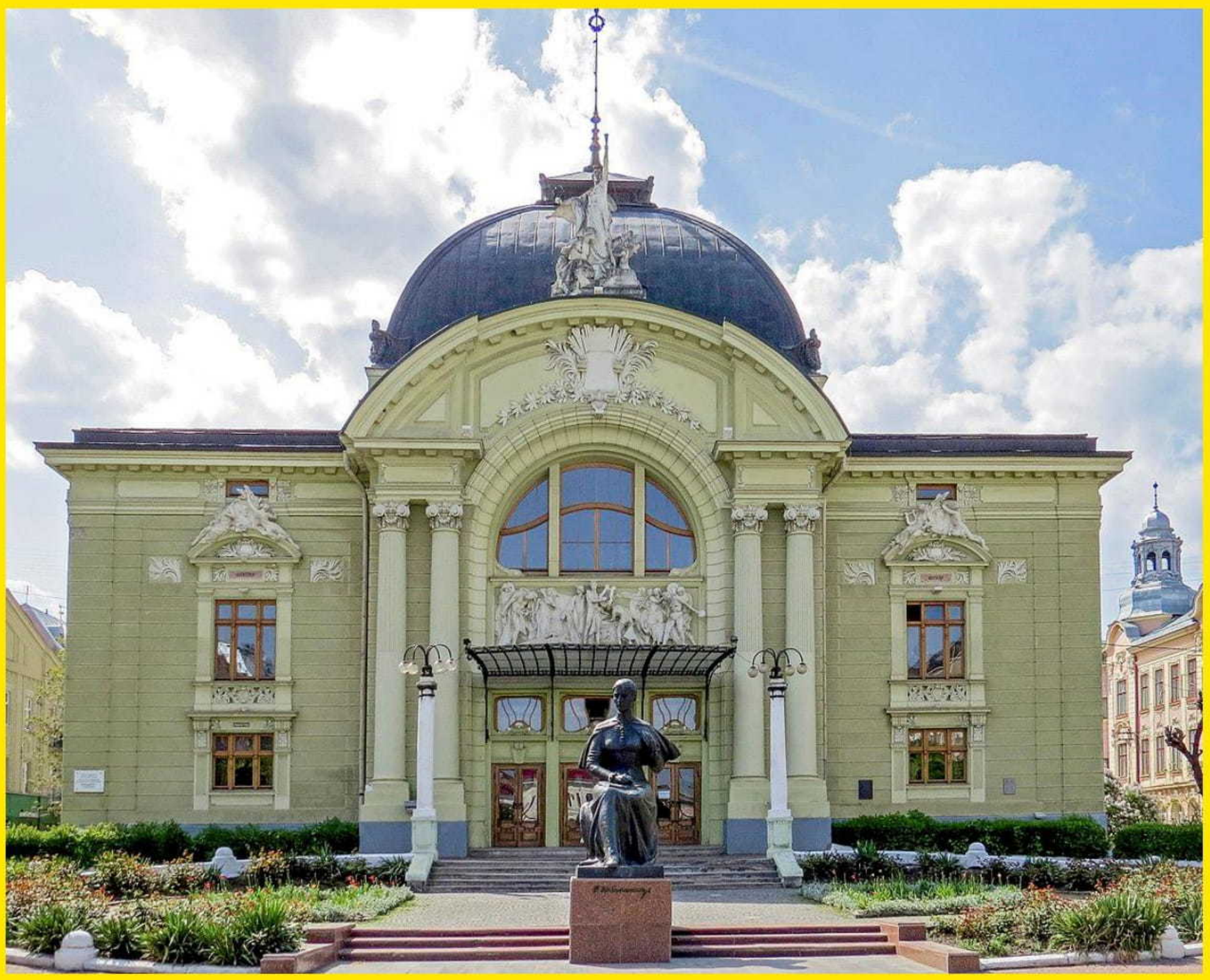

Німецький Народний Дім
Niemiecki Dom Narodowy
[1908]



Румунський Народний Дім
Rumuński Dom Narodowy
[1937]

Czerniowece są perłą miejskiej architektury przełomu stuleci XIX i XX. Przykłady uroczych budowli wyliczać by można bez końca, więc poprzestańmy na zaledwie kilku jeszcze, takich jak zespoły architektoniczne Placu Teatralnego (Ансамбль Театральної площі) czy ulic Olgi Kobylianśkiej (Вулиця Ольги Кобилянської) i Głównej (Вулиця Головна). Na uwagę zasługują zarówno dawne budynki użyteczności publicznej (ratusz / Чернівецька ратуша z lat 1843-47, dworzec kolejowy / Залізничний вокзал [1898-1909]), jak i siedziby różnych instytucji kultury (Teatru Muzyczno-Dramatycznego imienia Olgi Kobylianśkiej / Чернівецький музично-драматичний театр імені Ольги Кобилянської [1904] czy Czerniowieckiego Muzeum Sztuki / Чернівецький художній музей [1900] w stylu secesji wiedeńskiej).

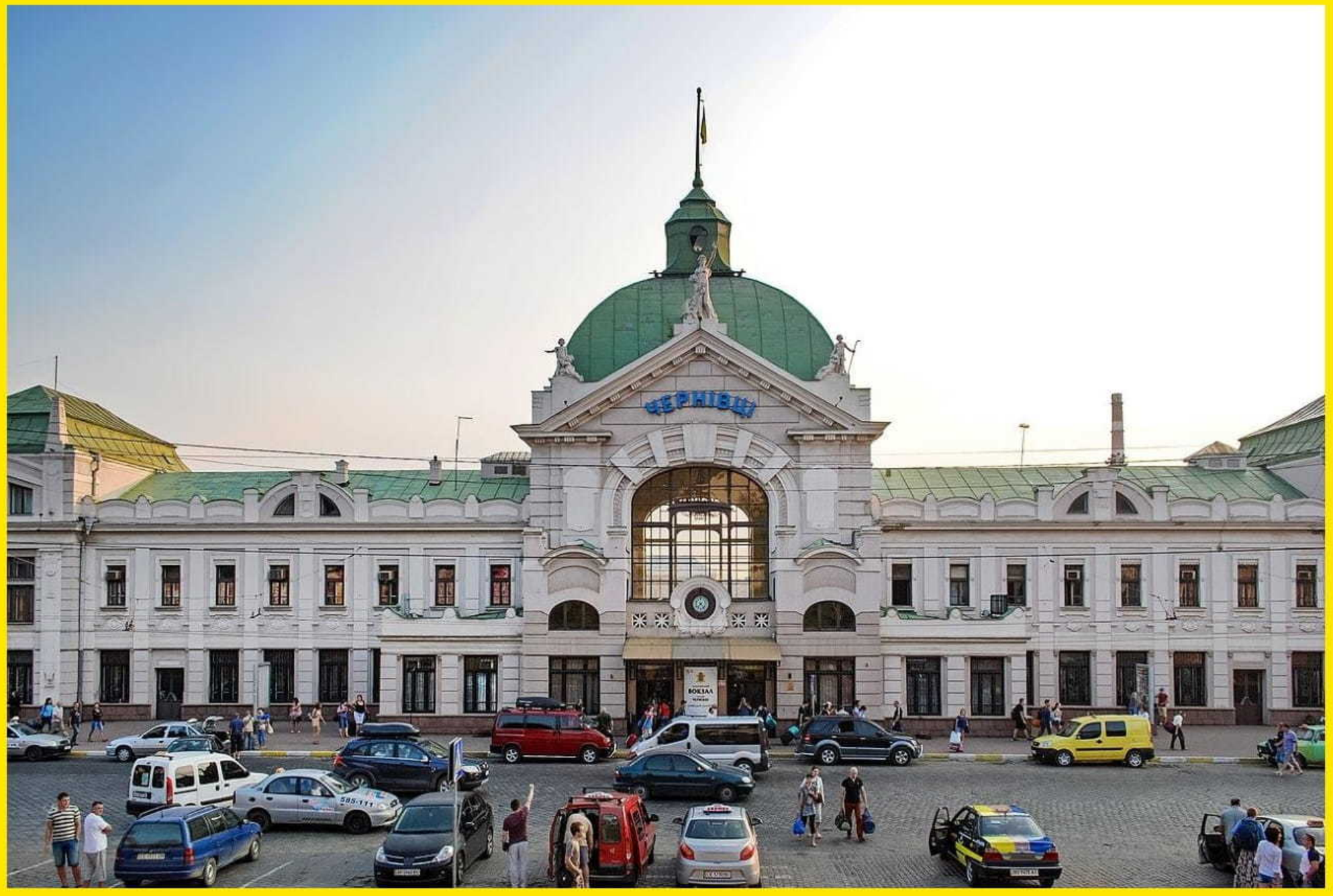
Чернівецький музично-драматичний театр імені Ольги Кобилянської
Teatr Muzyczno-Dramatyczy imienia Olgi Kobylianśkiej (1904)





Чернівецький художній музей / Czerniowieckie Muzeum Sztuki (1900)

Залізничний вокзал станції Чернівці / Dworzec kolejowy w Czerniowcach (1898-1909)



**Z Czerniowców wywodzą się między innymi**

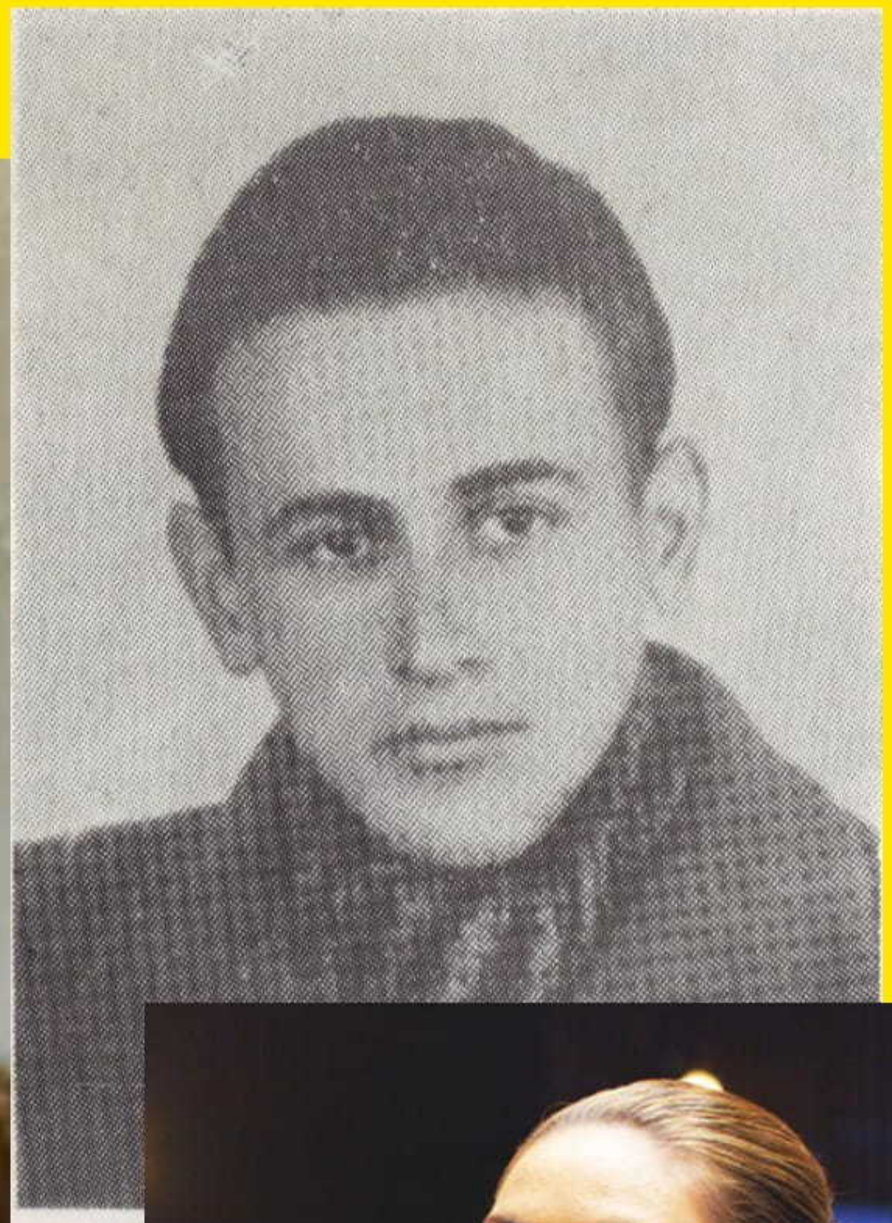
**Rose Ausländer** (Rosalie Beatrice Scherzer, 1901-1988) – wybitna austriacko-żydowska poetka pisząca po niemiecku i angielsku.

**Paul Celan** (Paul Antschel, 1920-1970) – jeden z najwybitniejszych poetów XX wieku i zarazem jeden z najdoskonalszych poetów języka niemieckiego.

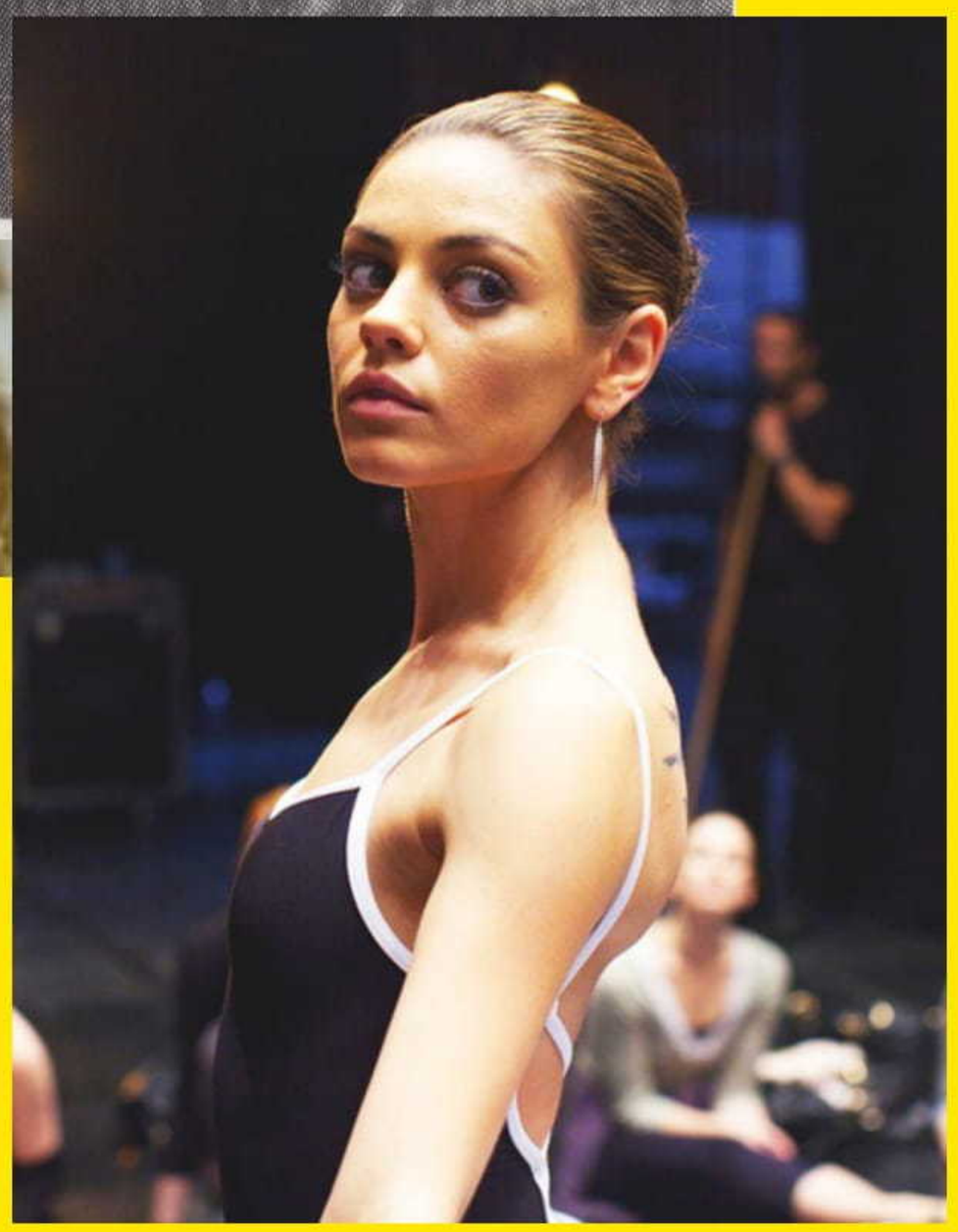
Carl i Lotte Hirsch, rodzice **Marianne Hirsch**, wybitnej badaczki *Holocaust studies*, twórczyni koncepcji postpamięci, nierozerwalnie związanej z czerniowieckimi i bukowińskimi przodkami Marianne.

**Mila Kunis** (Milena Kunis, 1983-), aktorka filmowa i telewizyjna, najlepiej znana z pamiętnej roli Lily w *Czarnym Łabędziu* Darrena Aronofsy'ego z 2010 r.









Martyna Krawcewicz

* * *

*26.03.2022 r.*

Dzień taki jak zawsze. A jednak inny. Uśmiech mamy taki jak zawsze. A jednak inny. Czesław Miłosz taki jak zawsze. A jednak inny, bliższy mi. Dostojewski taki jak zawsze. A jednak inny, przeze mnie znienawidzony.

Mija już miesiąc, odkąd wyjechałam do Polski. Wróć. Odkąd w popłochu uciekłam do Polski, w prawej dłoni trzymając rękę mojej młodszej siostry, a w lewej torbę zawierającą wszystkie rzeczy moje i mojej rodziny. Cóż za absurd mieć w jednej dłoni dobytek czteroosobowej rodziny. Wraz z moją mamą i siostrzyczką mieszkamy w przytułku dla uchodźców z Ukrainy. Dziwnie tu. Wielu ludzi, wiele płaczu, wiele zmartwień.

Miesiąc już śpię na podłodze, tuląc moją siostrę. Cierpię fizycznie. Moje zwyrodnienie kręgosłupa ma się coraz gorzej w tych warunkach. Nie zdążyłam ukończyć rehabilitacji, a dwie kolejne operacje miałam zaplanowane na kwiecień. Oswoiłam się już z myślą, że za kilka lat wózek inwalidzki będzie moim towarzyszem do końca życia.

Miesiąc już nie mam możliwości się umyć, a właśnie czwarty dzień miesiączkuję. Pozbawiona środków higieny, cierpię. Nie muszę nic więcej mówić. Każda kobieta mnie zrozumie. Każdy mężczyzna mnie zrozumie. Każdy Ukrainiec, Polak, Szwed, każdy człowiek mnie zrozumie.

Miesiąc już jem to, co przyniosą nam miejscowi wolontariusze. Wspaniali ludzie. Przez dwadzieścia lat swojego życia nie sądziłam, że tacy jeszcze istnieją. Jestem im wdzięczna za bezinteresowną pomoc, za bycie człowiekiem. Tak trudno jest teraz znaleźć człowieka będącego człowiekiem dla potrzebujących. Dziwny świat.

Miesiąc już jestem ubrana w zbyt duże spodnie i wełniany męski sweter, ciągle mam na sobie zakurzoną kurtkę i za małe, raniące moje stopy buty. Ale to nie szkodzi. Jest mi ciepło, chociaż czasem w nocy marznę.

Miesiąc już słyszę każdego dnia płacz dzieci wyczuwających zmianę środowiska, wyczuwających niebezpieczeństwo, wyczuwających strach wysysany z mlekiem ich matek. Bo one też płaczą. Cicho, odwracając się od innych, by nie musieli patrzeć na cierpienie. Kolejny absurd, przecież wszyscy teraz żyjemy cierpieniem.

Miesiąc już martwię się o mojego tatę, który został w Ukrainie, aby walczyć za naszą ojczyznę. Jestem z niego dumna, ale boję się. Być może to był ostatni raz, kiedy go widziałam, ostatni raz, kiedy całował mnie w czoło, mówiąc, że jak nie tu, w naszym kraju, to zobaczymy się na górze. Tato, nie chcę czekać. Obawiam się, że na górze nie będziesz mógł mnie przytulić, jak zawsze to robiłeś wieczorami, że nie będziemy razem jeździć do kina na cotygodniowe seanse, że nie będziesz przy obiedzie opowiadał o twoim dniu w pracy, że nie wysłuchasz moich zmartwień, kiedy znowu egzamin na studiach mnie przerośnie. Tato, jestem z ciebie dumna, ale wolałabym mieć ciebie obok.

Miesiąc już moja mama płacze każdej nocy, ukrywając się tak, abym nie słyszała. Mamo, wiem, co czujesz. Nie ukrywaj swoich uczuć. Jesteś człowiekiem, masz prawo cierpieć. Nigdy nie widziałam cię płaczącej, od lat byłaś dla mnie symbolem siły i odwagi. I nadal jesteś. Mamo, przetrwamy to. Nie stracimy naszej ojczyzny, nie stracimy ojca, nie stracimy siebie. Nie możemy stracić.

Miesiąc już patrzę na zagubioną twarz mojej siostrzyczki. Zazdroszczę jej, że jest na tyle mała, że nie rozumie jeszcze wielu rzeczy. Nie do końca wie, co się teraz dzieje. Ale codziennie zapewniam ją, że to jest chwilowe, a wszystko wkrótce wróci do normy. I głęboko w to wierzę. Wierzę w jej dobrą, lepszą przyszłość. Wierzę, że niebawem wrócimy do domu, wrócimy do normalności.

Miesiąc już nie było mnie na uczelni. Teraz trudno byłoby się tam znajdować, skoro budynek mojego uniwersytetu już nie istnieje. Do dziś pamiętam ten przypływ szczęścia, kiedy dwa lata temu zostałam przyjęta na wymarzony kierunek. Lubiłam studiować. Chociaż muszę przyznać, że czasami bywało niełatwo. Męczyła mnie ogromna ilosć egzaminów, prac zaliczeniowych, nieprzespanych nocy, płaczu. Ale oddałabym wszystko, żeby wrócić do studiowania. Śmieszne, prawda? Ilu jest ludzi na świecie, którzy odliczają dni do uzyskania dyplomu, a ja pragnę wrócić na studia. Ludzie nie doceniają tego, co mają. I ja też przez całe życie nie doceniałam tego, co miałam. W życiu człowieka musi stać się tragedia, aby zdał sobie sprawę z tego, jak wiele posiadał.

Miesiąc już zastanawiam się, czy istnieje jeszcze mój dom. Zostawiłam w nim wiele rzeczy, za którymi tęsknię. Łańcuszek, który dostałam od taty na osiemnaste urodziny. Zegarek będący pamiątką po zmarłej babci. Sweterek, który uszyła mi ciocia. Złote kolczyki kupione za pierwsze zarobione pieniądze. Pluszowego misia, którego dostałam od przyjaciółki jakieś dziesięć lat temu. Zostawiłam w domu całe moje życie. Zostawiłam tam wszystko, przy sobie nie mam nic.

Miesiąc już nie wiem, gdzie są i czy żyją moi przyjaciele. Ostatni raz widzieliśmy się na uczelni. Zastanawiam się, czy jeszcze kiedyś ich usłyszę. Dobrze pamiętam wszystkie kłótnie, które zaszły między nami. Dziś to już nie jest istotne. Tęsknię za przyjaciółkami, za wspólnymi zakupami w piątki po zajęciach, za wypadami do kawiarni przed wtorkowymi wykładami. Tęsknię za normalnym życiem.

Miesiąc już wstydzę się wyjść z przytułku. Czuję się inna w tym miejscu. To nie jest mój kraj, nie moje miejsce. Jestem wdzięczna za to, że mogę tu być, ale nie chcę tu być. Wiem, że nie jestem u siebie. Wiem też, że wielu ludzi narzeka na nas, Ukraińców. Chcą, żebyśmy wrócili do kraju, chcą, żebyśmy przestali polegać na Polakach, chcą, żebyśmy sami zarabiali na siebie. My też tego chcemy. Też mamy dość tej sytuacji. Ale nic z nią nie możemy zrobić, to wszystko jest niezależne od nas. My też chcemy normalnie żyć.

Miesiąc już mam chaos w głowie. Nadmiar negatywnych wrażeń z pewnością zdążył już odcisnąć piętno na mojej słabej psychice. Codziennie patrzę na cierpienie ludzi obcych i mi bliskich. Sama również cierpię, nie daję już rady trwać z dnia na dzień.

Miesiąc już staram się przyzwyczaić do mojego teraźniejszego życia, bo nie wiem, kiedy się zmieni, nie wiem, czy w ogóle się zmieni. Udaję, że radzę sobie, chociaż wcale tak nie jest.

Z dnia na dzień niszczeję coraz bardziej. Ogarnia mnie coraz większa niepewność, coraz większy strach. Jednak ciągle mam nadzieję na lepsze jutro, bo przecież nadzieja umiera ostatnia.

Wojna to jest najgorszy los, jaki może spotkać człowieka. To jest los, który nie powinien spotkać nikogo. To jest cholerstwo pożerające całą rodzinę i majątek. To jest pasożyt wysysający chęć do życia. To jest krew tysięcy niewinnych ludzi. To jest płacz dziecka tęskniącego za domem i codziennością. To są oczy ludzi, którzy widzieli wiele, zbyt wiele. To jest cierpienie osamotnionych matek. To jest płacz ojców walczących za ojczyznę, którzy przecież nigdy nie płaczą. To jest pozostawienie młodych ludzi bez perspektyw na przyszłość.

Cierpię. Cierpię wraz z tysiącami ludzi pozbawionych domu, rodziny, szczęścia. W ciągu jednego dnia całe moje życie się zmieniło. W mojej głowie jest wiele myśli, w sercu wiele uczuć. Nie chcę tak żyć. Nie chcę żyć.

Boże, jeśli jesteś, dlaczego na to pozwalasz?

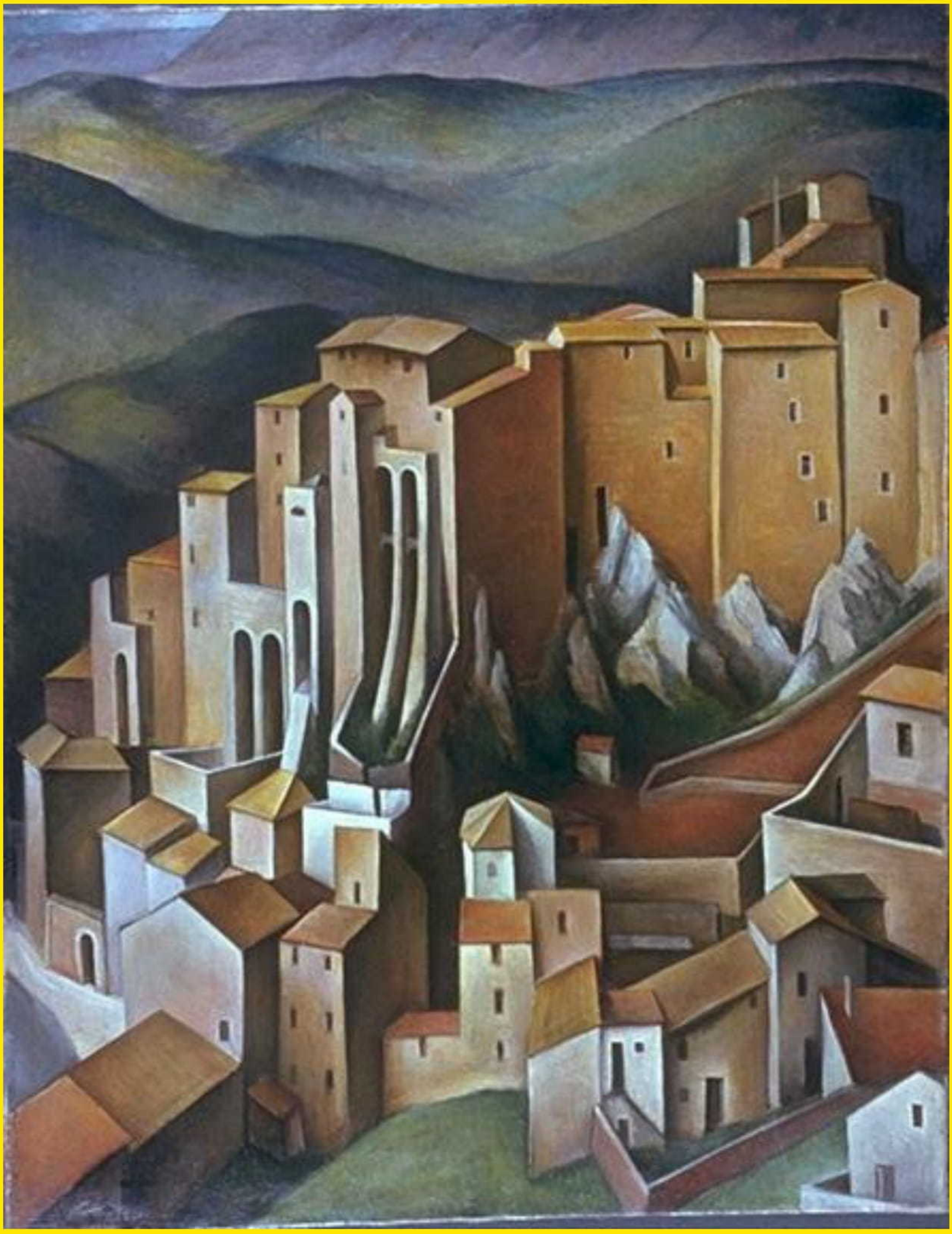



Tymczasowe schrony w charkowskim metrze. 10 marca 2022 r.
Fot. Vitalii Hnidyi (Віталій Гнідий / Witalij Hnidyj) / Reuters





# POEZJA



Alexander Kanoldt, *Olevano* (1927)

**Bartosz Dłubała**

*******

„Jeśli musisz już wyjeżdżać, to przynajmniej wracaj za każdym razem" – powiedziała matka, zanim jeszcze ucałowałem w policzek ukrzyżowanego Jezusa, na szczęście. Lecz wiedziałem, że nie będzie już powrotów pod naszą starą jabłoń, którą władze wytną pod nową drogę. Obiecałem jej jednak wszystko, wiedząc, że i tak nie przeżyje tej chwili, kiedy mnie już nie będzie. Nie dostrzegała zmian przez postępującą zaćmę. Bała się lekarzy, pamiętając, co zrobili ojcu, i dlatego nie dopuszczała do siebie myśli o końcu. O początku też niewiele myślała, bo leżała wtedy pod narkozą nieprzytomna, obezwładniona siłą silniejszą niż to, w co do tej pory wierzyła.

Zadbała o to bym miał kanapki na drogę, które zamierzałem wyrzucić przez okno jadącego pociągu wprost pod następny pociąg. Nie chciałem jeść mięsa z naszej ostatniej świni, której podłożyliśmy pod ryj pasze, aby potem ogłuszyć, rozciąć i przerobić na papkę. Ona wierzyła nam na słowo, gdy powtarzaliśmy „dobra świnka". W końcu to zabrnęło o jeden most za daleko, jakbyśmy szykowali się do wojny, dezercji i podpisania rozejmu. Pokój jednak miał zajmować za małą przestrzeń kwadratową, by pomieścić między nami świnię.



Mark Rothko, *Red on black* , 1958

* * *

przygryzam palec żeby było dobrze
czuć smak krwioobiegu matki
polki z Polaków zza rzeki Niemica
tam gdzie pasły się krowy
zanim woda wydarła nam łąki

łona naturalnie porosłe zielskiem
sielskim obrazem przeznaczenia
nieoszukanego szukaniem

ojciec wiedział że trzeba będzie znaleźć inne miejsce
że już nie ma urodzaju



Georgia O'Keeffe, *Red Hills, Lake George*, 1927

* * *

za dolara nie można wyglądać jak milion
westchnień kilka nieprzespanych nocy
odkłada się pod powiekami fałdą
księżyc zagląda przez okno
nieśmiało nie w pełni skoncentrowany
umiejscowiony gdzieś w oddali
czas i przestrzeń rozmienia się na drobne
och i ach

* * *

Za mamusię jadło się więcej aż do grzechu
Poczęcia kolejnego dziecka
Samoloty z papieru rozbijały się o pokój
Ustanowiony białą farbą po remoncie
Generalnym problemem były turbulencje
Pojawiały się przy szóstej łyżce
Trzęsące dłonie za sterem

Po siódmej wszystko zaczynał smakować plastikiem
Talerzy potłuczonych nie było w komplecie
Na nową drogę życia
Na zapięcie pasów bezpieczeństwa przy ciele
Ma się dobrze

## Obiekcje

Moi patologiczni koledzy mieszkają na tym samym osiedlu
Piją piwo i palą jointy przy okazji spotkania się
Ze śmiercią kogoś obcego i wespół z nim przygotowują się na zgon
Pogrzeb żałobę za spokój ciała bez duszy
Moi patologiczni koledzy mają dziewczyny w jpg
I szukają dziury gdzie można podpiąć słuchawki żeby słuchać
Cudów które czynią niczym charyzmatyczni sprzedawcy garnków
Mówiący językami zadowolonych klientów
Moi patologiczni koledzy oglądają mecze i modlą się o eutanazję
Dla polskich piłkarzy albo chociaż ligę konferencji na wiosnę
Wykupili pakiety sportowe czytają statystyki oddanych strzałów
Liczbę porażek straty punktowe
Moi patologiczni koledzy rodzili się gdy burzono wieże world trade centre
A ich matki leżały przywalone odpowiedzialnością wychowania potomków
Popiotrków trybunalskich sędziów popawełków słodkich jak czekoladopodobna
Masa ludzi szuka im mężów którzy nie wyjechali do stanów
Moi patologiczni koledzy są tak naprawdę koleżankami z piersiami
Takimi do rączki do rany przyłóż na ból dupy
One są we mnie ja jestem w nich razem z nami świat jest na końcu
Na mecie

## СТАНІСЛАВ НОВИЦЬКИЙ
## Stanisław Nowycki

* * *

ліплені голови з попелу – споглядають на мене...
мовби ненароком хочуть схопити і потягти за собою
ліплені руки і ноги
з попелу
хочуть доторкнутися до мого обличчя,
виглядають
щоб схопити не тільки мою голову,
вранці місцями вони ходять поміж будинків,
і вишукують голови
але не свої...
вранці й вечері лягаючи спати думають про голови які у них у голові
тінь одягнула мою сорочку і хоче бути справжньою людиною...

* * *

wyrzeźbione głowy z popiołów – patrzą na mnie...
jakby przypadkowo chciały złapać i pociągnąć mnie za sobą
wyrzeźbione ręce i nogi
z popiołów
chcą dotknąć mojej twarzy
próbują
chwycić mnie nie tylko za głowę
o świcie chodzą między domami,
i szukają głów
ale nie swoich...
rano i wieczorem kładąc się spać myślą o głowach które nie są ich głowami
ich cień przywdziała moją koszulę i chce być prawdziwą osobą…

**przetłumaczył na język polski Tadeusz Karabowicz**



Pablo Picasso, *Le Chef-d'œuvre inconnu*, 1931

* * *

Лесі Степовичці

треба йти степом
щоб дійти й побачити
Дніпрові пороги
а далі за Дніпром також степ
де цвіте полин
там можна почути тишу
яку слухають коні
які лежать на скошеному сіні
дивлячись на сонце
отам де Дніпрові пороги
де Хортиця
отам де степи...

весна 2022 року

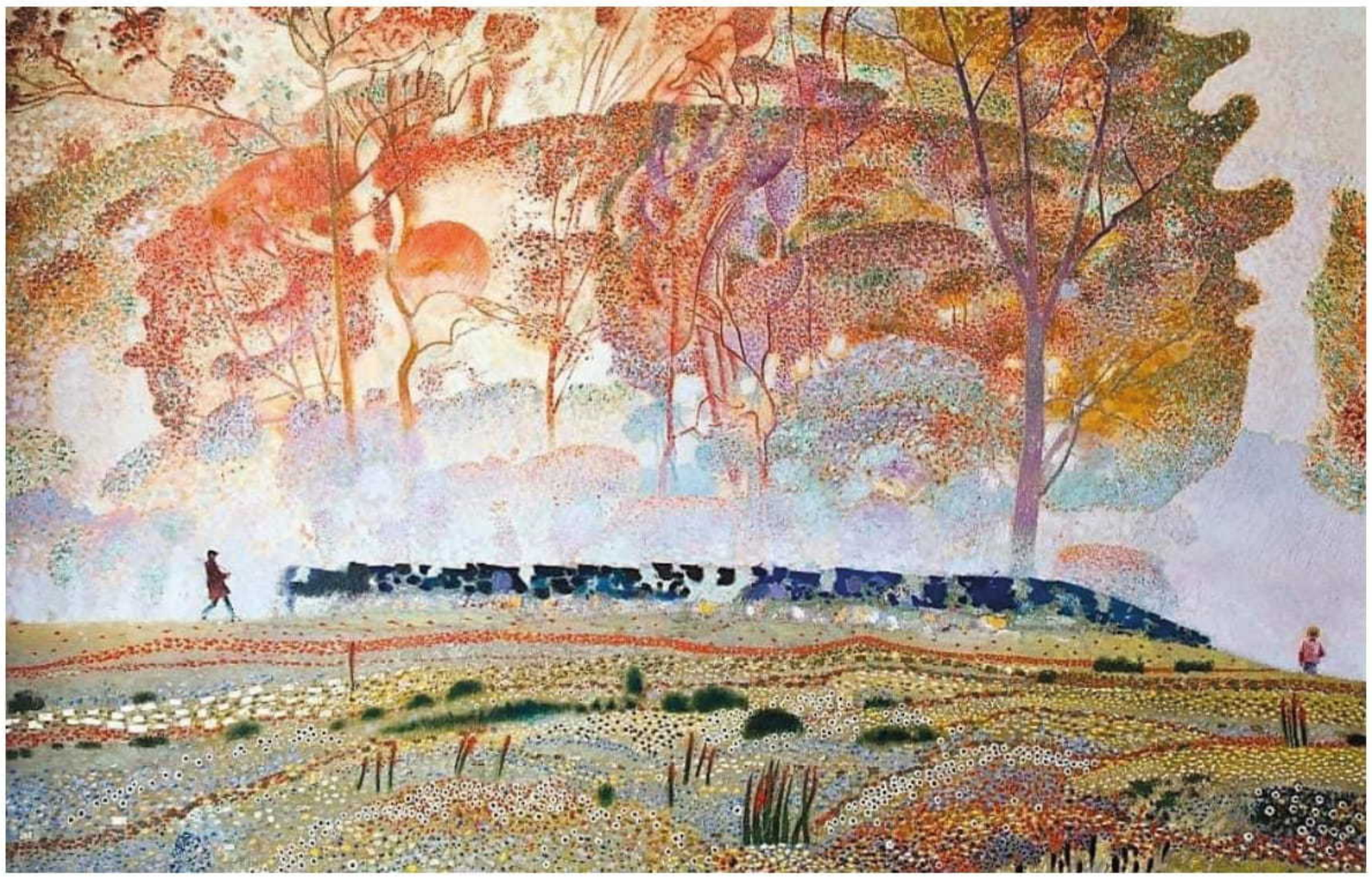
* * *

Łesi Stepowyczce

trzeba iść stepem
by dojść i zobaczyć
porohy na Dnieprze
a dalej za Dnieprem także step
gdzie kwitnie piołun
tam można wsłuchać się w ciszę
której słuchają konie
leżące w skoszonym sianie
patrząc na słońce
tam gdzie porohy Dniepru
gdzie Chortyca
o tam gdzie stepy...

wiosna 2022

**(tłumaczenie na język polski Tadeusz Karabowicz)**



Victor Zaretsky, *Glowing Sky*, 1988

**Michalina Janas**

## nie mam ciebie

nie mam powodów
żeby wierzyć
że na mnie patrzysz
liczysz moje oddechy
nie mam zasad które
by to odwróciły
pomogły odwrócić mi głowę
bo ja patrzę ciągle w odbicie
w nieprzyjaciela
mojego najwierniejszego



Constantin Brancusi, *Woman looking into a mirror*, 1909

## Cudzoziemka

Cudzej mowy pełna
Cudzo-łożnica bo poczęta tam
gdzie nie ma miejsca na nią
dlatego rozpycha się w tych
ciasnych ciemnych tunelach
toruje sobie drogę na wpół ślepa
Cudzą a więc własną
a gdy zapuka do ostatniej bramy
powiedzą jej że cudza a więc niczyja
i za rękę zaprowadzą
do miejsca gdzie ziemia ją zna
gdzie spokojnie zaśnie
i obudzi się gdy wszyscy o niej zapomną

## dziewanna

tak jak pory roku
czekasz aż zapomnę co to ciepło
żeby nadeszła zima
potem zapominam co to zimno
tylko na czas następnego lata
a pomiędzy tymi stanami
nie potrafię opisać co się dzieje
poza pulsacyjnym traceniem liści
i odradzającą się żywą nadzieją
ale to chwilowe rzeczy nieważne.



Felix Valotton, The Wind,  1910

***

jesteśmy zmuszone
do rodzenia
transgenicznych dzieciątek

każde będzie mieć
swoje własne
kainowe znamię

echo serca
wykaże jego rytmiczną
bezlitosność

będzie słychać
tylko tupot stópek
po jałowej ziemi

w żyłach będzie
płynąć słodki
wieczny plastik

zamiast modlitwy
aniele boży
raport z ginących miast

**Aleksandra Kasprzak**

## historie ze zlewu

rozeszły się moje kończyny na wszystkie cztery strony w oknie odbijają się
przekrwione oczy to już czwarty dzień za tobą szósty kubek multiwitaminy
ze spożywczego podobno pomaga na bladą skórę a wiesz co jeszcze lepiej
pomaga warknął pies z parteru którego właściciel zamiast smyczy targa go
za kolorową wstążkę? pomagają ciosy w brzuch porządne rozpruwanie
bebechów i pomidorowa na bulionie warzywnym pomaga aż miło moje
ciotki kupowały duże worki żeby chować w nich bezzębne twarze teraz wystarczy
pluć flegmą i czekać aż przestanie boleć wierzyłaś że kiedyś skończy się nam
abonament nie będzie ani jednego filmu który mogłybyśmy
przechrapać na obklejonej taśmą kanapie mówiłyśmy że będzie nas stać na łódź
więc nie potrzebowałyśmy łóżka wierzyłaś że kiedyś skończy się nam
cierpliwość i wystarczy byle tratwa a potem szturmem na bałtyk moje pokolenie
wierzyło w wiele prawd na małej wyspie było bardzo wielu ludzi i dlaczego akurat
mnie
rozerwały pędzące auta gdy ty stałaś na szczycie bloku i wszystkimi kończynami
machałaś



Andre Masson, *The Kill*, 1944

## Adrian Krystian Pacuszka

***

dziś w kinie studyjnym
gdy uciekałem mentalnie od geopolityki
geotragicznej wschodniej Europy
zrzucono mnie zdesantowano
pod Alby do Piemontu do Włoch
do miasteczek z nazwami po świętych
pełnych starszych małżeństw siorbiących cicho zupę
za nami kochanie tam pod ścianą
siedziały czternastoletnie dziewczynki
przytulały się mocno i była to miłość nie mieszcząca się
w tożsamości religijno-kulturowej emerytów z ekranu
pomyślałem sobie wtedy że
ta dwunastoosobowa mikrosalka kinowa
może być miłosną osią życia
na przestrzał bowiem od ściany do ściany:
pierwsze dotyki dziewcząt
nasze studenckie dłoni splatanie
na twoim kolanie
na ekranie pomidorów mycie siwienie siorbanie
inaczej:
nieśmiała iskierka
stabilny płomień
dogasanie

## zapowiedź

Wrocław is the last station
ktoś tłumaczy w pociągu Irlandczykowi
skonsternowanemu ciszą za oknem
gdy stoimy we wsi
zdaje się
że jej nazwa liczy się jedynie
do chwili gdy miniemy jej znak wyjazdowy
obsłuży nas zawiadowca puści dalej
i tak żyć będzie ta stacja od pociągu do pociągu
peron-patelnia w pełnym słońcu
zaraz będzie kolejna i kolejna wieś
na moment miasto i kolejna i kolejna
i mias –
– Wrocław is the last station
powtórzył bo się nie zrozumieli
przyjmijmy że wsie są martwe
budzą się na chwilę by nas przepuścić
spacer po czaszkach do stacji wiecznie żywej
stacji z której trudno gołębie wypuścić
a co dopiero człowieka
przez śmierć do życia
przez wieś do miasta
przez ciszę do hałasu
przez pola do parku
what is the last station?
szepnął na wydechu
rozczarowany seplenieniem Polak



# FRASZKA



Do You Realize The

**POWER**

that Hypnotism will Give You!

Paulina Sokólska

# Infomercial

Eggplant TV prezentuje:

Czy znasz to uczucie, gdy brakuje Ci w domu faceta? Masz dość uporczywych pytań rodziny i znajomych o to, kiedy w końcu sobie kogoś znajdziesz? Nie jest Ci na rękę, że w oczach innych zawodzisz jako kobieta? Czujesz się niekompletna bez mężczyzny u boku… Potrzebujesz pomocnej dłoni?



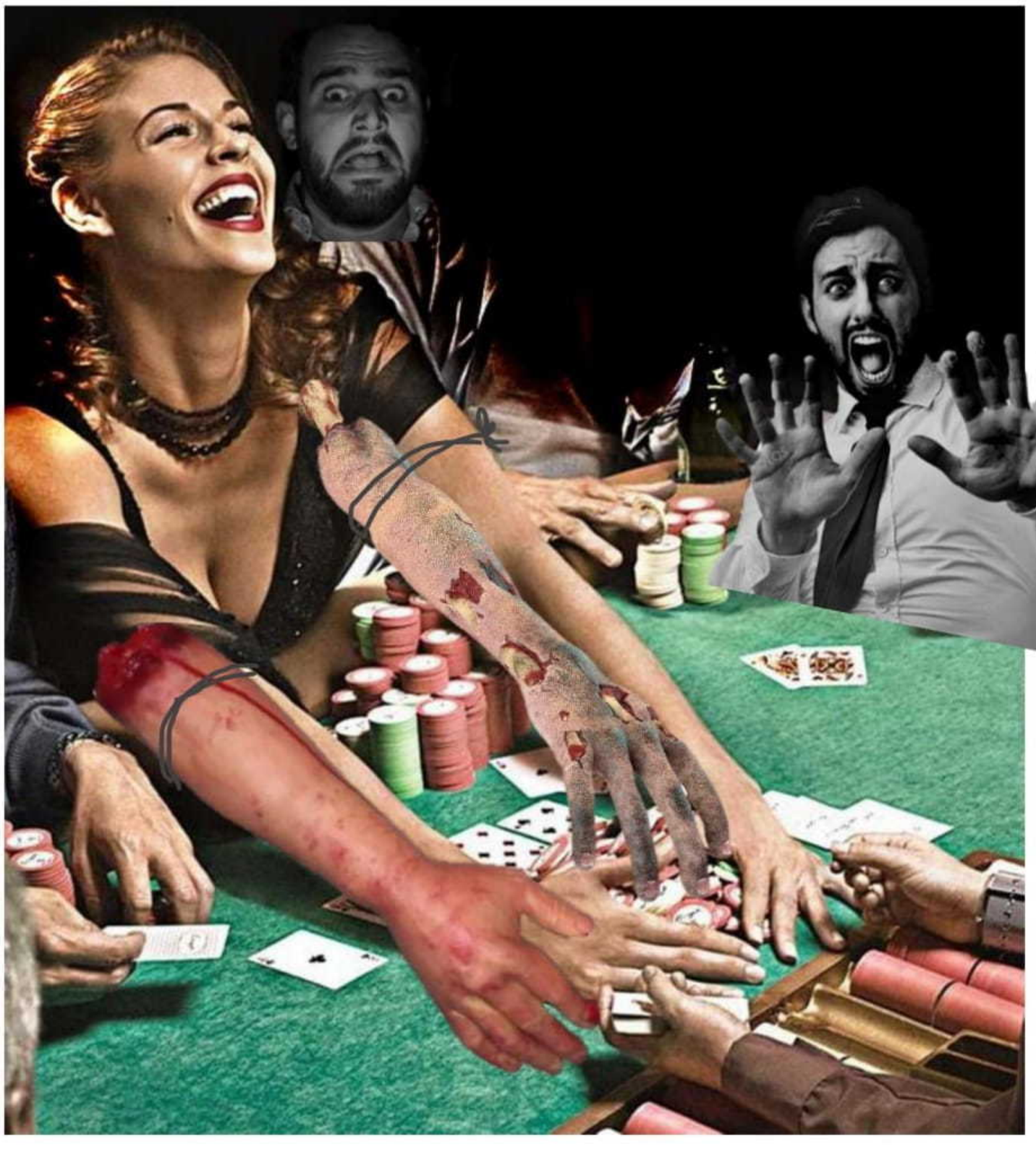
Mamy ją dla Ciebie! Przedstawiamy rozwiązanie wszystkich Twoich problemów: oto unikalna **męska ręka MAXXXI STRONG** za jedyne **69, 99zł**! Istnieje wiele powodów, dla których powinnaś zamówić nasz produkt już teraz!




Strach, że nie zapewnisz rodzinie godnego bytu, spędza Ci sen z powiek? Zarabiasz ledwo 2000 zł na rękę, podczas gdy Twój kolega z biurka dostaje za tę samą pracę dwa razy tyle?



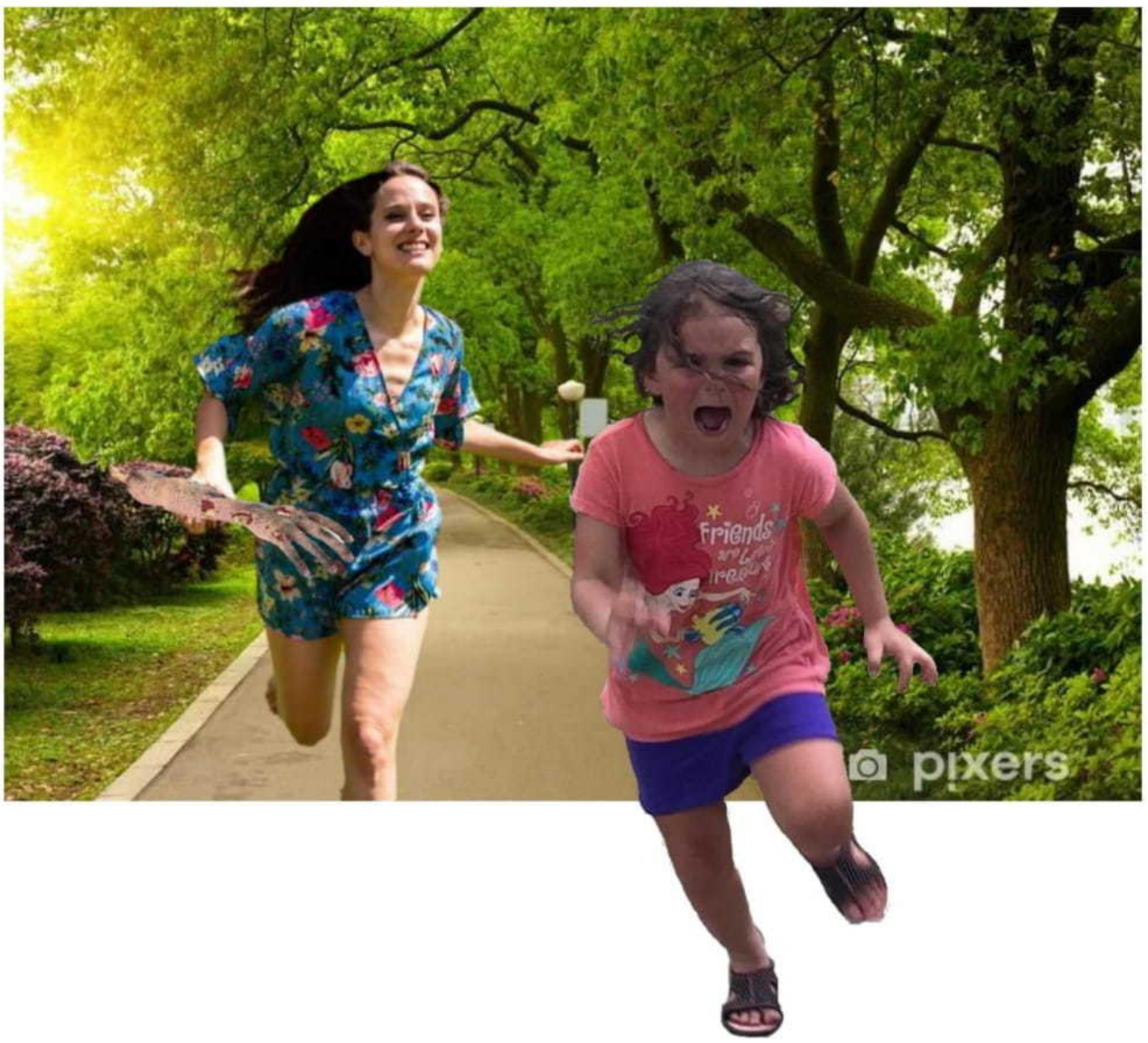
I Ty możesz mieć rękę do interesów! Nie zwlekaj, zadzwoń pod nr 884 617 468 i jeszcze dziś zamów swoją własną **męską rękę MAXXXI STRONG!** Już nikt nie potraktuje Cię niepoważnie w świecie biznesu! Nie będziesz musiała urabiać się aż po łokcie i już nigdy nie wrócisz do domu z kasyna z gołymi rękami!



A w domu? Nie radzisz sobie z wychowaniem dzieci? Masz poczucie, że sytuacja wymyka się spod kontroli? Przydałaby Ci się silna męska ręka, ale zawiodłaś się na poprzednich związkach?



Nie daj wejść sobie na głowę! Z **męską ręką MAXXXI STRONG** szybko zapanujesz nad urwisami i nauczysz je dyscypliny. Wystarczy, że zadzwonisz pod nr 884 617 468 i kupisz **męską rękę MAXXXI STRONG** za 69,99 zł – tak, tylko 69,99 zł! – i odtąd Ty będziesz rządzić w domu żelazną ręką!




Ale poczekaj, jest więcej! Specjalnie dla Ciebie mamy wyjątkową ofertę! Jeszcze dzisiaj możesz mieć nie jedną, ale aż dwie **męskie ręce MAXXXI STRONG!!!** Nie pozwól by taka okazja wymknęła się z rąk! W zestawie za dwie **męskie ręce MAXXXI STRONG** zapłacisz tylko 669 zł!




Czy Twój oddech przyspiesza za każdym razem, gdy słyszysz nieprzyzwoite zaczepki od mężczyzn? Boisz się sama wychodzić z domu wieczorem? Zdarza Ci się, że w barze lub na ulicy nieznajomy próbuje Cię dotknąć bez Twojej zgody?





Rozwiązanie jest na wyciągnięcie ręki! Z **męską ręką MAXXXI STRONG** prędko pozbędziesz się niechcianych odzywek i weźmiesz sprawy w swoje ręce. **Męska ręka MAXXXI STRONG** bez trudu zmieści się w torebce, więc idąc na spacer, będziesz mogła mieć ją zawsze pod ręką!



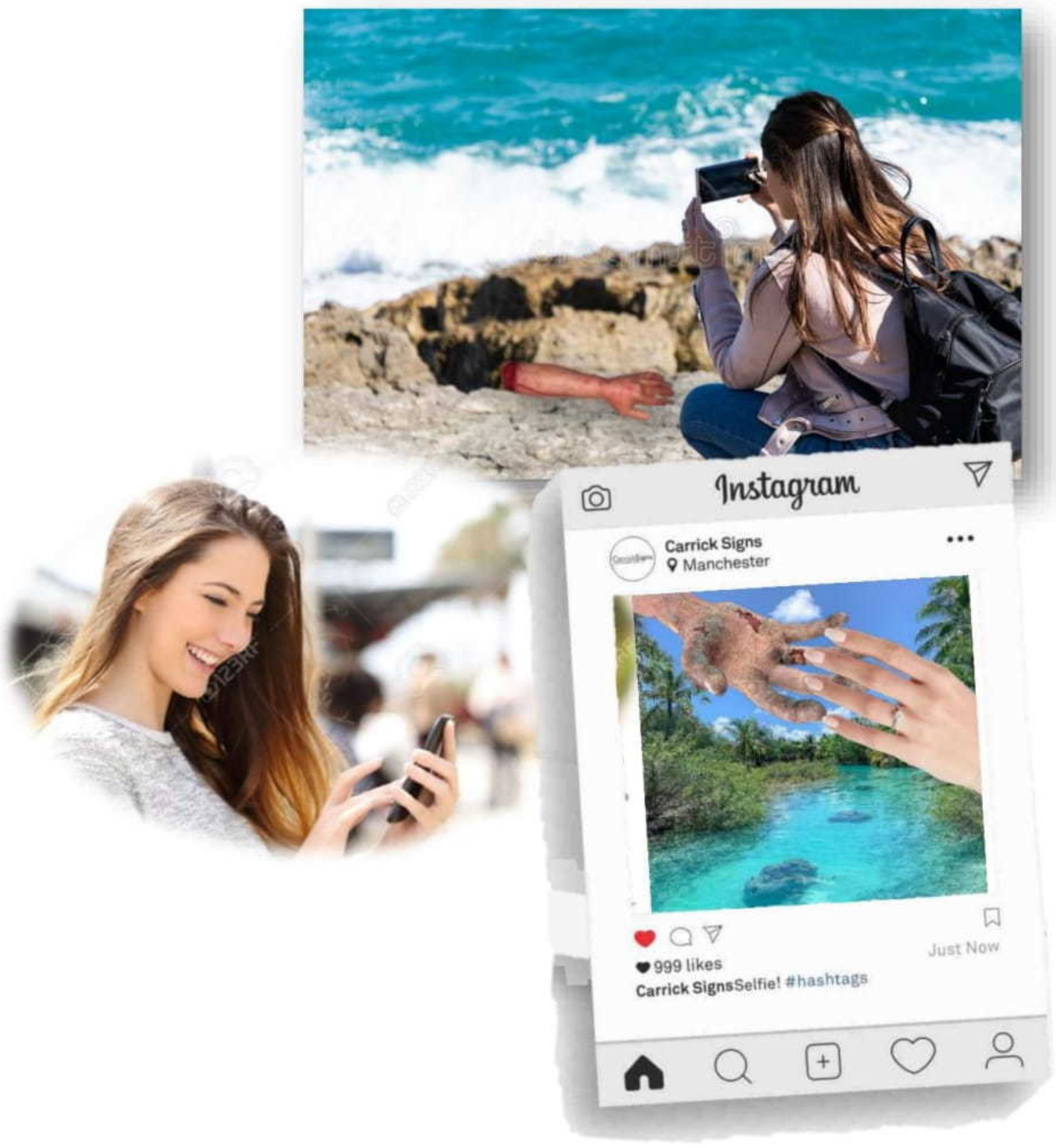


Każdy egzemplarz naszego produktu jest niepowtarzalny. Dbamy o najwyższą jakość, byś mogła cieszyć się życiem w patriarchalnej kulturze!

Rozumiemy, jak trudno jest być singielką we współczesnym świecie. Jeżeli nie możesz patrzeć, jak wszystkie koleżanki wrzucają zdjęcia z zaręczyn i ślubów, podczas gdy Ty nie masz szczęśliwej ręki do mężczyzn, zamów **męską rękę MAXXXI STRONG!**



Zaręczamy, że spełni Twoje oczekiwania! Pożegnaj się z aplikacjami randkowymi! Jedyne, czego potrzebujesz, to **męska ręka MAXXXI STRONG**, która odmieni Twoje życie na lepsze!




Już teraz zadzwoń pod nr 884 617 468 i zamów dla siebie **męską rękę MAXXXI STRONG**, a wszystkie Twoje problemy znikną jak ręką odjął!

Paulina Mocka

**Eat**



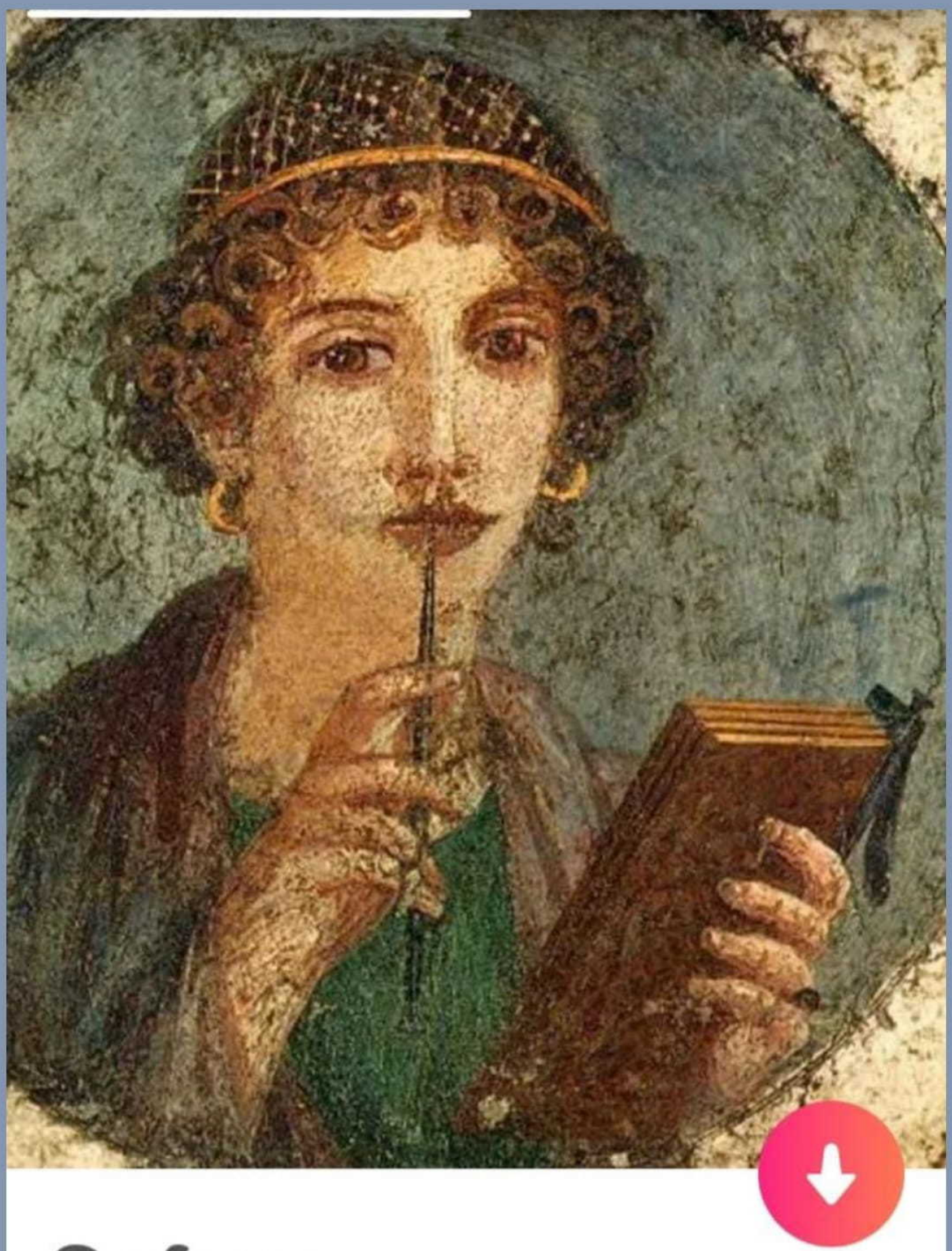
Patrycja Kuchta

**Góralki**



Laura Lange

## Sapho na Tinderze



## O mnie

🌿 Nie szukam miłości, bo już ją znalazłam (💑 Kerkylas z Andros). Chętnie poznamy z mężem koleżankę!
🌿Tworzę poezję (przesuń w prawo), którą dedykuję swoim przyjaciółkom.
🌿Na co dzień jestem dyrektorką w szkole im. bogini Afrodyty dla dziewcząt. Praca inspiruje moją twórczość literacką (poezja dydaktyczna).

Lew | Kot | Palę

## Zainteresowania

Duchowość | Pisarz/Pisarka | Sztuka | Astrologia | Wino

## Moja piosenka




I Kissed A Girl
Katy Perry

Myśl z dawnych wiosen pamiątki grzebie[1] —
Ciche pragnienia ku tobie płyną...
Gdyś mnie odeszła, jasna dziewczyno,
Jedno[2] mi chyba umrzeć bez ciebie!

Łzą rzewną złocąc smutek rozstania,
Uniosłam serce na wspomnień cmentarz —
Lecz się wspomnienie z duszy wyłania
I pytać pragnie: czyli[3] pamiętasz?

— Szumiały złote wesela kruże[4]
Na młodych uczuć wiosennej łące.
Wieńce fijołków brałaś i róże,
Wieńcząc mi łono w mirty kwitnące.

Na moje włosy kwietne wonności
Roniłaś z konchy, kochanko hoża,
Wabiąc mnie szeptem z miękkiego łoża,
Spragniona cichej, młodej miłości.

**Safona** 22

Mieszka w Nomos Lesbos
Heteroseksualna Kobieta
mniej niż 1 kilometr stąd

Katarzyna Łada

## Czarna Perła



Klaudia Kłosowska

## Księga XI



O wiosno! kto cię widział wtenczas w naszym kraju,
Pamiętna wiosno wojny, wiosno urodzaju!
O wiosno, kto cię widział, jak byłaś kwitnąca
Zbożami i trawami, a ludźmi błyszcząca,
Obfita we zdarzenia, nadzieją brzemienna!
Ja ciebie dotąd widzę, piękna maro senna!
Urodzony w niewoli, okuty w powiciu,
Ja tylko jedną taką wiosnę miałem w życiu.

Michał Harat

## Człowiek z żelaza



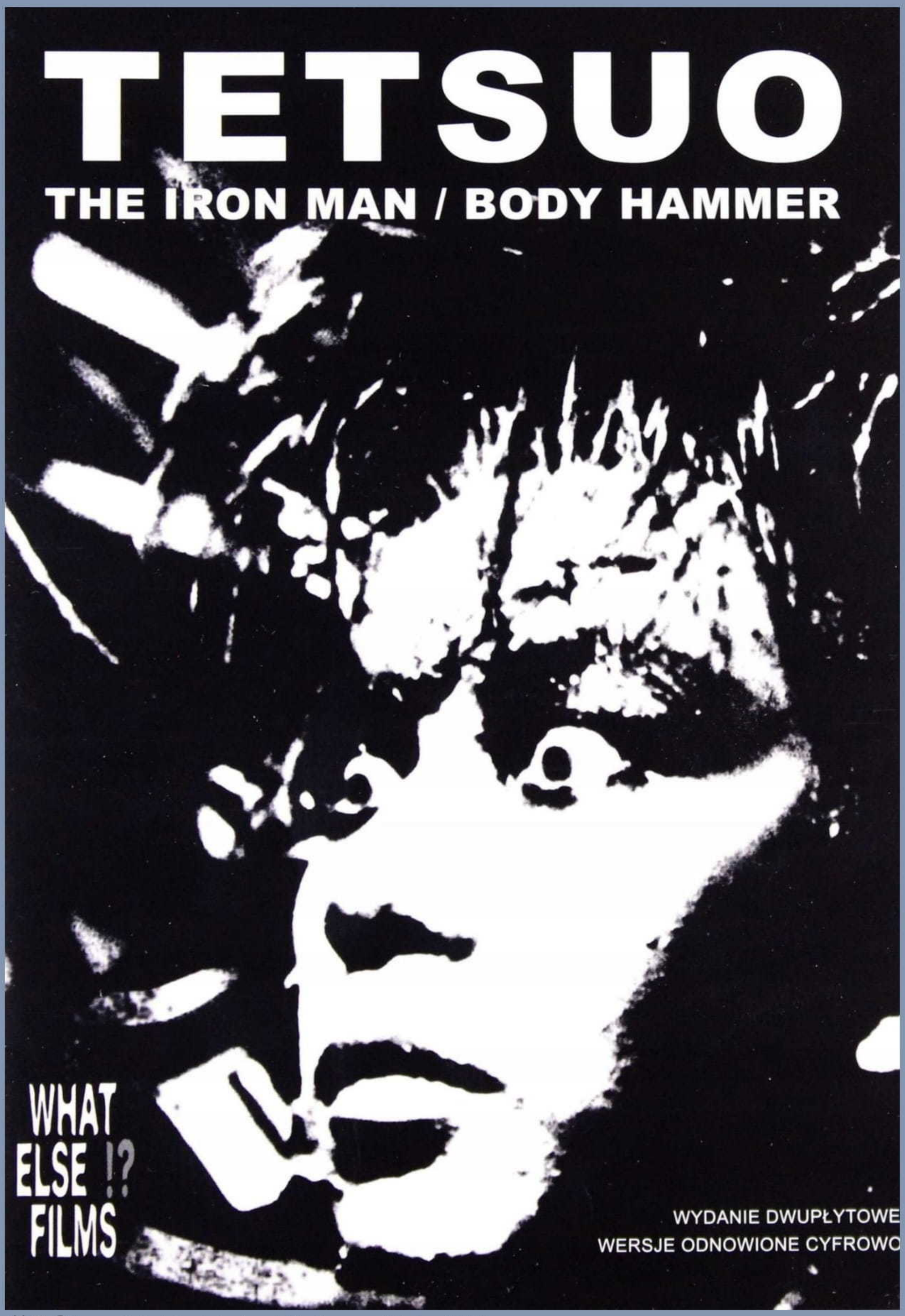

Rafał Olbiński, *Człowiek z żelaza* w reżyserii Andrzeja Wajdy (1981)

Zespół Filmowy "X" przedstawia film Andrzeja Wajdy:

# CZŁOWIEK Z ŻELAZA

Zdjęcia: Edward Kłosiński, Występują: Jerzy Radziwiłowicz, Krystyna Janda, Marian Opania

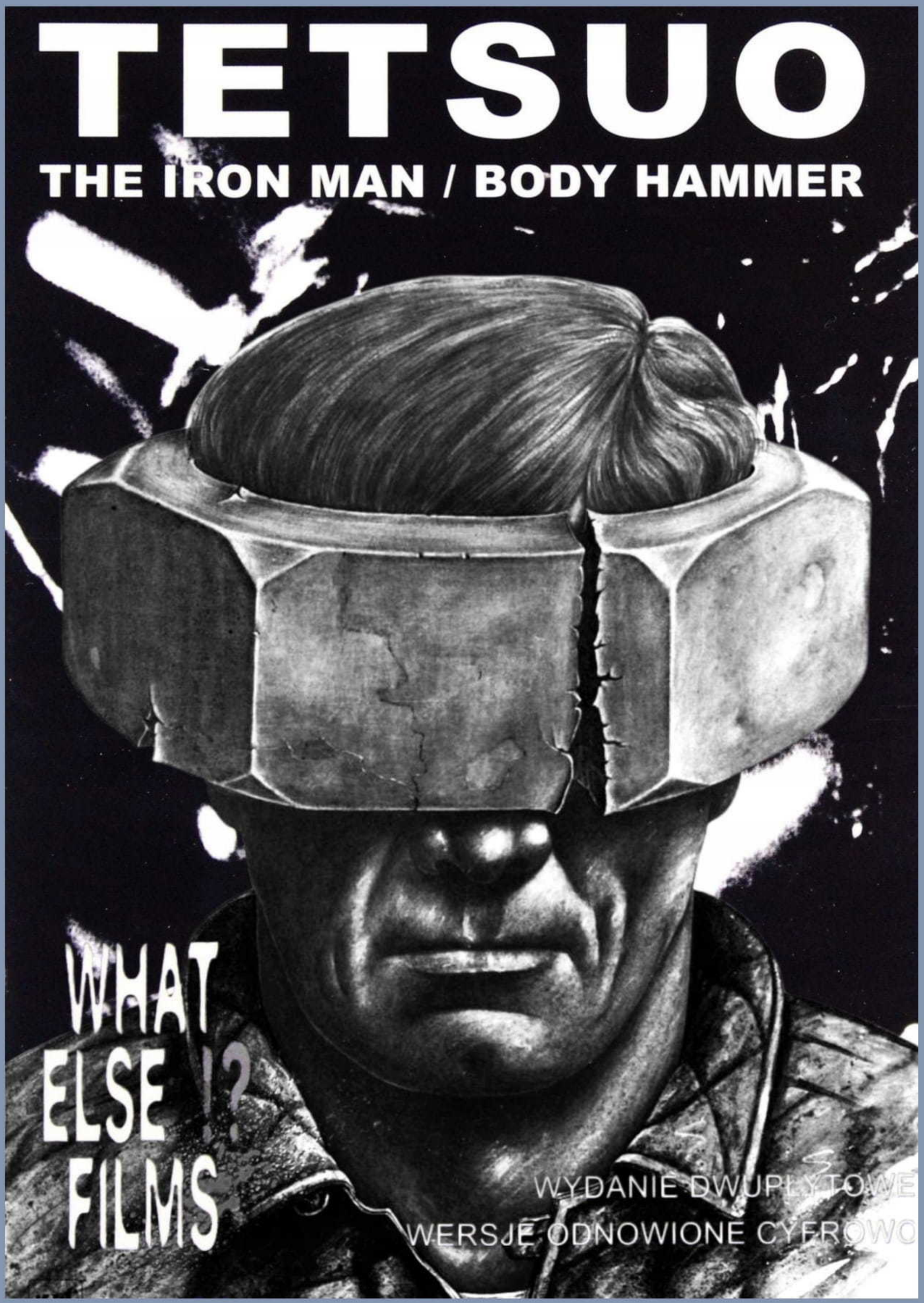





**鉄男** [*Tetsuo: Człowiek z żelaza*], reż. Tsukamoto Shin'ya (1989)

# TETSUO

## THE IRON MAN / BODY HAMMER

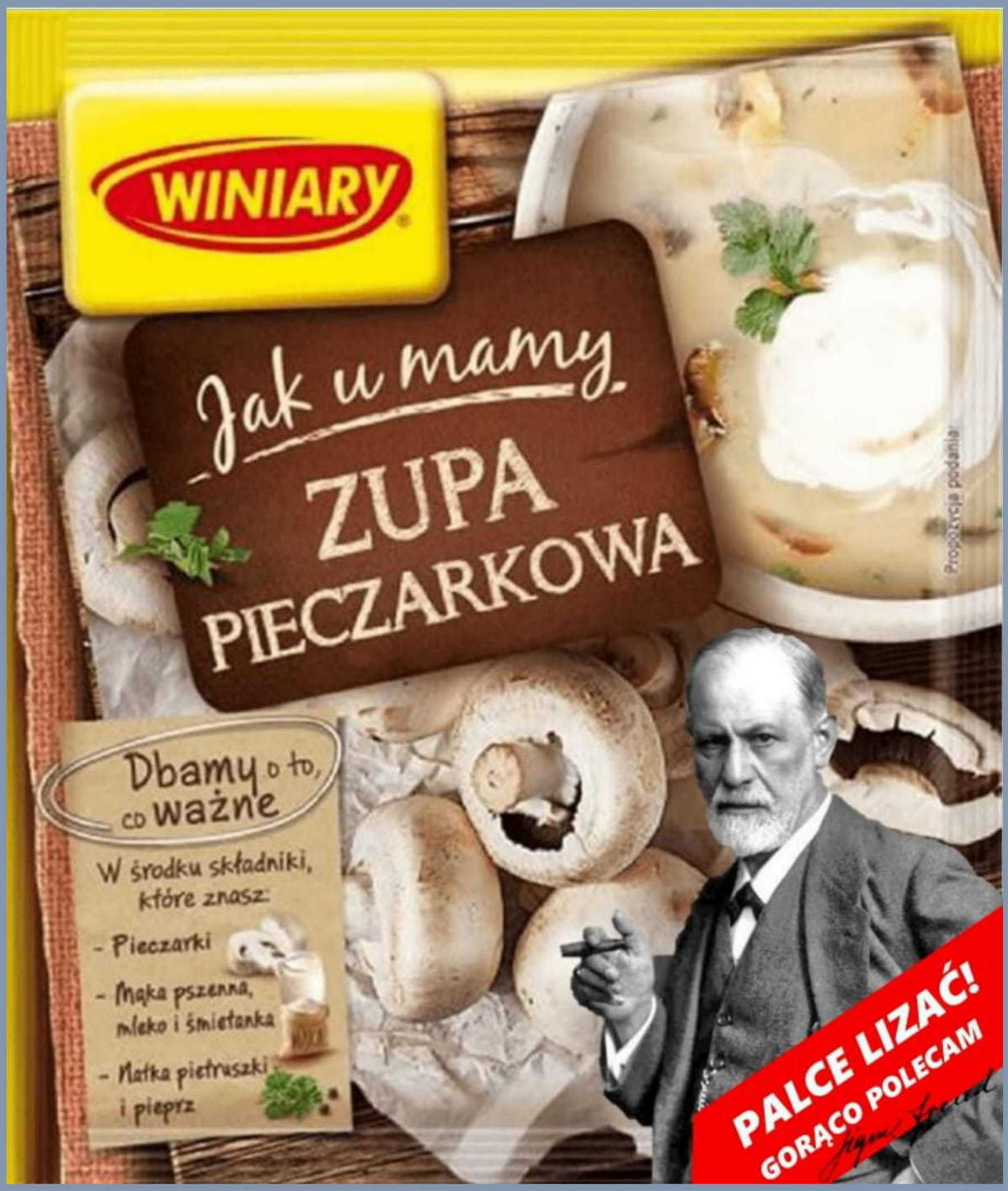



WYDANIE DWUPŁYTOWE

WERSJE ODNOWIONE CYFROWO

Paulina Sokólska

**Zupa jak u mamy**



Paulina Sokólska

# Kuchenne rewolucje



# PROZA



Mark Rothko, *Untitled / Seagram Mural* (1959)

Beata Budzkowska

## Jeż

– Pytam, czy działasz intuicyjnie?!

Nie wiedziałam co, odpowiedzieć. Sytuacja była dość absurdalna. Mój mózg zadawał takie pytania, jakby to wcale nie był MÓJ mózg. Przecież mój mózg nie umie myśleć racjonalnie, a już na pewno nie jest logiczny. Skąd więc takie logiczne pytania?

Tak mnie to wybiło, że przez dłuższą chwilę siedziałam pogrążona w ciszy. Mój wzrok próbował przebić się przez otaczającą ciężką i mokrą ciemność... Nic nie widziałam, tak mi się przynajmniej zdawało. Wydawało mi się, że siedzę w ciemnym, ciasnym i mokrym pokoju, otoczonym, jak gdyby wilgotnymi starymi kołdrami, które oddychają miarowo powodując jeszcze większe uczucie ciasnoty. Całkiem to było przyjemne, dość komfortowe wręcz. Fizycznie czułam się bezpiecznie, gdyby nie te ciągłe, rozlegające się nie wiadomo skąd pytania, wybijające mnie wbrew mojej woli z przyjemnej i wcale nie takiej niewygodnej strefy komfortu.

– No więc, działasz intuicyjnie czy nie?!!

Głos był zirytowany.

Może i działam, Jezu..., ale nawet jeśli tak, to co z tego...? Nie miałam jednak odwagi, aby powiedzieć to głośno. Kto wie, pomyślałam, jak zostanie to wykorzystane? Może uznają, że jestem bezczelna, albo, że wiem, czego chcę, lub, nie daj boże, czego nie chcę. Zastanowiłam się chwilę. To przecież jasne, że działam intuicyjnie, jak najbardziej intuicyjnie się da, co za absurdalne pytanie! A kto w ogóle pyta?! Postanowiłam milczeć.

Czas zaczął się jakby dłużyć. Kołdry wypełniające pokój nadal oddychały miarowo. Było ciepło. Chyba nawet przysnęłam chwilę, jednak krzesełko, na którym siedziałam nie pozwoliło na zbyt wygodny i przyjemny sen. Mój mózg też chyba przysnął, bo przez chwilę czułam błogi stan niebytu. Miałam nawet śmieszny sen, że siedzę na przesłuchaniu, w ciemnym pokoju, na twardym drewnianym krześle, a na wprost mnie – czego nie byłam w stanie dojrzeć

z powodu ciemności – stoi mały drewniany stolik, na którym siedzi mały jeż, i to on zadaje mi te idiotyczne, nie wiadomo do czego zmierzające pytania.

Obudziła mnie głucha cisza. Taka, wiecie, co aż boli w środku mózgu. Taka cisza, jak pustka, która jest o wiele gorsza od idiotycznych pytań. Gorsza nawet od poczucia smutku, beznadziei czy poczucia winy. Po prostu nie ma w niej nic. Taka jest straszna. Wypełnia głowę i czujesz, jakbyś nie istniał, jakbyś nawet nigdy nie chciał istnieć i, co gorsza, nigdy już nie miał istnieć. Jesteś od krok od tego, aby się zupełnie nie czuć w żaden sposób. No i ta cisza właśnie mnie obudziła, a raczej wyrwała z krótkiego przyśnięcia i znowu poczułam, na szczęście, że siedzę na twardym krzesełku w ciemnym pokoju wypełnionym wilgotnymi, oddychającymi kołdrami. Widziałam tylko tę ciemność i czułam obecność jeża siedzącego na niewidocznym starym stoliku na wprost mnie. Modliłam się, aby znowu o coś zapytał.

Jeż chyba nie był głupi, bo milczał dość długą chwilę. Nie wiem, może sam przysnął? Albo po prostu chciał mnie wziąć na przetrzymanie. Przeszło mi nawet przez myśl, że wcale nie jest absurdalnie, a przynajmniej nie bardziej niż bywało wcześniej w moim życiu. Takie oto wydarzenie, kolejne z serii: życie Beaty Budzkowskiej. Nic mnie już chyba nie zaskoczy. Nawet gadający jeż. Pomyślałam, że jak się teraz odezwie, to mu odpowiem. Nawet chętnie z nim pogadam. W sumie, jeżeli jest taki mądry i bystry, że trzyma mnie w tym ciasnym i dziwnym pokoju pełnym mokrych kołder, z którego wcale nie chcę wyjść, to może będzie znał odpowiedzi na moje pytania? A mam ich trochę…

Myśli same zaczęły płynąć, jakby jakaś niewidzialna tama opadła i puściła ten potok niewyobrażalnie silnych skojarzeń uczuć pragnień, z których sama sobie nawet nie zdawałam sprawy. To znaczy wiedziałam, że są, ale żeby aż tyle…? Pomyślałam w mgnieniu sekundy, że biedny jeż, jak on mi to wszystko wytłumaczy, skąd on to będzie w ogóle wszystko wiedział? Wszystko wypłynęło, cale moje radosne i smutne życie, wszystkie sytuacje, których nie chciałam i chciałam zarazem, wszystko co mnie podniecało, fascynowało, i ekscytowało, i wszystko to, co sprawiło, że traciłam oddech z żalu i smutku, i płakałam tak mocno, że aż nie wiedziałam, że to ja tak płaczę. To wszystko wypłynęło zza tej tamy pozorów i schematów, które sama zbudowałam z pomocą wszystkich moich bliskich, którzy podobno chcieli dla mnie tak dobrze.

Czekałam na pytania od jeża.

Tymczasem upływały chwile, dziesiątki i setki chwil, a ja wciąż czekałam na pytania. Powoli zaczynałam się martwić. Co, jeśli nie ma tu jeża, że to tylko moja wyobraźnia go stworzyła, a ja rozmawiam sama ze sobą, i że nikt już nigdy nie sprawi, że będę szukała odpowiedzi. To było bardzo smutne. Zrobiło mi się tak niewyobrażalnie smutno i żal, jak gdybym znowu była małą dziewczynką, która jest zdana sama na siebie. Tylko na siebie. Kto chce tak się czuć?

Po upływie jednej z tych milionowych chwil, kiedy straciłam wszelką nadzieję na jakikolwiek kontakt z tym niewiarygodnym stworzeniem, odetchnęłam wilgotnym i ciepłym powietrzem z głębi mojego ciasnego pokoju. Trudno, bez jeża też może być spoko. Czyli tak, wiecie, normalnie. Wstanę, pójdę do pracy i w ogóle tyle rzeczy mogę robić. Serio, po co mi jeż. Właściwie już dawno się z tym pogodziłam. Wybaczyłam jeżowi, że go nie ma, jakkolwiek idiotycznie to nie brzmi. Nawet nie wiem, dlaczego jeszcze czasem na niego czekam. Zamykam się tu i czekam, aż mnie o coś zapyta, albo chociaż westchnie, dając dowód na to, że istnieje. Taki, o, wesołek, lubiący robić mnie w jajo. Powinnam się przyzwyczaić. No ale człowiek jest głupi, nie myśli racjonalnie.

Pokój nagle wydał mi się za ciasny, pomyślałam, że chcę wyjść. Nie chce mi się tu samej siedzieć, nie chce mi się słuchać tych miarowych oddechów wilgotnych kołder, które niby mają stwarzać poczucie bezpieczeństwa, ale w gruncie rzeczy są pełne bakterii, brudu i jakichś bliżej nieokreślonych materii żywych, które wcale nie dają poczucia komfortu, wręcz przeciwnie, tak mnie ciasno opatulają, że tracę oddech i nie mogę nic zobaczyć, dotknąć ani poczuć, bo to wszystko mnie za bardzo osacza i obezwładnia. Zabiera mi moją przestrzeń osobistą. Nie chcę tego.

Zaczęłam się delikatnie szarpać, tak naprawdę delikatnie, aby nie popsuć za bardzo tej bardzo wątłej struktury kołder, która żyła swoim nitkowatym wątłym życiem. Mogłabym ją poprzerywać, siłą jakoś podrzeć, rozwalić, rozedrzeć itp. Ale wiedziałam, że tego nie zrobię. W gruncie rzeczy wciąż miałam zakorzenione poczucie odpowiedzialności za swoje czyny, byle tylko nie zepsuć czegoś, co nie moje. Byłam delikatna, ale nie pomogło. Dalej siedziałam na starym drewnianym krzesełku w ciasnym oddychającym pokoju.

I wtedy właśnie zrozumiałam, że stąd nie wyjdę, nie będę mieć tyle siły, aby to zniszczyć, rozwalić i uciec, bo po prostu nie umiem tak. Nie umiem. Poczułam złość, potem smutek, trochę żalu, a potem taką obezwładniającą obojętność i zgodę na to co mnie czeka. I wtedy właśnie usłyszałam jego:

– Pytałem, czy działasz intuicyjnie…?

* * *



Maurice Sendak, *Hans mein Igel* (ilustracja do baśni braci Grimm) [1973].

Kinga Sokołowska

## Spomiędzy…

Spomiędzy poskręcanych gałęzi wierzby mrugały do mnie konstelacje, wyciągając promienie niczym boskie ręce, kiedy przerzucałeś grudy ziemi, by pochować moje ciało. Zimny wiatr nadchodzący od morza kąsał twoją skórę, gdy zanurzałeś palce w wilgotnej, twardej ziemi. W powietrzu nie było nic, nic oprócz cichego śpiewu morza i oddechu, którego już nigdy nie zaczerpnę. Twoje płuca wciąż pracowały, raz po raz, monotonnie, z wysiłkiem, próbując nadążyć za arytmiczną pracą twoich rąk. Księżycowy blask przeglądał się w mokrej powierzchni policzków, niemożliwe było stwierdzić, czy zrosił je pot, czy też rosa.

Byłeś niczym wić z ziemi, przedłużeniem natury, jedną z kończyn tego miejsca; nutą w sonacie mchu i fal, rozedrganych gałęzi i szepczących liści, częścią nieskończonego spokoju wszechświata, równie wielkiego i małego, jak to wzgórze, które wybrałeś. Pachniało wilgocią. Słoną bryzą morza i słodyczą dającej życie ziemi, której niewinność miałeś zbrukać, by ukryć ręce, których więcej nie uściśniesz, i oczy, których spojrzenia już nigdy nie poczujesz.

Czułeś to wszystko. Nie wiedziałeś o tym, nie zdawałeś sobie z tego sprawy, zaczarowany przez rytmiczny ruch przerzucania ziemi, lecz rola twej świadomości została oddana mnie. Moje ciało tam było, tak samo jak i ja. Ono nie mogło już widzieć, ale ja – tak. Jak twoje nerwy kiełkują, wyrastają z twych kolan i piszczeli, między źdźbłami ciemnej trawy brnąc niżej, aż do korzeni wierzby, by tam, w pradawnym tańcu, złączyć się z nimi. Noc na ciebie wpływała. Gnieździła się w tobie, choć może wypadałoby powiedzieć, że powracała do siebie. Musiała już wcześniej cię odwiedzić, skoro zabrałeś tu moje ciało.

I już nie byłeś gościem pod wierzbą. Byłeś jej częścią, fundamentem, czystą naturą otwierającą wrota wzgórza, ujawniającą jej wnętrzności. Czułeś, jak ziemia pchała się pod twoje paznokcie, gdy ty pchałeś w nią palce. Drobinki jej chowały się w liniach papilarnych, i widziałeś już, że nigdy się ich nie pozbędziesz. Nieważne, ile razy umyjesz dłonie, ile razy zedrzesz z nich skórę, ile razy zaciśniesz je na żarzących się węglach, karczując korzenie nerwowe – one wciąż tam będą. Nawet gdy to gołębie serce w twojej piersi bić przestanie, gdy woda wedrze się do gardła, gdy niebo wyciągnie ręce ku tobie, ziemia zawsze będzie pod palcami twoich rąk.

Pamiętam. Pamiętam, jak zacisnąłeś wtedy usta. Jak twoje ruchy przyspieszyły. Jak gdyby sztorm wlał się w twoje kości, gnając je do ucieczki, prędkiej, natychmiastowej, nienaturalnej. Zacząłeś kopać szybciej, gwałtowniej, desperacko próbując dostać się do serca wzgórza, by błagać je o przyjęcie mnie. Wyrzucałeś grudki ziemi w powietrze, na krótko, nim z impetem uderzały we wzgórze, ale i w twe spracowane plecy. Czułeś, jak do ciebie przywierają, te niewielkie, ciemne plamy, jakby brały cię w swoje objęcia. Im głębszy był dół, tym cięższe się wydawały.

Straciłeś spokój. Wyrwałeś się z naturalności, utraciłeś rytm. Zaciśnięte zęby szczękały, zatruwając nocną melodię nieprzyjemnym odgłosem. Źrenice drgały niczym kryształy zawieszone na napiętej nici. Wtedy też twa dłoń natrafiła na korzeń, siłą zderzenia rozerwała skórę, krew zrosiła ziemię, a ziemia wniknęła do krwi.

Wraz z krwią, przez ranę, napięcie znalazło ujście. Zabrałeś dłoń jak oparzony, szepcząc „Kurwa", ale to moje usta się poruszyły. Krew spływała bokiem mojej dłoni, gdy w twoich oczach błysnęły łzy. Szklisty blask próbował naśladować gwiazdy ponad, ale daleko im było do ich piękna.

Łza spłynęła twoim policzkiem, choć ślad pozostał na mojej twarzy.

Wyprostowałeś się, ściskając zranioną dłoń niczym ofiarę. Zamknąłeś oczy, łzami sklejając rzęsy. W nocnym świetle nieba wyglądały jak szuwary, skrywające wszystkie tajemnice jeziora. Twoje ramiona się uniosły. Wraz z drżącym wydechem uleciały z ciebie wszystkie siły, i na moment spokój powrócił pod wierzbę. Twój widok hipnotyzował, wydawałeś się oceanem, od którego nie sposób oderwać wzroku – gdy panował spokój, przygniatał bezmiarem, gdy dawał ponieść się wiatrom, emocjom, ujawniał nieprzewidywalność, był niczym zagadka bez odpowiedzi.

Na moment wszystko przestało istnieć. Wierzba, morze, nocne niebo i wyrwa w ziemi. Martwe ciało trzy kroki dalej. Śpiące w oddali miasto. Byłeś tylko ty, twoje zamknięte oczy i biorące oddech usta, oraz martwy człowiek, nie mogący oderwać od ciebie wzroku. Nie było myśli, nie było niepewności, zabrakło emocji.

Był tylko spokój.

Wtedy zdałeś sobie sprawę, że chyba nie chciałeś mnie zabić.

A może chciałeś. Nie sposób tego stwierdzić, tak samo jak nie sposób było stwierdzić, w której z naszych piersi wciąż biło serce. Nocne murmurando żegnało nas w akompaniamencie cichego stukotu, kiedy moje kości odnalazły ciepłe objęcia wzgórza.

Stanąłeś nad grobem. Wyrosłeś nad nim niczym druga wierzba, w idealnej symetrii, niczym odbicie w krzywym zwierciadle. Takie same. A jednak zgoła inne. Zastanawiałeś się, czy twoje dzieło to jeszcze grób czy już grobowiec, a potem zapytałeś sam siebie, czy wyrwie w wilgotnej ziemi wypada być mogiłą. Czekałeś na odpowiedź, na niski pomruk gleby i tego, co rządzi światem

pod nią, jednak nie ich imają się sprawy tak przyziemne jak nadawanie rzeczom imion. To ludzka działka.

Zrozumiałeś to. A może już wcześniej to wiedziałeś, w przeciwieństwie do mnie. To w moim sercu tliło się pragnienie władzy, a twoje żebra tworzyły klatkę wokół niego.

Wtedy też się poddałeś. Oddałeś lejce władzy oczom, powierzając wszystko jednemu zmysłowi, temu najbardziej bezbronnemu w świecie nocy. Spojrzałeś po raz ostatni na własną twarz leżącą we wnętrzu wzgórza.

Rozluźniłeś ciało i pozwoliłeś życiu ulecieć.



*Der Student von Prag*, reż. Henrik Galeen, zdj. Günther Krampf, Erich Nitzschmann (1926)

Paulina Sokólska

## ∞ Eternity ∞

Mogłyśmy leżeć na blasze rozgrzanej w lipcowym słońcu, jeżeli chcesz, na końcu sadu w południe żarna Twe włosy pszeniczne ze szczytu lata jak drzew pochodnie lałyby się sennie, łagodnie, Ty leż, Dachau stałby w płomieniach, mlecze, zbłąkane ognie, Mogłyśmy być wiecznie, wiesz? Kości tarniny trzeszczałyby cicho, szeptałby stary gliniany piec: nie będzie chleba bez prochów, mąk, Mogłyśmy leżeć odludne, białe, w inny tarniny wapienny kwiat bieleć i biec za ten płot drewniany, konać z gorąca na falach blach. Leżmy, trzeszczałyby papierówki, mokre, czerwone jak pot, co ściekałby nam po skroniach zranionych do rynien koryt, kap, kap i och!

Trącałabyś bosą stopą przy tamtej rynnie strapiony strop, cierpką, blaszaną święconą rosą skrop moje nieba, gdzie kurz, skrop, proszę, gdzie wszelki Dach nad wodami, gdzie ranne zorze wstawają, szare morze mi wróć, w dal zapatrzenie, co z Tobą zabrali, z maku litanie zbóż. Śniłabym w ustach agresty, na jawie, przewracasz się miękko, dłonie za głową kładziesz, ja ręką zasłaniam oczy piekące, prawie tak jest, jak długo jeszcze, jak błogo dzisiaj strzelają w głowie, agrest, czereśnie, o jeden gest i na kolana, niemal w ramiona moje zemdlona, za dni tysiące, osuwasz się, w gruzy cesarstwa, Rym, a koniec końcem, oddałabym wino za zwykły chleb, abym do końca życia mogła nazywać Cię: Moje Słońce.

Co mi po płucach, wydech i wdech, jeśli nie znają, co to jest popiół, jak pachną siano, chabry i krew, jeśli nie było przenigdy lata, w którym byś przyszła z naręczem ziół, w przededniu wojny, stojąc u progu, wieczności zbędny kościół, na strwon oddałabym ogniom wnętrzności, Bogu jak psu na budę mosiężny dzwon, czemu nie mogę wiatrem się rozwiać, watą dmuchawców zabitych we śnie i każdą pieśnią zamarłych ust, nim ich mruczenie ucichnie dymem, w obłokach zawrze modlitwa pszczela i skrzydła trzasną sucho jak chrust, Wróć mnie, gdzie byłam u końca dróg, gdzie nadal słodka sercu Niedziela.

Pośród łopuchów puchłyby płuca, rymem padałyby krople gwiazd, szumem zastygłym w brzęczeniu trzcin, mogłabym zawsze u Twoich stóp leżeć bez ruchu, rozumieć w końcu, po co są ciało, kaszel i miód, jak pęka skóra spieczonych warg, gdy się dryfuje na wyschłym morzu i praży, piecze wapno gaszone, kark, toną w bieli po pas jabłonie, na duchu lekko, na nic nie czekać, ciążyłyby jabłka w zanadrzach, słowa, mleko dojrzałe w wymionach krów, otwarte oczy, powieki wieków zamknij i za mnie pacierze zmów.

* * *

Śpiewałam Ci w sadach, o zmierzchu, o wodzie śpiewałam wianki, wianki i gusła plotłam nam we dnie zielone. Śniłam o Tobie pierwszej we wstęgach, gorączką zdjęta, zwieszona głową, na dachu, krzyżu każdym rozpięta, myślą, uczynkiem, pismem i mową. Chodziłam w prawo, chodziłam w lewo, lecz smagał próżno równinę wzrok, zawodził lament, bujnym, odludnym kwieciem zarastał każdy Twój krok. Byłaś mi zawsze w myśli Aniołem, od białych włosów serce mi pękło, czemu nie może się rozwiać popiołem? Wolałam Cię miękką, cichą nad ranem, na falowanej blasze, we wszystkim, co by przez chwilę choć mogło być nasze: w zdrowiu, w chorobie, w kurzu na drodze, w pękniętym chlebie, w sitowiu traw, w tańcu, i w biedzie, gdy będę klęczeć z żalem-pół śpiewem, od złego zbaw, przy każdej budzie świata na smyczy, zapłoną stosy, zarżną topole, brzozy i lipy, a w każdej z nich Twoje ciało przyjdzie mi wbić szare oczy, dla eternitu elegie, będę za Tobą wyć wniebogłosy, Mogłyśmy być –



Beata Budzkowska

# Apostazja

**A**postazja dokonana.

**B**óg tak chciał.

**C**zemu więc czuję niepokój?

**D**łonie same układają się w znienawidzony gest poddaństwa.

**E**wentualnie – pomyślałam – pójdę do kuchni zaparzyć sobie herbaty, może mi przejdzie z tymi rękami?

**F**ranciszek spogląda na mnie zza cienkiej, pobitej szybki kuchennej komody.

**G**orycz zielonej herbaty jest najlepsza na problemy duszy.

**H**erbata stygnie, a ja siedzę wpatrując się we Franciszka.

**I** po co mi to było, pytam sama siebie.

**J**ak gdyby omijanie wszystkich kościołów w mieście mi nie wystarczyło…

**K**ościół św. Jakuba, na przykład, jest bardzo ciężko ominąć, stoi w samym centrum naszego miasteczka.

**L**ubię też ten równomierny, głuchy i jakby nie z tej epoki dźwięk dzwonów kościelnych, których często z babcią słuchałyśmy, otwierając szeroko drzwi balkonowe.

**Ł**atwiej by mi było, gdyby babcia żyła.

**M**yślę, że, kto jak kto, ale ona na pewno by zrozumiała.

**N**ic nigdy nie było dla niej gorsze, niż życie w niezgodzie z własnym sumieniem.

**O** hipokryzji nawet nie wspomnę.

**P**amiętam, jak kiedyś, krótko przed swoim odejściem, powiedziała mi, że już nie wierzy.

**R**ozumiem to dopiero teraz.

**S**łyszę czasem w myślach jej stanowcze, mądre i cieple słowa:

„**T**o twoje życie, Beatko, musisz je przeżyć tak, aby mieć spokój w sercu.

**U**wierz mi, dziecko.

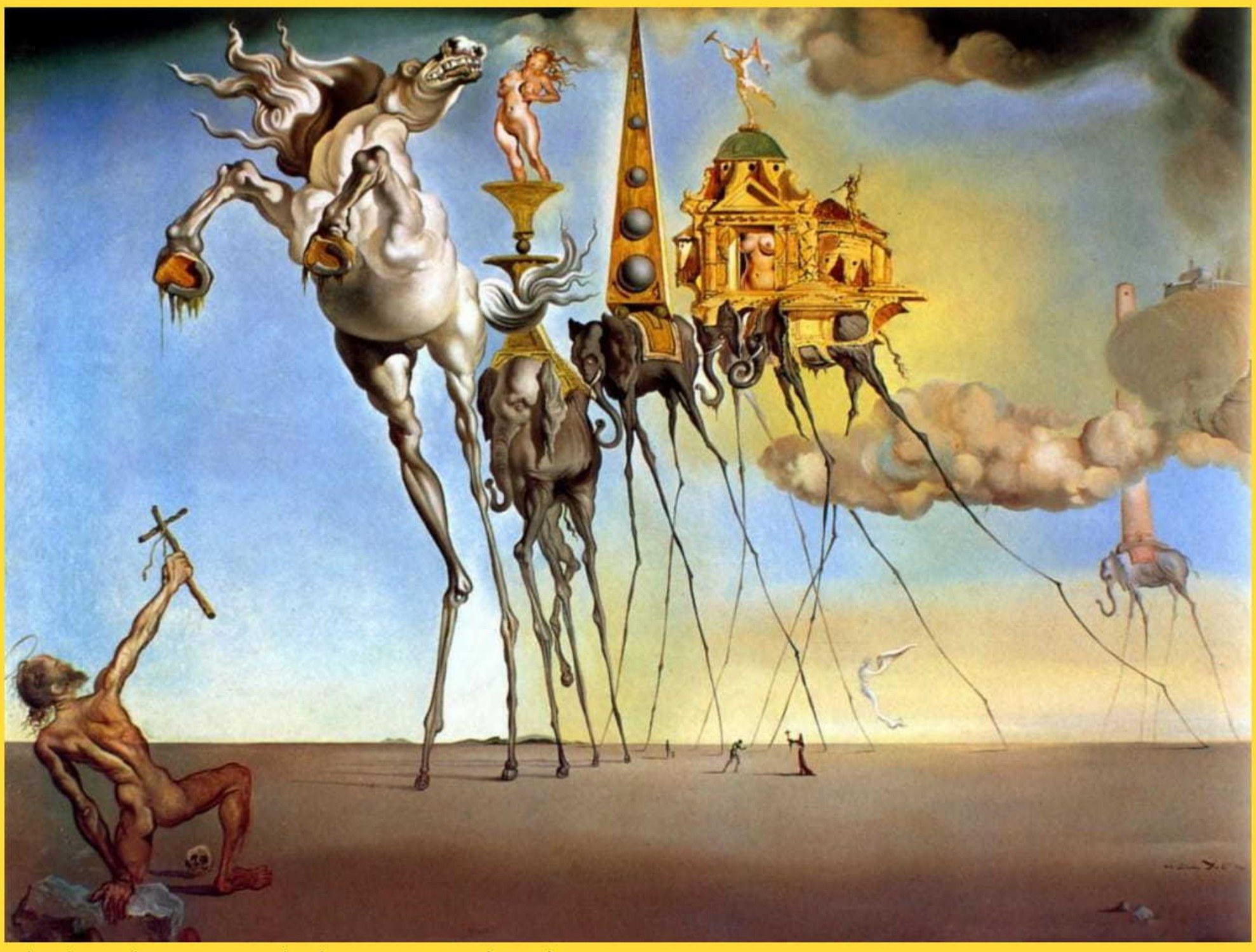
**W**iara musi być silna, słaba wiara nie ma sensu i znaczenia.

**X**rzyż nie jest gwarancją zbawienia”

**Z**achodzące słońce delikatnie wpada do pokoju przez uchylone drzwi balkonu.

**Ź**ródło życia.

**Ż**ycia w zgodzie ze sobą.



Salvador Dalii, *La tentación de San Antonio* (1946)

Malwina Prusinowska

* * *

Uśmiecham się? To za mało powiedziane. Moją twarz rozjaśnia rząd zadziwiająco prostych i śnieżnobiałych zębów, a usta są obolałe od nieustającego rozciągania. Nie widzę żadnej niezadowolonej twarzy w tłumie, który otacza nasz wóz. Rękę mam bez przerwy podniesioną do góry, machającą do zgromadzonych wokół nas, co powoduje jeszcze głośniejszy okrzyk i radość. W końcu każdy myśli, że to właśnie do niego skierowany jest mój gest, a ta świadomość pokrzepia ich serca. Taka jest moja rola – sprawiać, że ludzie zapominają o swoich zmartwieniach. W niepamięć odchodzi myśl, że nasz kraj jest na skraju wojny i to, że jeszcze przed jej rozpoczęciem jesteśmy na straconej pozycji. Magia naszego ludu praktycznie wymarła, podczas gdy nasz przeciwnik rośnie w siłę każdego dnia. Nie zmienia to faktu, że jeśli król wraz z rodziną wychodzi do ludu bez cienia zmartwienia wymalowanego na twarzy, to nie może być tak źle, prawda?

Nie brałem udziału we wczorajszej naradzie, ale to ich błąd. Nie dopuszczają do niej nikogo poza następcą tronu. Nie przeszkodziło mi to, bo wiedziałem, jak przebiegło spotkanie zaraz po jego zakończeniu, a późniejsze rozkazy mojego ojca tylko potwierdziły trafność informacji, które mi dostarczono. Sytuacja w kraju nie prezentuje się zachęcająco. Ludzie coraz częściej mówią o konflikcie między naszymi sąsiadami zza gór. Chaos, zamieszanie i lęk, dokładnie temu ma zapobiec to przedstawienie, w którym biorę udział na życzenie króla. Poddani uwielbiają rodzinę królewską, a możliwość zobaczenia nas z bliska sprawia, że tracą zmysły. Tego chciał ojciec i cała jego rada, dążą do tego od lat. Ludzie zapatrzeni we własnego władcę jak w obrazek, są łatwiejsi do sprawowania kontroli. Według mnie to totalne szaleństwo, bo na nic się to zda, gdy wróg przedrze się przez nasze granice i zaatakuje mieszkańców. Król, którego tak wielbią, nie przyjdzie im na ratunek. Jestem przekonany, że z chwilą natarcia ucieknie z kraju, zostawiając swoich wielbicieli na pewną śmierć. Jak tchórz, którym niewątpliwie jest. A Charles? Chciałbym wierzyć, że nie uda się za ojcem, że podejmie próbę obrony naszego dziedzictwa i stanie z mieczem

wśród swoich rodaków, jak należy zrobić, dzierżąc tytuł następcy tronu. Jednak z każdym dniem coraz bardziej zaczynam wątpić w jego honor.

Po powrocie do zamku odczekałem ponad godzinę. Będąc nieustannie obserwowanym i chronionym, ciężko jest wydostać się poza mury zamku, co nie znaczy, że jest to niewykonalne. To po prostu niewielka przeszkoda. Naraz w pomieszczeniu rozległo się pukanie.

– Proszę! – Dałem przyzwolenie.

– Wasza Książęca Mość – rzekła młoda służąca, jednocześnie dygając. Podeszła chwiejnym krokiem do drewnianej ławy na środku komnaty.

– Najwyższa Kapłanka prosiła o przekazanie, że picie herbaty nasennej nie jest stałym rozwiązaniem i zaprasza na rozmowę, która pomoże ustalić powód problemów z zaśnięciem. – Przez całą swoją wypowiedź nie spuszczała wzroku z serwisu do herbaty, który zaczęła ustawiać na blacie.

– Przekaż Najwyższej Kapłance, że to, co robię, nie należy do jej interesów. – Ton mojej wypowiedzi, niezamierzenie, musiał zabrzmieć nieprzyjaźnie, bo dziewczyna delikatnie się wzdrygnęła, a kropla gorącego napoju wydostała się z porcelanowego dzbanka. Nie miałem jednak zamiaru nic więcej dodawać, chciałem, aby zniknęła z mojej komnaty jak najszybciej. Służąca musiała to zauważyć, bo pośpiesznie wytarła stół, a chwilę później umknęła za drzwi, nie zapominając o ukłonieniu się przed wyjściem. Odetchnąłem z ulgą. Strażnicy doskonale wiedzą, że gdy zostaje mi dostarczony napar nasenny, pod żadnym pozorem nie wolno mi przeszkadzać. Wystarczyło zaaranżować jedną awanturę i teraz boją się w jakikolwiek sposób mi podpaść. Nie zabezpiecza mnie to w stu procentach przed nakryciem, ale jestem w stanie podjąć ryzyko, byle tylko móc, choć na kilka godzin, wydostać się z posiadłości.

Zamek naszej rodziny słynie ze swej skomplikowanej architektury. Ma już kilkaset lat i chyba nikt tak naprawdę nie zna całego układu pomieszczeń na tyle, żeby zapuścić się w niektóre miejsca bez mapy, a nawet ona nie gwarantuje tego, że odnajdzie się drogę powrotną. Wiele komnat ma przejścia do tuneli, które kiedyś miały zapewne służyć jako droga ewakuacyjna w razie niebezpieczeństwa. Współcześnie nie są już wykorzystywane, więc pozwoliłem sobie skorzystać z tej sposobności już wiele lat temu. Będąc jeszcze chłopcem, udawałem się na wędrówki po ciemnych korytarzach, aż stworzyłem swoją własną mapę. Teraz nawet bez korzystania z niej jestem w stanie przedostać się poza mury zamku, bo w ostatnich miesiącach tak często czyniłem użytek z tej możliwości, że trasa zapadła mi w pamięć, a trzeba przyznać, nie należy ona do najprostszych.

Godzinę później siedziałem w obskurnym barze na przedmieściach Bravodel. Na głowę miałem zaciągnięty ciemny kaptur. W tych dzielnicach miasta nikt się raczej nie spodziewa księcia,

ale ostrożności nigdy za wiele. Wolałbym, żeby informacja o moich nocnych przechadzkach nie dotarła do mojego ojca, czy kogokolwiek innego z zamku.

– Piwo? – zapytała mnie jedna z kelnerek. Przytaknąłem w odpowiedzi i zacząłem rozglądać się w poszukiwaniu Rileya.

– Myślałem, że już nie przyjdziesz. – Usłyszałem niski głos za sobą.

– Wydostanie się z zamku niezauważonym, nie należy do najprostszych rzeczy – rzuciłem, podczas gdy Riley siadał naprzeciwko mnie. To nasze trzecie spotkanie w tym miesiącu. W ostatnim czasie zostaliśmy zmuszeni do zwiększenia ich częstotliwości.

– Jakieś nowe informacje? – Najwidoczniej przechodzimy od razu do konkretów.

– Niewiele. Król dalej stara się ukryć zagrożenie, jakie na nas czyha, dlatego potrzebuję ciebie i twoich ludzi. Przekażcie dalej informacje dotyczące działań Falańczyków i ich planów wobec nas. Nie muszą być szczegółowe. Mają wiedzieć tyle, żeby być gotowym na ewentualną ewakuację kobiet i dzieci, i na tyle, aby ci, którzy będą zdolni walczyć, byli na to przygotowani. Mam gdzieś, czy informacje będą prawdziwe, ważne, żeby wieść się rozeszła. – Starałem się, aby moje polecenie było dosadne. Nie pozwolę na to, aby przy ewentualnym ataku ludzie stracili życie przez brak przygotowania. Nie wiem, czy ojciec naprawdę wierzy w swoją armię tak bardzo, czy oszalał już całkowicie, ale jeśli mamy mieć jakiekolwiek szanse, ludność musi stanąć do walki.

– Możesz uznać to za zrobione.

Pokiwałem w podziękowaniu.

Omówiliśmy jeszcze kilka szczegółów, po czym ponownie zostałem sam. Dopiłem piwo i ruszyłem się w drogę powrotną. Noc była bezchmurna. Księżyc w pełni oświetlał ciemne uliczki, na których co jakiś czas mijałem grupę imprezujących ludzi bądź pojedynczych pijaków. Starałem się nie przykuwać niczyjej uwagi. Faktem jest, że uczyłem się walki od lat i prawdopodobnie wygrałbym starcie z kimś, kto ledwie stoi na nogach od nadmiaru alkoholu. Nie wiem natomiast, czy wróciłbym bez żadnych obrażeń, zwłaszcza przy większej ilości przeciwników. A jak wszyscy wiemy, osobę pod wpływem może zirytować zwykłe spojrzenie i przerodzić się w pretekst do bójki. Z tego powodu trzymałem się blisko ścian budynków mieszkalnych, jednocześnie bacznie obserwując otoczenie.

Do zamku zostało mi najwyżej dwadzieścia minut szybkiego truchtu. Skręciłem w prawo, a odgłosy innych ludzi stawały się coraz cichsze. Mimo to wciąż pozostałem czujny. Przez moment wydawało mi się, że słyszę czyjeś kroki i automatycznie się zatrzymałem. Wokół mnie panowała całkowita cisza. W zasięgu mojego wzroku nie spostrzegłem żywej duszy. Uznałem, że coś mi się przewidziało, ale gdy tylko ruszyłem do przodu, nie minęła chwila, a wyłapałem ten sam dźwięk. Pojedyncze kroki, jedna osoba.

Zmiana planów, nie mogę pójść do zamku. Zmodyfikowałem trasę i zacząłem kierować się w znany mi zaułek. Przyśpieszyłem kroku i przy następnym skręcie schowałem się za schodami prowadzącymi do jednego z mieszkań. Złapałem za sztylet przypięty do pasa, który przez cały ten czas ukrywałem pod materiałem bluzy. Nie musiałem czekać długo. Dwie minuty później stałem za osobą, która mnie śledziła, z ostrzem przyciśniętym do jej szyi.

– Kim jesteś? – wychrypiałem nad głową, jak się zorientowałem, dziewczyny. Cisza.

– Kim, do cholery, jesteś? – powtórzyłem głośniej.

– Sprawdzałam, czy pogłoski są prawdziwe. – Jej głos brzmiał pewnie, pomimo sytuacji, w której się znalazła. Zastanowiło mnie, czy naprawdę jest tak nieustraszona, czy po prostu wie, że nie powinna okazywać strachu w takim położeniu.

– Pogłoski? – Odwróciłem ją w swoją stronę, sztylet zmienił pozycję i tym razem wycelowany był w jej klatkę piersiową. Dziewczyna była o wiele niższa. Jej głowę, podobnie jak moją, przykrywał kaptur, ale nie przeszkodziło to kilku jasnym pasemkom wydostać się poza ciemny materiał.

– O księciu, który zaszczycił nas swoją obecnością. – Na jej twarzy pojawił się złośliwy uśmiech.

– Skąd masz takie informacje? – wysyczałem, przyciskając nóż mocniej do jej ciała.

– Wystarczy tych pytań. Teraz moja kolej. Co Riley dla ciebie robi?

Zaśmiałem się.

– Zdajesz sobie sprawę, że to ja tu mam przewagę? – spytałem, wskazując głową w stronę broni.

– Och, to?

Nim zdążyłem zareagować, wysunęła nogę do przodu, stawiając ją za moją, po czym jednym ruchem powaliła mnie na ziemię. Wszystko działo się bardzo szybko, a gdy skończyła, to ja miałem nóż przy gardle, podczas gdy dziewczyna przyciskała moją twarz do bruku, jednocześnie blokując ruchy moich rąk.

– Teraz możesz odpowiadać.

To, że byłem zirytowany, to niedopowiedzenie. Złość zaczęła buzować w moim ciele. Rozbroiła mnie w tak krótkim czasie. Zdecydowanie nie wziąłem pod uwagę jej wszystkich możliwości.

– Skoro tak cię to interesuje, spytaj Rileya – rzuciłem przez zaciśnięte zęby.

– Pytam ciebie, a skoro nie masz zamiaru nic mówić, będę musia... – przerwała w połowie zdania i pociągnęła mnie do góry. – Bądź cicho – przysunęła nas do ściany, nie odsuwając noża od mojej szyi.

– Za chwilę pojawi się tu dwóch mężczyzn. Jeśli ci życie miłe, książę, proponuję małą współpracę w rozbrojeniu ich, a kto wie, może po wszystkim nawet odpowiem na twoje pytanie – wyszeptała. Nie mając wiele czasu na przeanalizowanie propozycji, zgodziłem się.

– Czekaj na mój sygnał. – Nie spuszczając ze mnie wzroku, sięgnęła za plecy i wyciągnęła sztylet, większy od mojego, przy tym zdecydowanie bardziej zużyty. W momencie, w którym spostrzegłem dwie męskie sylwetki, oddała mi moją broń i stanęła w pozycji do walki.

– Atakuj.

Nie potrzebowałem większej zachęty, aby rzucić się na jednego z mężczyzn.

* * *

Krew ściekała po mojej dłoni. Powolnie, spokojnie i bez pośpiechu. Nie chciałem go zabijać. Nie chciałem go zabijać. Nie chciałem. Mówi się, że kłamstwo powtarzane w nieskończoność staje się prawdą. Spojrzałem na narzędzie, które znajdowało się w mojej ręce, to samo, które jeszcze niedawno przyciskałem do szyi dziewczyny. Idealnie wyważone, stworzone do szybkich i krótkich cięć. Precyzyjnych i czystych ruchów, których uczono mnie od najwcześniejszych lat. Bez robienia bałaganu. Słowa wpajane mi do głowy z takim wysiłkiem rozpłynęły się w momencie wbicia sztyletu prosto w serce mężczyzny. To, co zobaczyłem w jego oczach, sprawiło, że świat się zatrzymał. Widziałem, jak życie momentalnie ucieka z twarzy przeciwnika, a do mojego wnętrza napływa nieznana mi wcześniej energia. Czułem, jak jego ciało wiotczeje w moich ramionach. Serce zaczęło mi bić w nienaturalnym tempie, jednak przyczyną nie był wysiłek. To przerażenie. Przerażenie wywołane moją reakcją na to, co wydarzyło się przed sekundą. Ekscytacja, adrenalina, niewyobrażalna moc i …spełnienie?



Giacomo di Grassi, *Della offesa di gvardia alta di spada & capa*, [w:] *Ragione di adoprar sicuramente l'Arme*, Wenecja 1570

## Varinate

Wiatr wył mu w uszach, wślizgując się w szczeliny ubrania. Pochylił się niżej nad mokrą od potu i deszczu szyją zwierzęcia, żeby osłabić wpływ wichury. Czuł jego strach niemal równie silnie jak własny. Nie odważył się obejrzeć za siebie ani podjąć prób skierowania konia z powrotem na ścieżkę. Ufał jej bardziej niż komukolwiek innemu, bo nie miał innego wyjścia niż wierzyć, że klacz wyprowadzi ich oboje ze śmiertelnej pułapki. Mógłby przysiąc, że las wokół niego zawył z bólu, gdy siła żywiołu raz jeszcze gięła drzewa ku ziemi, wyrywając te młodsze i słabsze z korzeniami. Ani ulewa, ani wicher nie zniechęciły jednak wilków wabionych zapachem świeżej krwi. Jeździec słyszał, jak ich łapy uderzają w błoto, jak zwierzęta chrapliwie dyszą ciągle się zbliżając. Głód dodawał im sił, bo choć powinny odpuścić już dawno, kontynuowały pościg, cierpliwie wyczekując najmniejszego potknięcia ofiary. Pojedyncze wycie dobiegło ich ze wschodu. Koń parsknął nerwowo, zmieniając kierunek. Wataha musiała ich otoczyć, choć nie był w stanie oszacować, jak daleko znajduje się reszta drapieżników. Przez chwilę zwątpił, czy ujdą żywcem.

Czuł, jak opada z sił, przyciskając policzek do szyi konia. Ciało zawodziło go, wyczerpane szaleńczą ucieczką, choć nie czuł już bólu. Zdrętwiałe z zimna palce były pozbawione zręczności, ale udało mu się sięgnąć pod koszulę. Zacisnął dłoń na zawieszonym na rzemieniu krysztale z poczuciem, że zawiódł. Spękane od wiatru usta zapiekły, gdy nerwowo wypowiadał słowa krótkiego błogosławieństwa w zapomnianej przez ludzi przed wiekami mowie elfów. Przed oczami stanął mu obraz kobiety. Rozświetlane promieniami słońca kasztanowe włosy opadały falami na jej ramiona. Usta rozciągnęły się w lekkim uśmiechu i choć radość nie dosięgnęła jej spojrzenia, miała najpiękniejsze oczy, jakie widział w całym swoim życiu. Poruszyła się, a on przysiągłby, że słyszał szelest jej sukni, choć nie było to możliwe. Wyobrażenie wywołane magią było jak zawsze jedynie nieidealnym odbiciem rzeczywistości, tylko fragmentem prawdziwego piękna, jak wyblakłe z upływem lat arcydzieło. Jeździec zacisnął powieki, starając się zatrzymać to, co zobaczył w swoim umyśle, jak najdłużej. Piękna kobieta była jego pociechą. Ostatnia myśl, zanim osunął się nieprzytomny na koński grzbiet, dotyczyła tego, że zawiódł nie tylko jej lud, ale i ją samą.

~*~

Pierwszym, co poczuł, gdy zaczął odzyskiwać świadomość, była cisza. Niemal fizyczny nacisk niezmąconego spokoju na jego ciało wprawił go w lęk. Nie wiedział, kto go pochwycił i jakie ma zamiary, ale fala bólu, przeszywająca pierś sprawiła, że szybko porzucił myśli o sposobie, w jaki nieprzyjaciel mógłby się nim posłużyć. Zza zaciśniętych warg wyrwał się zduszony jego własną dłonią jęk. Miał wrażenie, że czuje, jakby cierpienie docierało wprost do źródeł jego jestestwa, zalewając zarówno ciało, jak i umysł. Nie próbował walczyć. Pozwolił agonii szarpać ciało, gdy odsunął dłoń od ust i jedynie siłą woli zmusił się do pozostania w zupełnym bezruchu. Starał się oczyścić myśli, odsuwając te o bólu, którego doznawał, i strachu przed nieznanym. Zastępował je nieznaczącymi nic wspomnieniami – uczuciem ciepła, gdy promienie słońca muskały jego skórę, zmęczeniem, palącym mięśnie po wielogodzinnej jeździe konnej, bezgranicznym podziwem, który czuł za każdym razem, gdy przebywał w miastach wybudowanych przez Deava, a ich smukłe budowle zapierały mu dech, zapachem sosnowych szpilek, które jak zawsze kojarzyły mu się z… Wzdrygnął się. Nie mógł tu u niej myśleć. O miasta nie musiał się martwić. Nawet gdyby chciał, nie zdołałby zdradzić ich położenia. Przysięgi, które złożył, i magia oplatająca lasy na północy siecią zaklęć zbyt starych, by ktokolwiek je pamiętał, stanowiły wystarczającą ochronę. Ale wiedzę o Niej każdy wprawny mag mógłby z łatwością wykraść z jego umysłu, szczególnie gdy był tak osłabiony. Nie mógł na to pozwolić tak długo, jak było to zależne od niego… Deava – lud wojowników natchnionych magią, który zastąpił na kontynencie elfy, spadkobiercy ich wiedzy i sztuki – nigdy by mu tego nie wybaczyły. Drgnął niespokojnie, gdy wyczulony słuch wyłapał szelest w odległości kilku jardów od miejsca, w którym leżał. Później jego zmysły wyłapały stukot. Dźwięk się powtarzał. Potrzebował chwili, żeby odróżnić kroki od echa jakie powodowały. Trójka ludzi. Nie miał wątpliwości. Żaden Deava nie poruszałby się w ten sposób. Co najmniej dwójka żołnierzy w ciężkich butach. Byli uzbrojeni. To także było pewne. Przez chwilę, równie krótką jak jedno uderzenie serca, rozważał, czy powinien udawać, że nadal jest nieprzytomny, ale odrzucił tę myśl. Otworzył oczy, osłaniając je ręką, gdy oślepiły go promienie słońca, wpadające przez okno, i usiadł na pryczy. Rozejrzał się w poszukiwaniu broni, ale jedynym, co dostrzegł, było kilka wolnych łóżek obok. Pod ścianą stało krzesło, ale wątpił, żeby udało mu się do niego dostać, zanim żołnierze go zabiją. Zrezygnował więc z walki, chyba że nie pozostawią mu innego wyjścia, i odwrócił się twarzą do drzwi, gdy ludzie weszli do środka.

Przodem szła kobieta. Suknia, którą ubrała, była bogato zdobiona mimo prostego kroju. Kruczoczarne włosy równie prosto upięte, choć za złotą ozdobę, którą w nie wplotła, zapewne można było kupić kilka wsi. Strażnicy, idący po jej obu stronach, mieli poważne wyrazy twarzy i właściwą postawę. Nie byli pierwszymi lepszymi młodzikami. Sposób w jaki patrzyli prosto

na niego, oceniając zamiary, dowodził najlepiej, że byli doświadczeni i gotowi bronić towarzyszki, w razie potrzeby nawet za cenę życia. W obecnym stanie nie miał najmniejszych szans w walce z nimi, ale mimo to poczuł, że brakuje mu miecza w pobliżu.

Kobieta podeszła bliżej, trzymając w dłoni parujące naczynie, wypowiadając słowa w nieznanym mu języku. Jeździec skrzywił się, gdy dobiegł go ostry zapach ziół, a gdy wyciągnęła rękę, cofnął się gwałtownie od razu, gdy zauważył ruch. Wyćwiczone odruchy nie dały o sobie zapomnieć. Kobieta też się cofnęła, unosząc dłoń. Powiedziała coś, czego nie zrozumiał. Musiała zauważyć zmieszanie na jego twarzy, bo uśmiechnęła się lekko i przeszła na Wspólny.

– Wybacz. Nie chcemy cię skrzywdzić tak długo, jak nie dasz nam do tego powodu.

Prawie nie słyszał obcego akcentu, gdy wymawiała kolejne słowa. Musiała odebrać staranne wykształcenie, co tylko potwierdzało jego podejrzenia co do majętności kobiety i tego, że jest kimś ważnym. Tylko dlaczego ktoś ważny miałby zawracać sobie nim głowę? Na to pytanie nie znalazł gotowej odpowiedzi. Fakt, że mówiła w nieznanym mu języku, zmusił go do zastanowienia. Spróbował odtworzyć trasę, którą przejechał, ale nie był w stanie jej sobie przypomnieć, a bez tego nie potrafił wywnioskować, gdzie był. Pamiętał jedynie, że podróżował w pośpiechu, a później zaatakowały go wilki, i że kiedy czuł, że nie ma już nadziei pomyślał o… Wystarczy. Był nikim, niczyim synem bez domu. Jeźdźcem konia, który prawdopodobnie zginął w górach. Przez chwilę żałował zwierzęcia. Klacz była wierną towarzyszką. Długo na niej podróżował.

– Wypij to. Poczujesz się lepiej – powiedziała, podsuwając mu naczynie.

Przyjął je, choć zapach ziół drażnił mu nos. Wątpił, żeby któreś z nich było trucizną. Gdyby chcieli go zabić, mogli to zrobić, gdy był nieprzytomny.

Napar był gorzkawy, jakby zioła zbyt długo się parzyły, ale przyjemnie ciepły, i szybko go rozgrzał. Otarł usta wierzchem dłoni i oddał kobiecie kubek. Ta odłożyła go na krzesło i jakby nagle przypominając sobie o manierach, dygnęła lekko.

– Jestem Saileh, córka Hjoltha, króla tych ziem.

Księżniczka. Ze wszystkich możliwych ludzi na kontynencie trafił akurat na córkę króla. Los okrutnie z niego zadrwił i choć nie był to pierwszy raz, gdy znalazł się na królewskim dworze, poczuł zaskoczenie, gdy kobieta zdradziła swoją tożsamość. Nie dał jednak po sobie poznać targających nim emocji i nie odezwał się ani słowem. Złamał już tyle zasad etykiety, że powinni go powiesić. Kobieta jednak nie wyglądała, jakby miała taki zamiar, milczał więc dalej.

– Znaleźliśmy cię rannego. Masz mądrego konia, jeśli udało się wam przejechać przez góry o tej porze roku – dodała.

Jeśli spodziewała się po nim jakiejś reakcji, spotkał ją zawód. Brak odpowiedzi rozzłościł jednego z jej strażników, bo zrobił krok do przodu, mamrocząc gniewnie coś brzmiącego jak przekleństwo.

Kobieta uciszyła go, znów posługując się ojczystym językiem, po czym zwróciła się twarzą w stronę pryczy, na której siedział Jeździec.

– To, że nam nie ufasz, jest więcej niż oczywiste, ale nie jesteś tu więźniem. Chcemy ci pomóc. Mam nadzieję, że na to pozwolisz.

Gdy odwróciła się, żeby odejść, przez myśl mu przeszło, że nie powinien robić sobie z niej wroga. Niezależnie od intencji, jakie miała, zaskarbienie sobie zaufania ludzi w tym miejscu mogło mu pomóc. Poza tym była księżniczką. Niezależnie od tego jak bardzo brzydziły go dworskie intrygi, przekonał się, że wsparcie kogoś wysoko postawionego może okazać się nieocenione. Przynajmniej w odzyskaniu broni. Podniósł się z pryczy.

– Pani. – Skłonił się niezdarnie, gdy ranę na piersi przeszył ból tak gwałtowny, że na chwilę pozbawił go tchu. – Wybacz mi, proszę, brak szacunku.

– Nie mam żalu, nieznajomy – odpowiedziała. – Przyjdę później sprawdzić, jak się czujesz. Skinął głową, przyjmując jej słowa do wiadomości.

Gdy ona i strażnicy wyszli, opadł na posłanie zmęczony, jakby rozmowa wyssała z niego wszystkie siły. Z ironią pomyślał, że gdyby podjął kilka innych wyborów, nie musiałby się przed nikim kłaniać. Wymagałoby to jednak życia wbrew własnemu sumieniu, a na to nigdy nie był gotów. Okazywanie szacunku tym, którzy znajdywali się u władzy, było niewygórowaną ceną za odzyskanie życia na własność. Płacił za to znacznie więcej.

Gdy poczuł, że ból odrobinę zmalał, wstał, uważając, by znów nie urazić rany. Rozejrzał się uważniej po pomieszczeniu i choć niewiele było w nim mebli, w jednym z kufrów odnalazł rzeczy z juków i zawieszony na rzemieniu kryształ. Od razu go założył, czując ulgę, że medalion się nie zgubił. Był mu szczególnie drogi, choć nie ze względu na wartość w złocie, ale jako podarunek od Królowej Deava, i stanowił wyraz przyjaźni, jaką władczyni go darzyła.

Podbudowany znaleziskiem postanowił sprawdzić, ile jest w stanie znieść jego ciało. Było to kluczowe dla przeżycia nawet, jeżeli znów narażał się na cierpienie. Musiał znać granice, jakie stawiała mu własna fizyczność. Zaczął powoli, przypominając sobie ćwiczenia, które poznał od Deava, i kilka pierwszych udało mu się z powodzeniem dokończyć.

Przechodził przez kolejne, choć jego ruchom brakowało płynności, którą mimowolnie podziwiał u Deava, za każdym razem, gdy miał okazję ich widzieć. Wiedział jednak, że żaden człowiek nie mógł im dorównać ani pod względem fizycznym, ani biegłością w magii, i dawno już się z tym pogodził. Niedoskonałość nie przeszkodziła mu kontynuować i wkrótce poczuł, że rozgrzał wystarczająco zastane mięśnie. Mimo że jego ruchom nadal towarzyszyła ostrożność z powodu urazu i nie odważył się spróbować kilku szczególnie wymagających pozycji w obawie,

że wywoła tym atak bólu, czuł się lepiej, gdy nie musiał myśleć o kobiecie, którą zawiódł, ani o sytuacji, w której się znalazł.

Gdy uznał, że jest dostatecznie zmęczony, obmył twarz wodą z miednicy, stojącej pod ścianą i wrócił na pryczę. I choć zdawało mu się, że panuje nad swoim umysłem dostatecznie, w chwili, gdy to zrobił, przed oczami od razu zamajaczył mu obraz kasztanowłosej piękności.

Tym razem nie próbował zwalczyć wspomnienia. Zamiast tego przymknął oczy, pozwalając sobie na chwilę słabości. Zdawało mu się nawet, że czuje zapach sosnowych szpilek, jaki zwykle roztaczała wokół siebie. Z jej imieniem na ustach zapadł w płytki sen.

Śnił o wspaniałych miastach, nad którymi górowały wieże z jasnego marmuru, jakie wzniosły Deava na przestrzeni stuleci, o lesie, który zdawał się nie mieć końca, i śpiewie ptaków, przelatujących po jasnym niebie nad drzewami tak starymi, że musiały pamiętać czasy elfów.

Pod jednym z takich drzew stała Ona. We włosy miała wplecioną gałązkę jakiegoś drzewa. Zdawała się stanowić jedność z naturą, która ją otaczała. Oddychała w tym samym rytmie, w którym wiatr poruszał liśćmi, i obserwowała las. I choć była odprężona, a jej twarz spokojna, jasne oczy zdradzały znajomą czujność.

Przez chwilę odebrało mu dech, jak za każdym razem, gdy ją widział. Musiał wyglądać, jak głupiec, gdy wpatrywał się w nią z osobliwą mieszanką podziwu i uwielbienia, ale nie miał zamiaru walczyć z tym, jak się przy niej czuł. Nie, kiedy przynajmniej przez chwilę mogli być sami. Odkąd przybył na Dwór jej matki widywali się jedynie przelotnie. Najczęściej towarzyszyła im sama Królowa lub któryś z jej doradców, były to więc spotkania oficjalne, wypełnione uroczystymi pozdrowieniami.

– Aviana – zawołał ją po imieniu i choć spojrzała prosto na niego, odniósł wrażenie, że go nie usłyszała. Wyraz jej twarzy się nie zmienił, gdy zaczęła coś mówić. Nie zrozumiał jednak, co chciała mu przekazać. Zdania były długie, złożone z wyrazów, których nie znał, choć z jakiegoś powodu wydały mu się stare… Starsze niż reszta jej języka.

Zanim zdążył zawołać ją po raz drugi albo do niej podejść, obudził się z sercem walącym w piersi, jakby przebiegł kilka mil. Wrażenie, że powinien się pośpieszyć, wzbudziło w nim niepokój, choć było wywołane snem. Inne wytłumaczenie, jeżeli takie w ogóle istniało, nie przyszło mu na myśl.

Córka króla dotrzymała danego mu słowa i rzeczywiście przyszła, żeby go odwiedzić, gdy dzień dobiegał już końca. Tym razem nie towarzyszyli jej strażnicy. Zatrzymała go zanim zdążył się pokłonić.

– Darujmy sobie etykietę, póki nikt nie słucha. Wystarczy „Saileh".

Zaskoczyła go, ale postanowił uszanować jej życzenie.

– Jak cię zwą, jeźdźcze?

– Altean. – Głos miał zachrypnięty. – Wiesz, co się stało z moimi rzeczami?

– Wszystko, co przy tobie znaleźliśmy, leży w tamtym kufrze. – Wskazała miejsce, które już sprawdził. Wtedy uściślił, że interesuje go miecz.

– Pozostanie na przechowaniu u mojego ojca, dopóki nie zdecydujemy, że możemy ci zaufać. Chyba, że wcześniej zdecydujesz się odejść. Wtedy go odzyskasz.

– Mogę równie dobrze odejść już teraz – powiedział, co skwitowała uśmiechem, który wydał mu się odrobinę pobłażliwy.

– Jesteś gotów narażać własne życie dla kawałka stali? W tym stanie nie przejechałbyś kilku jardów, o ile w ogóle dałbyś radę dosiąść konia. Dlaczego tak bardzo zależy ci na odzyskaniu go?

Przez chwilę milczał, a gdy już się odezwał uważnie dobierał słowa.

– To ważna pamiątka po kimś, kogo musiałem opuścić – powiedział, nie zdradzając prawdziwego powodu. Saileh nie wydawała się przekonana, zupełnie jakby czuła, że podzielił się z nią tylko częścią prawdy, więc mówił dalej. – Wolałbym dać się zabić, niż pozwolić, żeby trafił w niepowołane ręce.

Pozwolił, żeby jego słowa przez chwilę zawisły w powietrzu. Widział, jak kobieta je rozważa, zastanawiając się, czy może mu ufać.

– Nie po to ratowałam ci życie, żeby je teraz narażać. Porozmawiam z ojcem i poproszę, żeby zwrócił ci broń – obiecała.

– Będę zobowiązany. – Skłonił lekko głowę.

– Czy w takim razie mogę zapytać o coś jeszcze?

– Możesz, ale to nie znaczy, że odpowiem.

– Ktokolwiek go wykonał, nie był człowiekiem, prawda? Zanim zaprzeczysz, wiedz, że to ja cię znalazłam i widziałam miecz, który nosisz. Klinga nie przypominała niczego, co znam.

– Wykuli go najlepsi kowale. Tyle mogę powiedzieć – dodał po chwili milczenia, zauważając, że wyraźnie nie podobała jej się uzyskana odpowiedź.

– Mogłabym zmusić cię do powiedzenia prawdy – powiedziała, choć w jej tonie nie było cienia groźby.

Przyjrzała mu się uważnie. Skinął głową, unosząc kąciki ust w lekkim uśmiechu.

– Z całym szacunkiem Pani, ale mogłabyś jedynie próbować, a ja i tak nie powiedziałbym ci nic więcej niż teraz. Nawet gdybyś zdołała mnie złamać – dodał nie wspominając wprost o przysięgach, które złożył i które chroniły powierzone mu sekrety, gdyby sam zawiódł. – Możemy więc darować sobie trud z góry skazany na niepowodzenie. Co ty na to?

Zgodziła się, choć niechętnie, i jeszcze kilka razy próbowała go wypytać. Za każdym razem ją zbywał, kierując rozmowę na tematy bardziej błahe, i udawał, że nie widzi ciekawskich ogników w jej oczach.

Gdy wyszła, zostawiając go samego, musiał przyznać, że choć Saileh obiecała wstawić się za nim u króla, nie mógł wyzbyć się uczucia niepokoju. Najchętniej ruszyłby w drogę bez chwili zwłoki, ale wiedział, że kobieta miała rację. Dopóki rana się nie zagoi, nie będzie mógł kontynuować podróży i chociaż każdy dzień, podczas którego zwlekał, mógł okazać się tragiczny w skutkach, okoliczności zmusiły go do pozostania na miejscu.

Kolejnego dnia nagły atak bólu przerwał mu poranne ćwiczenia, choć rana goiła się jak powinna. Za radą Saileh odwiedził nawet królewskiego uzdrowiciela, który tylko to potwierdził.

Znudzony by bezcelowym czekaniem, które starał się wypełnić zwiedzając zamek, i poirytowany stanem własnego ciała, a także ciekawskimi spojrzeniami ludzi, których mijał za każdym razem, gdy opuszczał komnatę. Musiał przyznać, że mimo swojej ciekawości córka króla była miłą towarzyszką rozmów. Nie widywał jej jednak, a gdy o nią zapytał, strażnicy zbyli go pod byle pretekstem. Zastanawiał się czy przypadkiem czymś jej nie uraził, ale ostatecznie odrzucił tę możliwość. Gdyby to zrobił, nie wstawiłaby się za nim u króla.

Piątego dnia, odkąd odzyskał przytomność, zaczął rozważać prośbę o audiencję. Wątpił, żeby Hjolth oddał mu broń, ale poprzedniej nocy znów śniła mu się Aviana i z każdą kolejną chwilą czuł się coraz bardziej zdesperowany. Musiał spróbować się z nią skontaktować… Cokolwiek złego się działo – nie wybaczyłby sobie, gdyby z jego winy spotkała ją krzywda. Nawet, jeśli wiedział, że na podobną deklarację z jego ust uśmiechnęłaby się z lekkim pobłażaniem.

Zakładał właśnie koszulę podarowaną mu przez jedną ze służących króla, gdy ktoś zastukał w drzwi. Pozwolił mu wejść z nadzieją, że to nie zielarka, która na polecenie Saileh codziennie przynosiła mu napary. Starsza kobieta wydawała się sympatyczna, choć nieco zdziwaczała i mimo jego protestów odwiedzała go każdego dnia, tłumacząc się nakazem księżniczki.

Tym razem, podnosząc wzrok zauważył samą sprawczynię zamieszania.

– Saileh. – Skinął jej głową.

Zauważył, że uważnie mu się przygląda, ale zanim zapytał o powód, uśmiechnęła się lekko.

– Wyglądasz lepiej, choć chyba nie spałeś zbyt dobrze – skwitowała oględziny.

Miała wprawne oko. Rzeczywiście nie sypiał najlepiej. Za każdym razem kładł się na pryczy z myślą o obowiązkach i Deava. Szczególnie jednej, która nawiedzała go w snach.

– Ty za to promieniejesz, Wasza Wysokość – odparł z lekkim przekąsem.

– Mówiłam już, żebyś darował sobie etykietę – prychnęła jak kotka i choć niepokój wciąż trawił mu serce, tym razem na jego twarzy pojawił się cień uśmiechu. Księżniczka była najbardziej swojską dziewuchą, jaką poznał – mimo bogato zdobionej sukni i tytułu.

– Mam coś dla ciebie.

Na chwilę krótką jak jedno bicie serca zamarł w bezruchu, ale szybko się opanował. Odebrał od niej broń, zaciskając mocno palce, jakby chciał mieć pewność, że jest realna.

– Mogę? – upewnił się.

– Przecież to twoja własność.

Ostrożnie wysunął miecz ze skórzanej pochwy. Klinga zalśniła w promieniach słońca, wpadających przez okiennice, znajomy ciężar w dłoni oznaczał powoli budzącą się w nim nadzieję. Uważnie obejrzał broń aż po wykonaną z ciemnego drewna rękojeść. Z ulgą zauważył, że osadzony w głowicy ametyst pozostał nienaruszony. Odkąd dostał go od królowej Deava, miecz nigdy go nie zwiódł. Wątpił, żeby broni wykutej przez ich kowali i wzmocnionej magią, mogło coś zaszkodzić. Mimo to fakt, że nie znalazł żadnej skazy, sprawił, że poczuł się spokojniej. Opuścił oręż, patrząc na Saileh z nagłą powagą.

– Dziękuję.

Przez chwilę zabawiał ją rozmową, wyczekując, aż księżniczka zostawi go samego. Gdy wyszła, w pośpiechu przejrzał rzeczy z kufra leżącego pod ścianą. Zabrał ze sobą tylko to, co niezbędne, układając to na posadzce, i owinął miecz kawałkiem szmaty, a później wrócił na pryczę i przymknął oczy, wsłuchując się w odgłosy wokół. Teraz pozostało mu czekać na zapadnięcie zmierzchu…

Położył się z mieczem na brzuchu, trzymając dłoń na rękojeści. Palce drugiej zacisnął na rzemieniu, który nosił na szyi, i zamknął oczy, starając się oczyścić umysł.

Pozbycie się wszystkich myśli nie przyszło mu łatwo. Potrzebował czasu, choć nie miał pojęcia, jak długo leżał w bezruchu, wsłuchując się we własny oddech. Cicho powtarzał słowa błogosławieństwa. Tego samego, które wywołało wizję, gdy uciekał przed wilkami na końskim grzbiecie. Kończył i zaczynał je od nowa kilka razy, a każdy kolejny sprawiał, że serce biło mu szybciej. Choć ciało denerwowało się tym, że nic się nie działo, jego umysł pozostał spokojny.

Oblizał spierzchnięte wargi i wypowiedział na nowo kilka wersów z dawno zapomnianego poematu. Tym razem coś poczuł. Pustkę otaczającą go ze wszystkich stron i strach, który zmroził krew w jego żyłach. Nie wiedział, czy uczucie pochodzi od kogoś innego, czy jest to jego własny lęk, tyle że zwielokrotniony. A potem poczuł szarpnięcie i kiedy nagle otworzył oczy, z ulgą zauważył, że wciąż jest sam… Nie spodziewał się towarzystwa, ale trans zawsze sprawiał, że czuł się odsłonięty. Niemal bezbronny. Oddech miał nierówny i płytki, gdy siadał. Serce prócz krwi

w jego żyłach zdawało się pompować też lęk – truciznę mamiącą umysł. Jeśli Deava nie odpowiedziały… Miał powody, by zakładać najgorsze, choć nie chciał dopuszczać ich do głosu. Pochopne działanie, kierowanie się strachem, błądzenie w zaślepieniu były właściwe ludziom – niedoskonałym głupcom, którzy zwykli całe swoje życie poświęcać dążeniom do władzy i bogactwa – nie Deava, które przez stulecia mogły do perfekcji opanować cierpliwość i nauczyć się rozsądku, na które jego rasie brakowało czasu…

Na myśl mu przyszło, że miecz uległ uszkodzeniu podczas podróży lub kiedy znajdował się u króla, ale odrzucił ten pomysł. Oglądając go poprzednio nie dostrzegł żadnej skazy. Mimo to raz jeszcze upewnił się co do stanu klejnotu osadzonego w rękojeści. Był nienaruszony, bo nie dało się go zarysować żadnym znanym mu narzędziem. Nie miał powodów, by w to wątpić. Miecz nie zawiódł go ani razu, odkąd został mu podarowany, leżał w dłoni, jakby był wykuty specjalnie dla niego, choć wiedział, że tak nie było.

Miecz miał własną historię. Przez stulecia przechodził z rąk do rąk aż po śmierci ostatniego dziedzica Ithurilla – młodego Deava imieniem Ilsenir. Później trafił do królewskiego skarbca i spędził tam poprzednie stulecie, aż królowa postanowiła, że powinien trafić do niego.

Podejrzewał, że za tą decyzją stała Aviana, ale nigdy jej o to nie zapytał. Nawet kiedy opowiedziała mu historię rodu Ithurilla, twierdząc, że jeżeli ma zamiar przyjąć broń, musi znać jej dzieje.

Szybko się przekonał, że nie było w walce równie śmiercionośnego ostrza jak to, które miał przywilej nosić u swego boku – z całą pewnością nie wśród broni, którą znał – niezależnie od tego, czy stworzyły ją Deava, czy ludzie... Mimowolnie zaciskając palce na rękojeści zaklął pod nosem, by dać upust złości. Koń parsknął cicho, a Altean posłał mu rozdrażnione spojrzenie.

Przywołał w pamięci mapę, o której pokazanie przed odejściem poprosił jednego z żołnierzy, i przełknął cisnące się na ustach kolejne przekleństwo. Potrzebowałby tygodnia, może dwóch, żeby przekroczyć rzekę Rhunien, jadąc wzdłuż gór. Możliwe, że jeżeli zaryzykowałby przeprawę przez masyw, udałoby mu się zaoszczędzić trochę czasu, ale wolał nie wystawiać własnego szczęścia na kolejną próbę. Nie miał żadnej pewności, że udałoby mu się odnaleźć bezpieczne przejście dla konia wśród ośnieżonych szczytów. Objechanie ich wciąż było szaleństwem, choć już możliwym do zrealizowania. Gdy tylko dotrze do Darthen, miasta na północy, wybudowanego nad deltą Rhunill, jednej z odnóg Rhunien, będzie mógł uzupełnić zapasy w jukach i wymienić konia. Myśl o zastąpieniu wiernego wierzchowca, który ocalił mu życie, nie była miła, ale w tej sytuacji cel uświęcał środki. Robiąc to też w Ivardis i kilku kolejnych miastach powinien znaleźć się przy granicy Białej Puszczy w miesiąc.

Za długo, pomyślał, zastanawiając się nad alternatywą.

Cokolwiek sprawiało, że Deava nie odpowiedziały na próbę kontaktu, nie mogło czekać do kolejnej pełni. Wbił pięty w boki karej klaczy, zmuszając ją do galopu. Przez jakiś czas mógł trzymać się głównego traktu. Niezależnie od obranej drogi najpierw musiał wydostać się z ziem należących do ojca Saileh. Na myśl o niej skrzywił się lekko.

Z zamku wymknął się, gdy tylko zapadł zmierzch. Nie pożegnał się, żeby uniknąć tłumaczeń i okłamywania jej. Nie był człowiekiem na tyle pozbawionym sumienia, żeby łgać w oczy komuś, kto uratował mu życie. Przynajmniej starał się tego unikać tak długo, jak zdołał. Zostawił jej jedynie krótki list z podziękowaniem. Nikt go nie zatrzymywał, przynajmniej dopóki nie zabrał konia. Wtedy znikąd tuż obok niego zjawił się stajenny – tyczkowaty młodzieniec w kwiecistych słowach skomplementował klacz i klął się na własne życie, że zrobił wszystko, co w jego mocy, by dobrze się nią zająć. W podzięce Altean zostawił mu garść monet. Niewielu mówiło o zwierzętach z takim podziwem. Równie niewielu zobowiązałoby się do dotrzymania tajemnicy, a jednak na jego prośbę młodzik ochoczo potaknął i obiecał nie wspominać nikomu, że go widział. Nie było to może konieczne, ale uznał, że lepiej być nad wyraz przezornym, niż martwym.

Choć pod opieką księżniczki i dworskiego uzdrowiciela szybko wracał do zdrowia, wciąż nie odzyskał pełni sprawności. Wolał się nie wychylać i pozostać niezauważony tak długo, jak było to możliwe.

Tknięty przeczuciem spróbował przypomnieć sobie chwile sprzed szaleńczej ucieczki przez góry. Nie mógł pozbyć się wrażenia, że coś pomija.

Sięgnął pod płaszcz, przykładając dłoń w miejsce, w którym pod koszulą wyczuwał bandaż. Takiej rany nie mógł zadać wilk. Zastanowiło go to, ale nie był w stanie przypomnieć sobie nic więcej. Cokolwiek zaatakowało go wcześniej – pozostawało ukryte. Strach ścisnął go za gardło, gdy zdał sobie sprawę z tego, że nie jest w stanie określić, co go skrzywdziło. Bądź co bądź, jeżeli zagrożenie istniało, a rana na jego piersi dobitnie świadczyła o tym, że tak było, wiedza ta mogła ocalić mu życie. Przeklął znowu. Wiele by oddał, żeby móc naradzić się z Deava. Nawet, jeżeli nie byłaby to Aviana…

Podczas jazdy zatrzymywał się jedynie, żeby nie zamęczyć konia. Korzystając z okazji, jaką ofiarował postój, kilka razy próbował nawiązać kontakt. Tyle że za każdym razem ponosił klęskę. Zastanawiał się nawet, czy nie zmodyfikować odrobinę błogosławieństwa, ale zrezygnował. Jego znajomość Starszej Mowy – języka magii, którym posługiwały się Deava – wciąż nie była wystarczająca. Bał się, że jakakolwiek ingerencja w razie błędu może wyrządzić jedynie więcej szkody, a brak powodzenia sprawiał jedynie, że frustracja jaką odczuwał, rosła wraz ze zmęczeniem.

Zapasy jedzenia szybko się skończyły, a głód stał się dokuczliwy na tyle, by zaczął żałować, że nie zatrzymał się w Bern. Wioska była niewielka, a nastroje w pobliskich miastach wciąż nerwowe po zmianie osoby zasiadającej na tronie Królestwa Ceslarieen, ale mógłby kupić przynajmniej trochę mięsa.

Gdy nadarzyła się okazja, musiał zapolować. Cenne godziny spędzone na tropieniu zwierzyny pośród nieznanego terenu wymagały skupienia, a pusty żołądek choć nie ułatwiał mu zadania, sprzyjał determinacji. Przez jakiś czas nie posługiwał się łukiem, ale nie wyszedł z wprawy. W pobliżu nie było wielu zwierząt. Nie liczył na jelenia. Prędzej na jakieś ptactwo.

Wieczorem, siedząc przy ognisku, cieszył się z ciepłego posiłku, i choć garść kwaśnych jagód z mięsem zająca nie była szczytem kulinarnej sztuki, z rozkoszą oblizał usta, żałując, że nie ma więcej.

Pełen brzuch i ciepło migoczących płomieni, liżących kawałki drewna, sprawiły, że szybko poczuł ogarniające go znużenie. Zasnął szybko, oparty o pień drzewa.

Tej nocy nie dręczyły go żadne sny, co przyjął z ulgą, gdy już się obudził. Ognisko dogasło w nocy. Wyjął z juków mapę. Przez chwilę studiował ją uważnie, skubiąc palcami zarost, który zaczął pojawiać się na jego twarzy. Bez dalszej zwłoki uprzątnął miejsce noclegu, żeby nikomu nie przyszło do głowy, że mógł się tu zatrzymać, i odwiązał konia od pnia. Odkąd opuścił Ivardis dwa tygodnie temu, podwoił wysiłki, starając się wtapiać w otoczenie tak bardzo, jak było to możliwe. Nie działoby się nic szczególnego, gdyby nie uczucie, że ktoś go obserwuje…

Po ostatniej zmianie wierzchowca został mu przystanek w Durnor – ostatniej ludzkiej siedzibie na jego drodze. Żaden człowiek o zdrowych zmysłach nie zapuściłby się dalej na Północ, gdzie rosła Biała Puszcza, jak ludzie nazwali niekończący się las, oddzielający kontynent od tego, co pozostało niezbadane… Skrzywił się lekko. Określenie to nigdy mu się nie podobało. O wiele bardziej wolał nazwę elfów – Virmillion, lub jak nazywały ją Deava – Livarinates. Żadnej z nich nie dało się jednak przetłumaczyć na znane innym rasom języki. Kiedy zapytał Avianę o ich pochodzenie odpowiedziała, że „Varinate" znaczy coś w rodzaju „ostatniej ostoi, którą wypełnia światło", choć nie było to tłumaczenie dosłownie. „Virmillion" oznaczał „niezliczony" lub „nieobjęty wzrokiem". Obie te nazwy uważał za bardziej trafne niż Biała Puszcza. W Livarinates nie rosło ani jedno białe drzewo, ale ludzie nie mogli tego wiedzieć… Nie dane im było przekonać się na własne oczy o pięknie, jakie skrywało serce lasu. Klacz zarżała, wyrywając go z rozmyślań i choć nie zwolniła ani się nie zatrzymała, Altean wyczuł, że jest niespokojna. Rozejrzał się wokół, ale jedynym, o dostrzegł, był niewielki pagórek, w stronę którego jechał.

– Spokojnie – powiedział cicho w języku Deava, głaszcząc grzywę zwierzęcia.

Zanim zdołał powiedzieć coś jeszcze, głos zamarł mu w gardle. Cofnął rękę, popędzając konia do galopu. Cokolwiek wcześniej go spłoszyło, było potężne na tyle, że wcześniej wziął je za pagór. Ziemia pod kopytami klaczy zdawała się drżeć, gdy nieznana mu istota ruszyła w jego kierunku. Stwór ryknął już w biegu. Przeraźliwy dźwięk, jaki wyrwał się z wnętrza jego trzewi, zdawał się być krzykiem samej otchłani. Wiatr zmienił kierunek i do Alteana dotarł odór gnijącego mięsa i spalenizny. Zmuszając konia do szaleńczego tempa, zaryzykował odwrócenie głowy. Z masywnej czaszki wyrastały dwa hebanowe, zakrzywione na końcach, rogi. Każdy z nich bez trudu wybebeszyłby nie tylko konia, a zamiast skóry bestię pokrywały odłamki skały.

Nigdy wcześniej nie spotkał czegoś takiego, jednak istota oprócz budzenia w nim strachu wydawała się też dziwnie znajoma. Była wysoka na jakieś dziewięć stóp, zamiast skóry pokrywała ją skorupa, od której strzały zdawały się odbijać nie czyniąc żadnej szkody. Altean opuścił łuk, zauważając, że jedynie je marnuje, i przyjrzał się przeciwnikowi, usilnie szukając jakiegoś słabego punktu. Zmienił broń, zaciskając palce na rękojeści miecza. Uczucie znajomego ciężaru w dłoni dodawało mu otuchy. Potwór zdawał się zmniejszać dystans między nimi z nienaturalną łatwością i gdy zaszarżował, tylko refleks uchronił mężczyznę przed zmiażdżeniem w morderczym uścisku. Wyciągnięte ramiona minęły go o cale. Zamiast ciąć od razu, zaczekał chwilę nie dłuższą niż jedno uderzenie serca i dopiero zamachnął się mieczem. Ostrze ze zgrzytem uderzyło w bark potwora, ześlizgując z niego. Podobne efekty uzyskałby waląc na oślep w pierwszy lepszy głaz... Wtedy dostrzegł zaschniętą posokę. W miejscu, w którym potwór powinien mieć oczy, ziały dwa puste otwory. Skierował konia w bok, żeby umknąć przed kolejnym atakiem i odrobinę się wycofał, żeby znaleźć się po drugiej stronie bestii. Nagle zorientował się, na co patrzy.

„Thür", pomyślał, czując, jak ogarnia go przerażenie, gdy zdał sobie sprawę z tego, że to konkretne stworzenie zaatakowało go już wcześniej. To przed nim uciekał, wybierając drogę przez góry…

Thüry były istotami żywiołów przyzywanymi za pomocy magii, które nieliczne spośród Deava mogły w pewnym stopniu nagiąć do swojej woli. Nigdy wcześniej żadnego nie spotkał, jedynie Aviana wspomniała mu kiedyś, że istnieją i są niezwykle rzadkie. Jeśli jednak miał znaleźć jakiekolwiek wytłumaczenie, czym stwór mógłby być, z całą pewnością pasował do opisu, jaki kiedyś znalazł w jednym z zakurzonych zwojów…

Pochylił się nad końską szyją, żeby uniknąć strącenia z jego grzbietu, a później wyprostował się i znów ciął mieczem, tym razem celując wyżej. Osiągnął jednak ten sam rezultat co poprzednio i zaklął, zdając sobie sprawę z tego, w jak beznadziejnym położeniu się znalazł.

Był bezsilny wobec magii, która powoływała istotę z kamienia do życia. Albo dotrze do granic Livarinates, zanim klacz padnie z wycieńczenia, albo zginie. Szarpnął za wodze, kierując konia na wschód.



*Siegfried durch ein Bad im Drachenblut.*
*Die Nibelungen. 1. Teil: Siegfried*, reż. F. Lang, scen. Th. Von Harbou, zdj.C. Hoffmann, G. Rittau (1924)

Oliwia Walijewska

## Aquila

Na długi czas przed początkiem życia, jakie znamy, na podobnej planecie, lecz w trochę innej rzeczywistości, innym świecie, tam, gdzie czasem dzieje się akcja bajek dla dzieci, było miejsce mroczne i dziwne, którego istnienie zwykło się pomijać w legendach – Wybrzeże Vultur Calvus.

Każda historia powinna mieć jakiś początek i jakiś koniec. Jednak mimo że legenda o Aquili urywa się, sama historia nie ma zakończenia.

Aquila urodziła się dziewczynką, w osadzie na wybrzeżu Vultur Calvus. Miała niewiele lat, gdy jej rodzice, żyjący w biedzie, po prostu odeszli. Zostawili dziecko i w ten sposób pozbyli się problemu, ponieważ, pomimo życia nad oceanem, bardzo trudno było zdobywać pożywienie w tej części Kontynentu.

Aquila szybko zapomniała swoich rodziców, pamiętała jednak wszystko, czego ją uczyli, a co było jej potrzebne. Potrzebne do wyruszenia w podróż, prosto przed siebie. Wiedziała, że aby przeżyć, nie może zostać na Vultur Calvus. Nie miała żalu do rodziców, że odeszli bez niej – nigdy nie nauczyła się ich potrzebować.

Aquila umiała sobie radzić sama. Od urodzenia mieszkała w najbardziej niebezpiecznym miejscu tego świata. Złe duchy, porywające dzieci, gdy rodzice odwracali wzrok na moment; jadowite żmije, które w nocy bywają zupełnie niewidoczne; ogromne ptaki, które potrafią znienacka zaatakować i wydłubać oczy – to tylko niektóre z istot zamieszkujących Kontynent.

Dziewczynka nosiła w lewej kieszeni krótkich, poszarpanych spodenek nóż i magiczny, świecący kamień. Z jej klatki piersiowej natomiast nigdy nie znikał zawieszony na rzemyku, malutki drewniany ludzik. Aquila sama go zrobiła. Nie znała słowa „przyjaźń", ani słowa „samotność". Wyrzeźbiła tego człowieczka, bo lubiła wypowiadać swoje myśli, a czasem nawet śpiewać piosenki o smokach. Wtedy drewniany ludzik jej słuchał, a ona miała wrażenie, że nie mówi sama do siebie, „jak jakaś czarownica".

Tak więc Aquila wyruszyła w drogę. Szła prosto przed siebie, w plecaku mając niezbędne rzeczy. Nie była to zwyczajna dziewczynka – Aquila, nawet jak na pochodzącą ze świata bajek, była postacią niezwykłą.

Nie wystarczyło spojrzeć na nią, żeby wiedzieć, że patrzy się na dziewczynkę. Długie, ciemne włosy Aquila nosiła rozpuszczone, tak, że tylko kiedy biegła albo wiał wiatr, można byłoby

ujrzeć jej piękną, androgyniczną twarz i wilcze, szare źrenice. Można byłoby, gdyby kogoś to interesowało.

Ciało miała umięśnione i silne, jej nogi były wiecznie posiniaczone; Aquila biegała szybciej niż wilki. Spacerując po lasach często potykała się o wystające korzenie drzew czy większe kamienie. Było to spowodowane roztargnieniem, wynikającym z ciągłego zanurzania się w myślach, których dziewczynka miała dużo, bardzo dużo.

Była niezwykle mądra, jednak wielu rzeczy nie potrafiła zrozumieć. Opowiadała o nich drewnianemu ludzikowi dyndającemu na szyi. A on słuchał rozmyślań Aquili i przechowywał je na dnie malutkiego drewnianego serca.

Pewnego dnia dziewczynka, która przebyła już niezliczoną ilość kilometrów, spotkała na swej drodze pierwszą postać mówiącą w tym samym języku co ona.

Na Kontynencie można byłoby naliczyć tysiące gwar, które tak bardzo się różniły, że właściwie stanowiły zupełnie odrębne mowy, tak że stworzenia z Północy i te z Południa nie mogłyby porozumieć się bez tłumacza.

Ale wróćmy do Aquili, na której drodze stanął chłopiec o lśniących, złocistych włosach. Szafirowe oczy Calidrisa (tak mu było na imię), oczarowały dziewczynkę, której źrenice, czarne niczym węgiel, nie ujrzały nigdy wcześniej takiego odcienia błękitu. Nawet w najpiękniejsze dni lata w krainie bajek, kiedy patrzyła w bezchmurne niebo.

Chłopiec przedstawił się i zapytał dziewczynkę o jej imię. Kiedy opowiadał o sobie, patrzył na nią unosząc zawadiacko złote brwi – raz jedną, raz drugą.

W następnych dniach nie zdradził wielu szczegółów ze swojego życia, i mimo że maszerowali ramię w ramię przez dziesiątki kolejnych kilometrów, Aquila nigdy nie dowiedziała się o nim niczego konkretnego. Czasem, późnymi wieczorami, gdy Calidris już spał, a Aquila pogrążała się w myślach, zastanawiała się, czy powiedział jej prawdę, gdy mówił, że uciekł od rodziców, by stać się dorosłym. Według jego słów, odkąd pamiętał, chciał być panem swego losu, stawiać kroki przed siebie i czuć, że jest wolny.

Jednak dziewczynka wiedziała, że jej piękny towarzysz odwraca wzrok, kiedy ich rozmowa schodzi na temat rozstania. Calidris bardzo za kimś tęsknił i chociaż nigdy tego nie przyznał, nienawidził swojej samotności.

Aquila przez jakiś czas myślała, że już zawsze będą razem wędrować przez magiczne krainy i przepływać lśniące w promieniach słońca rzeki. Jednak, mimo że bardzo chciała, nie potrafiła długo oszukiwać samej siebie.

Dziewczynka myślała, że pokochała pięknego Calidrisa, jednak w dniu, w którym zdecydowała się odejść, zdała sobie sprawę z magicznej mocy jego szafirowych oczu.

Aquila wyruszyła w dalszą drogę sama. Wiedziała, że chłopiec nie jest jej przyjacielem, a ona nie potrafi uleczyć go z samotności. Calidris chciał być dorosłym i skoro się na to zdecydował, musiał ponieść konsekwencje. Dorosłe życie wiąże się z odpowiedzialnością, ta natomiast uczy, że samotności nie można się wyzbyć chwytając za rękę drugiego człowieka. Samotność Calidrisa była tym, co pchnęło go w stronę Aquili. Jednak wspólna wędrówka nie mogła mu pomóc. Aquila rozumiała, że chłopiec tylko będąc sam nauczy się akceptować samotność. Calidris nie potrzebował Aquili; potrzebował czasu.

Dziewczynka zostawiła go, bo wiedziała, że obojgu wyjdzie to na dobre. Nie płakała, gdy szła dalej bez towarzysza. Cieszyła się, że może być sama, bo w przeciwieństwie do niebieskookiego chłopca, lubiła mieć czas tylko dla siebie.

Mijały tygodnie, miesiące i lata, a Aquila cały czas podróżowała. Było jej dobrze. Uczyła się nowych rzeczy, poznawała miejsca i oglądała widoki, które ujrzeć można tylko w baśniowych krainach. Przemierzała ciemne lasy pełne duchów i wysokie, strome góry, zamieszkane przez górskie trolle.

W bajkach dla dzieci nie mówi się o rzeczach, jakie spotkały Aquilę. Być może dlatego też jej legenda na tak długo została zapomniana. Otóż nawet sama bohaterka tej opowieści nie pamięta już kiedy to się stało, jednakże stało się – Aquila w ciągu kilku lat, ze ślicznej, małej dziewczynki, zmieniła się w młodego, przystojnego mężczyznę. Takie rzeczy nawet w świecie Aquili nie zdarzają się często.

Aquila jako chłopak był jednak wciąż tą samą osobą. Nie przeszkadzały mu zmiany, które zaszły w jego ciele. Dla Aquili było to nieistotne; dopóki jego ciało było silne i sprawne, dopóty był z niego zadowolony.

Któregoś poranka Aquila siedział nad rzeką i łowił ryby. Do jego nagiej klatki piersiowej przylegał drewniany ludzik, wystrugany i zawieszony przed laty na rzemyku przez małą dziewczynkę. Długie, ciemne włosy Aquila nadal nosił rozpuszczone. Jego opalona skóra miała miedziany kolor, a czarne oczy bystro spoglądały na mieniącą się taflę wody.

Aquila zasnął, a gdy się obudził obok niego siedziała kobieta. Przedstawiła się jako Spizella. Popatrzyła mężczyźnie głęboko w oczy, a on spokojnie je zamknął, zyskując tym samym chwilę na zastanowienie się nad sytuacją.

Spizella miała oczy granatowe, a na głowie burzę czarnych loków. Jej usta były krwistoczerwone, a skóra miała brązowy odcień, gdzieniegdzie wpadający w żółty.

Aquila wciąż miał zamknięte powieki, gdy zapytała go, kim jest i co robi nad rzeką. Odpowiedział jej żartobliwie lecz łagodnie, swoim niskim, gardłowym głosem. Wystarczyło mu

jedno zdanie, ponieważ rzadko spotykał ludzi. „Nazywam się Aquila, przyszedłem z Vultur Calvus, żeby złowić tu rybę".

Kobieta przysunęła się bliżej i zapytała, czy może przyłączyć się, by podróżować dalej razem z nim. Chłopak się zgodził, bo już od lat nie miał innego towarzystwa niż jego drewniany ludzik.

Spizella po jakimś czasie pokochała Aquilę, choć on długo nie zdawał sobie z tego sprawy. A może po prostu tak bardzo nie chciał, żeby do tego doszło, że udawał, że się nie domyśla. Prawdopodobnie tak właśnie było, ponieważ Aquila był wyjątkowo inteligentny, a w dodatku posiadał zdolność rozumienia istot żywych bez zbędnych słów.

Mężczyzna nie chciał ranić Spizelli, jednak musiał stawić czoła sytuacji. Usiadł przy płaczącej kobiecie, chwycił jej dłoń i powiedział:

„Spizello. Kochasz mnie i ja ciebie też kocham. Jednak niedopowiedzenie bywa tym samym co kłamstwo, dlatego muszę powiedzieć – kocham cię, ale nie na zawsze. Kocham, ale nie najmocniej. Kocham, ale nie spędzę reszty życia z tobą. Nie odnalazłem w tobie części swojej duszy, więc nie mogę oddać ci serca". Gdy wybrzmiały te słowa, Spizella nie potrafiła już patrzeć Aquili w oczy. W nocy odeszła bez pożegnania.

Rozumiała, że nie można zmusić drugiego człowieka do miłości.

Aquila znów był samotnym wędrowcem. Żal mu było Spizelli, jednak wiedział, że postąpił mądrze. Pragnął miłości, ale był gotów czekać na tę jedyną i prawdziwą, szczerą.

Któregoś deszczowego dnia, gdy chował się w jaskini przed złośliwymi chmurami, Aquila wyciągnął z plecaka kawałek porządnego, czerpanego papieru i pióro. Napisał:

„Nazywam się Aquila i pochodzę z Vultur Calvus. Czekam na Ciebie."

Wiatr porwał kartkę, a chłopak zasnął z uśmiechem na ustach. Może się wydawać, że napisał mało i bez sensu. Na Kontynencie jednak świat rządzi się niezwykłymi prawami. Aquila wiedział, że prędzej czy później jego wiadomość trafi tam, gdzie powinna. Spał i śnił o rzece, błyszczącej w świetle tysięcy gwiazd.




Wacław Niżyński w spektaklu *Le spectre de la rose* (1913).

Szymon Kamiński

## Bunt zwierząt

Spotkanie z jeleniem było dla mnie jak spotkanie z Innym. Patrzył na mnie wzrokiem jasnym i bystrym. Czystym i uważnym. Przenikał mnie spojrzeniem spod długich i czarnych rzęs, za którymi ukryły się dwie wielkie czarne dziury.

Nie ruszałem się, żeby go nie spłoszyć, jednak czułem, że w tym mierzeniu się oczami to ja jestem tym, który odskoczy pierwszy. Omiotłem wzrokiem ciało jelenia i stwierdziłem, że jest bardzo piękny, taki majestatyczny. Stał przede mną. Mięśnie drgały pod napięta, brązową skórą. Nie wiem, ile czasu nam zajęła ta prywatna walka, kiedy schylił głowę i urwał źdźbła trawy. Westchnąłem...

– Idziesz? – usłyszałem gdzieś za sobą.

Odwróciłem się. To Irka mnie wołała. Szliśmy paczką znajomych na spacer po lesie. Zresztą nie byliśmy sami. Alejkami przesuwały się grupy ludzi, które tak jak my chciały skorzystać z wolnego dnia i pięknej pogody.

Las był całkiem spory, a mój dom stał przy jego brzegu. To tu stawiałem pierwsze kroki i poznawałem świat, zupełnie inny od tego, jaki poznają zazwyczaj dzieci. Był on dziki, naturalny, spokojny, ale też niebezpieczny, kiedy to wyruszałem na piesze wędrówki samotnie. Nieraz oberwałem od rodziców, gdy wypuściłem się za daleko w teren.

– Idę, idę – odpowiedziałem i ruszyłem za znajomymi.

Drzewa delikatnie poruszały się na wysokości. To wiatr grał na liściach, a tu u nas na dole trwała cisza. Teren poprzecinany był alejkami i pagórkami, na których rosły różne gatunki drzew i krzewów. Ściółka przybrała lekko zielony odcień, przykryty złoto-brązowo-czerwonym kocem z zeschłych liści. Odetchnąłem. Tu aż chciało się być.

Przyjemnie się spacerowało, zwłaszcza że miałem dobre towarzystwo. Dookoła nas przemykały rodziny z dziećmi, niektóre wbiegały na górki lub z nich zbiegały przy ostrzegających okrzykach rodziców. Gdzieniegdzie pojawiały się lisy lub małe sarenki – wszystkie zwierzęta jednak zgodnie omijały ludzi, nie wychylając się za bardzo spoza drzew.

Szliśmy przed siebie, jedną i tą samą co zawsze trasą nad rzekę, a raczej rzeczkę, która przepływała przez naszą wieś i w pewnym momencie łączyła się z jeziorkiem. Na jego nadbrzeżu stał mój dom rodzinny. Nie musieliśmy rozmawiać – znaliśmy się już tyle lat,

że wystarczyła nam własna obecność. Zresztą nic nowego też się nie działo, co wymagałoby omówienia. W paczce była Irka, Krystian, Bartek, Julia i ja. Znajomi od dzieciństwa, w tym samym wieku i z jednej wsi. Łączyło nas wiele, a nie dzieliło – nic. Mieliśmy po dwadzieścia lat i życie przed sobą. Wakacje trwały.

Moje przemyślenia przerwał dziecięcy krzyk i pojawiający się zaraz po nim wrzask kobiety. To mała dziewczynka uciekała przed dzikiem, który ją gonił. Sukienkę miała lekko nadszarpniętą i dziurawą na rękawie – widocznie dzika świnia ją ugryzła. Jej mama biegła za córką, jednocześnie odpychając loszkę. Na pomoc ruszyli mężczyźni, nogami i okrzykami próbowali odstraszyć zwierzę. Kobieta w tym czasie złapała dziecko. Odbiegła, tak samo jak nieznajome zwierzę, które prychnęło i pomknęło w las – a do naszych nozdrzy doleciał dziwny zapach…

Pamiętam, jak tata mi kiedyś opowiadał o zapachach. Zupełnie przypadkowa myśl. Dzikie zwierzęta je wyczuwają, zwłaszcza te inne, obce, ludzkie. Jeśli nie chciało się spłoszyć zwierzyny, trzeba było stanąć tak, żeby wiatr nie niósł woni w miejsce, gdzie przebywało zwierzę. To stara i sprawdzona sztuczka myśliwych. Można także było wysmarować się naturalnym zapachem lasu – wytarzać się w runie, błocie czy innym smarowidle, który przykryje niepokojący ludzki odór.

Wróciłem do rzeczywistości. Dziewczynka płakała w ramionach matki. Sukienkę miała podartą, a spod niej wystawały różowe majteczki. Gdyby nie dramaturgia i powaga sytuacji, sprawa byłaby nawet komiczna. Wkurzała mnie jednak bezmyślność kobiety, która pozwoliła na to, by takie coś mogło zaistnieć. Gdzie była? Co robiła? Dlaczego nie pilnowała własnego dziecka? Jesteśmy przecież w zupełnie obcym miejscu. Dlaczego ufała temu, czego nie zna? A to przecież my jesteśmy gośćmi i jak goście powinniśmy się zachowywać.

Sytuacja była opanowana, więc wraz z przyjaciółmi zgodnie ruszyliśmy przed siebie. Skończyło się tylko na kilku zadrapaniach i strachu. Jednak ja byłem poirytowany i zdenerwowany. Zacząłem rozglądać się po otoczeniu i zauważałem różne oznaki bytności człowieka. Gdzieniegdzie bielały na brązowej runie kopce z papieru toaletowego, tu i ówdzie walały się plastikowe torebki po chipsach czy puste puszki. Jak grzyby spod martwych liści wyrastały brązowe kapelusze z butelek po piwie. Pod jednym z drzew leżały niczym dorodne wiewiórki worki ze śmieciami, wypełnione różnorodnymi przedmiotami. Trafiła się także czarna gumowa opona, która już lekko porosła mchem. Nie było dobrze. Ale nie było też tragicznie. Jednak człowieka było tutaj za dużo.

W końcu doszliśmy nad rzeczkę. Kilka rodzin rozłożyło przy wodzie koce lub ręczniki, na których teraz spoczywali. Większość przybyłych tylko tędy przechodziła, zresztą w tym małym zagajniku nie było zbyt wiele miejsca na plażowanie. Przyroda zajęła należny jej teren. Długie liście

trzciny dominowały nad brzegiem, a na spokojnej tafli rozkładały się potężne liście grążelu. Drzewa po obu stronach zwieszały swoje długie gałęzie, które poruszały się w rytmie nurtu, dziś wyjątkowo spokojnego. Nad drzewami przemykały ciemne chmury, powoli zasłaniające słońce. Jednak ciągle było upalnie.

– Siadamy? – zaproponowałem grupie.

Znajomi ochoczo zajęli odpowiedni miejsce, tak by można było spokojnie usiąść nad wodą, porozmawiać i jednocześnie pomoczyć nogi w orzeźwiającej toni.

– Jak przyjemnie… – westchnęła Irka.

– Nooo… aż nie chce się wierzyć, że niedługo koniec wolnego – dodał Bartek.

– Nie masz tak źle, do rozpoczęcia semestru masz jeszcze miesiąc – przypomniał mu Krystian.

Bartek mruknął coś tylko w odpowiedzi. Zapanowała cisza. Nie chciało mi się znowu rozmawiać o tym samym i wałkować tematu dorosłości, pracy, studiów i własnej odpowiedzialności. Te wątki pojawiały się w naszej paczce zdecydowanie zbyt często i nie prowadziły do żadnych konkretnych wniosków.

Zerwałem kwiat koniczyny, który delikatnie dotykał mojego uda. Pokręciłem nim kilka razy. Poczułem na sobie wzrok Julki. Uśmiechnąłem się do niej i wysunąłem dłoń z koniczynką. Odwzajemniła gest i przyłożyła kwiatka do nosa.

– Auć! – wykrzyknęła i zerwała się z ziemi.

– Co się stało?!

Wskazała na swoją stopę. Z czubka dużego palca sączyła się krew.

– Coś mnie ugryzło.

– Oj, daj spokój. Niby co? Przecież tu płytko jest, zauważylibyśmy. A ryby przecież nie gryzą – zażartowałem, ale zobaczyłem mordercze spojrzenie Julii.

Nic nie zapowiadało tego, co miało stać się później. Mała ranka była tylko preludium do całego wydarzenia. Na początek las wydarł się donośnym krzykiem czy nawet rykiem. Wszystko drżało. Wstaliśmy przestraszeni, tak jak i inni, spędzający tu czas. Chwilę później dotarł do nas krzyk ludzi i dopiero wtedy usłyszeliśmy bieganinę i harmider. Wydawało się, że hałas dochodzi zewsząd.

Z zarośli wyskoczył jeleń, smukłe kopyta wyrzucił przed siebie, a za nim leciała reszta potężnego ciała. Stanął na czterech nogach i prychnął nozdrzami. Byłem przekonany, że to ten sam, którego niedawno spotkałem w lesie. Zwierzę kilkukrotnie potrząsnęło łbem, jakby mierzyło do celu. Kilka razy przesunęło kopytem po ziemi, chcąc się rozpędzić. Ruszył!

Usłyszałem tylko pisk dziewczyn i rozpierzchliśmy się. Biegłem przed siebie, ile miałem sił. Adrenalina działała i dodawała energii – uderzyłem w stronę domu ścieżką, którą przyszliśmy. Wydawało mi się, że wszyscy biegniemy w jednym kierunku, jednak gdy się obejrzałem – nie było ani jelenia, ani moich znajomych. Zawołałem ich, ale mój głos nie przebił się przez wszechotaczający hałas i chaos. Nie wiedziałem, co robić, więc zawróciłem. Nad jeziorem nikogo nie było. Krzyknąłem kilka razy imiona swoich znajomych, jednak bezskutecznie. Serce waliło mi tak, jakby zaraz miało wyskoczyć. Starałem się uspokoić. Siebie i myśli. Nie wiedziałem, co robić. Postanowiłem, że wrócę do domu. Prawdopodobnie to najlepsze miejsce na ponowną zbiórkę. Wziąłem głęboki oddech i ruszyłem znowu na ścieżkę.

Spacerowicze już nie przemierzali alejek i nie kontemplowali natury – biegali teraz w popłochu, uciekając przed zwierzyną. Jednych goniły jelenie i sarny, niektórzy byli już mocno pogryzieni i ociekali krwią. Innych znów poganiały dziki i lisy. Gorzej radzili sobie ci, których otaczało ptactwo. Dziobanie i szarpanie pazurami wydawało się trudne do okiełznania.

Wiele ciał leżało na ziemi. Jeszcze więcej miało niedługo pokryć brukową kostkę i runo leśne lub zatrzymać się na drzewach czy skończyć w żołądkach dzikich zwierząt. Przedostanie się do budynku przez las, to jak przedzieranie się przez pole minowe. Panował jeden wielki harmider i chaos. Należało unikać konfrontacji i zwracania na siebie uwagi. Tylko jak to zrobić? Nie chciałem też wchodzić między goniących.

Ruszyłem. Z początku wolno i truchtem. W końcu sprintem biegłem w obranym kierunku. Brakowało mi tchu, ganiłem siebie za słabą kondycję. Kilka razy musiałem się zatrzymać przestraszony, gdy kolejne zwierzę wyskakiwało przede mną. Niewiele się zastanawiając uciekałem dalej, mimo że coraz trudniej było mi złapać oddech, a mięśnie odmawiały posłuszeństwa.

W końcu na horyzoncie, pomiędzy zielonymi gałęziami, mignął front domu. Byłem tak blisko, a tak daleko. Jeszcze kilka ruchów i bezpiecznie zamknę się w jego wnętrzu. Coś jednak było nie tak, coś się nie zgadzało…

Kiedy wybiegłem na polankę przed budynkiem, zwolniłem. Nogi zaczęły drżeć z wysiłku, płuca nie nadążały z wymianą powietrza. Szedłem przed siebie. Dom był już splądrowany – drzwi wejściowe na oścież otwarte, a okno z prawej strony wybite, rama zwisała smętnie na jednym z zawiasów. Wyglądał obco. Jakoś tak… przerażająco. Stał się nieznajomy i mroczny. Chmury już dawno zasłoniły słońce. Była typowa deszczowa pora, w powietrzu czuć było delikatne wyładowania.

W środku domu panowały ciemności i wydawało się, że nikogo nie ma. Jednak ślady niedawno stoczonej w tym miejscu bitwy było widać już przy wejściu. Schody skropione były krwią; teraz się po nich wdrapywałem i podążałem tropem czerwonych plam.

Światło padające z otwartych drzwi lekko rozjaśniało korytarz, który prowadził prosto w głąb budynku. Panował bałagan – rzeczy porozrzucane, szafki poprzewracane. Ruszyłem dalej. Minąłem pierwsze otwarte drzwi, tutaj też ktoś dokonał zniszczeń. Dopiero po chwili zobaczyłem, leżące na podłodze ciało. Stanąłem jak wryty. Oglądałem miejsce zbrodni. Rękaw koszuli zahaczył o połamane okno. Trup miał wyciągnięta do góry rękę. Usłyszałem gwałtowny hałas, dobiegający gdzieś z podwórka. Wyjrzałem tam i zobaczyłem kilku ludzi, biegnących w kierunku domu, a za nimi podążało stado dzikich zwierząt.

Uciekinierzy wymachiwali rękoma i krzyczeli. Większość z nich była już mocno pokiereszowana, po twarzach ściekały strugi krwi. Wiedziałem, że nie mogę tu zostać, więc pospieszyłem dalej, na piętro. Kiedy tylko dopadłem schodów, pokonałem je kilkoma susami. Z daleka dobiegały dźwięki sygnalizujące, że pierwsi ludzie wparowali do wnętrza budynku.

Na piętrze panowały ciemności, delikatnie rozświetlane przez szyby w drzwiach. Korytarz był spory i pusty. Całkiem nienaturalnie pusty teraz, mimo że spędziłem tu przecież całe swoje życie. Miałem do wyboru tylko dwoje drzwi – z lewej i prawej strony. Te drugie wydawały mi się bezpieczniejsze, bo oddalone od zejścia. Pobiegłem tam i kiedy otwierałem przejście usłyszałem głuchy dźwięk.

– Ej! Uważaj!

Przede mną stała kobieta, która rozmasowywała sobie teraz skroń.

– Zamykaj te drzwi! Już! – krzyknęła.

Spełniłem szybko polecenie, a nieznajoma mi pomogła. Oparła się o nie całym ciałem. Dopiero wtedy zdałem sobie sprawę, że jestem zasapany, a serce wali mi jak oszalałe. Rozejrzałem się. Pomieszczenie było duże, ale przedzielone na środku wielkimi płachtami materiału, w ten sposób powstały dwa mniejsze pokoje, których mama używała na co dzień do swoich spraw – jako gabinetu.

– Co tu się dzieje? – zapytałem.

– Nie mam zielonego pojęcia. Ale żywi z tego nie wyjdziemy…

Spojrzałem na nią. Głowę odchyliła do tyłu, oczy miała zamknięte.

– Zwierzęta dostały jakiegoś szału. Atakują tylko ludzi, co dziwne. Sama widziałam, jak robią to grupami. Dasz wiarę?

– Bunt zwierząt? – zażartowałem.

– Na to wygląda. I nie jest za dobrze. Nawet nie mamy jak się bronić.

W pokoju rozległo się walenie do drzwi.

– Wpuście nas! Na litość boską, wpuście! – Dobiegały krzyki. Jednak nieznajoma spojrzała na mnie i pokręciła głową.

– Nie ma mowy. Jak wpuścimy, to zginiemy od razu. Zwierzęta są za blisko.

Już wstawałem, żeby otworzyć drzwi i powiedzieć, że tak nie można, kiedy kobieta złapała mnie za koszulkę i mocno szarpnęła. Przeleciałem przez pokój. Gruchnąłem o podłogę, aż wypuściłem powietrze z płuc. Wiedziałem, że nie mogłem się jej przeciwstawić, widziałem gniew w oczach nieznajomej. Zresztą strach podziałał na mnie paraliżująco. Tym bardziej, gdy usłyszałem szamotaninę za drzwiami. Ludzie walczyli ze zwierzętami o własne życie. Rozlegały się okrzyki i dzikie odgłosy. Kilka razy o ścianę coś uderzyło, potem nastąpiła cisza. Nie ruszałem się. Moja sąsiadka również. Każde z nas przeżywało to, co się wydarzyło. Tam mogli być moi znajomi… Co ja zrobiłem?!

– To mój dom, ale jakiś taki obcy. Nie czuję się tu bezpiecznie. On chce…. Mnie zniszczyć. Tak czuję – powiedziałem odważnie.

– Daj spokój. Tak długo, jak się bronimy i kryjemy w jego wnętrzu, tak długo możemy czuć się bezpiecznie. Dom jest dla nas, a przynajmniej ten pokój teraz. Mam jednak nadzieję, że ktoś przyjdzie nam na ratunek. Masz telefon? – zapytała.

Nie miałem. Zgubiłem biegnąc tutaj. Powiedziałem jej o tym.

– Wiesz… straciłam męża – zaczęła nieznajoma. – Widziałam, jak dzik… go powala, a wilki rozszarpują ciało. Bawiły się nim, kiedy jeszcze żył. Nie wierzę w to, co się stało. Widziałam, jaką sprawiało im to radość. To znęcanie się. To nie może być prawda. Jakby chciały sprawdzić, ile wytrzyma… – Spojrzała na mnie, a na jej twarzy malował się strach.

– Bawiły się? – powtórzyłem.

– Tak. Chyba tak – dodała. – Ciągle widzę ten przerażony wzrok Sławka – powiedziała, łkając.

– Skąd pani przybiegła? – Zmieniłem temat.

– Chodziłam po lesie. – Przetarła dłonią twarz, zmazując łzy. – Wyszliśmy, bo ładna niedziela i człowiek chciał złapać trochę świeżego powietrza. Zresztą często tu przyjeżdżamy… przyjeżdżaliśmy…

– Rozumiem. Ja byłem ze znajomymi nad jeziorem. Tyle tylko, że ja tu mieszkam.

– To może macie tu jakiś inny telefon albo komputer? Trzeba sprawdzić, co się dzieje, kogoś zawiadomić…

– Nikogo dzisiaj nie było w domu. A komputer jest na dole chyba. Raczej nie ma sensu tam teraz wychodzić.

Kobieta mruknęła coś tylko i usiadła, opierając się plecami od drzwi.

– To czekamy.

Podszedłem do okna. Powoli zmierzchało. Przed domem polanka, na niej leżące, poszarpane zwłoki nieznajomych ludzi. Gdzieniegdzie przechadzały się jeszcze sarny, które, niczym strażniczki sprawdzały, kogo jeszcze dobić. Na skraju lasu widziałem wielkiego jelenia, która patrzył na wszystko z podniesioną głową. Rozglądał się, jakby czegoś poszukiwał wzrokiem. W końcu zaryczał i wszedł między drzewa.

– Zwierzęta wychodzą z cienia…

– Co powiedziałeś?

– Zwierzęta wychodzą z cienia. Nie wiem, czemu mi to przyszło do głowy. – Sarny zaczęły skubać trawę, jak gdyby nigdy nic.

– Nooo… coś w tym jest. Wyszły z ukrycia z morderczymi planami. Czegoś takiego to ja jeszcze nie widziałam.

– Ja też nie. Ale to zupełnie wywraca nasze myślenie o nich – powiedziałem i odwróciłem się od okna.

– Że niby co? – prychnęła nieznajoma.

– Że są inteligentne.

– Dostały szalu i atakują wszystko, co się rusza – to żadna oznaka inteligencji.

– W sumie, jak się spojrzy na działania człowieka, to można zobaczyć pewne podobieństwo…

– Przestań bredzić! Pewnie to jakaś choroba wściekłych dzików albo co. Ktoś na pewno temu zaradzi. Masz telefon?

– Nie.

– A, no tak. Pytałam. Nawet nie wiemy, co się dzieje tak naprawdę.

– Nie przeceniałbym jednak aż tak mediów w tej kwestii. To wszystko dopiero się zaczęło, więc na wnioski jest o wiele za wcześnie.

– Ćśśś! Słyszysz? – przerwała mi kobieta.

Skupiłem się, by usłyszeć to, o czym mówiła. Coś drapało w deski. Bardzo delikatnie, jakby istota za nimi sprawdzała, co to za materiał. Odczułem napięcie w całym ciele – stres. Coś znowu chciało tu wejść, bo nagle rozległ się porządny huk, drzwi zadrżały, a kobieta odskoczyła od nich.

– Chyba próbują się do nas dostać! – wykrzyknęła. – Musimy się schować!

– Przecież mówiłaś, że jesteśmy tutaj bezpieczni!

– Przecież to twój dom, a nie mój! To czemu mi wierzysz! Chowaj się lepiej, póki czas, bo nam tu zaraz wparuje cała zgraja!

W pokoju nie było za wiele kryjówek. Po prawej stronie stało wielkie biurko i krzesło, zaś po lewej – stół z siedziskami dookoła oraz segment, zajmujący całą ścianę. Wybrałem biurko, w którym w dzieciństwie chowałem się przed rodzicami. Teraz modliłem się, żeby mebel nadal mógł mnie pomieścić. Skoczyłem ku niemu, w tym czasie nieznajoma złapała zasłony i próbowała się w nie owinąć.

W środku było ciasno i niewygodnie, jednak przyjmując pozycję embrionalną udało mi się wpakować i zamknąć za sobą drzwiczki. Zrobiło się ciemno, a po chwili także duszno. Powoli zaczynało brakować powietrza, a ja – odczuwać panikę. Słyszałem swój przyspieszony oddech. Co jakiś czas dochodziło do mnie walenie o drzwi, aż w końcu udało się temu czemuś wywarzyć je i przedostać do środka.

Drżałem. Było gorąco. Nie mogłem jednak zdradzić swojej kryjówki. Do pomieszczenia prawdopodobnie weszło kilka zwierząt, tak mi się wydawało po odgłosach łap. Przechodziły pomiędzy meblami, co jakiś czas, któreś z nich wydawało jakiś przeciągły dźwięk. Chyba się komunikowały.

W końcu usłyszałem krzyk kobiety – znalazły ją. Odgłosy szamotaniny wypełniły pokój, a mój puls przyspieszył. Ja będę kolejny. W szafce zrobiło się jeszcze bardziej duszno, pot spływał mi po ciele. Ale nie mogłem otworzyć drzwiczek.

– Zostawcie mnie! – krzyczała nieznajoma, jednak zwierzęta nie chciały spełnić życzenia. Jej głos powoli milkł i stawał się coraz bardziej zduszony. Coś ewidentnie po niej skakało. Nie chciałem o tym myśleć, jednak ciągle w mojej głowie brzmiał głos, który mówił: dobrze, że to nie ja.

Usłyszałem prychnięcie, a potem odgłos ciągnięcia czegoś po podłodze. Na tym jednak nie koniec: coś drapnęło w drzwiczki biurka. Pisnąłem zduszonym głosem i sam siebie za to zganiłem. Meblem zaczęło trząść, a w końcu poczułem, że przewraca się na bok. Drzwiczki były teraz skierowane ku sufitowi. Błagałem, żeby materiał wytrzymał, a solidne drewno nie puściło. Liczyłem, że to potężne biurko wytrzyma wiele. Łapałem z wysiłkiem każdy oddech. Jeszcze trochę i sam się oddam w łapy tych zwierząt albo się tu po prostu uduszę. Jednak ciągłe ataki na mebel powstrzymywały mnie przed tym krokiem. Zaraz będzie po wszystkim – powtarzałem sobie.

Aż nastąpił upragniony spokój. Odpuściły. Nadal nie wychodziłem, bałem się. A jeśli to zasadzka? Czekałem, liczyłem powoli mijające sekundy. W końcu nie wytrzymałem i otworzyłem szeroko drzwiczki. Złapałem haust świeżego powietrza. Liczyłem się z atakiem, ale nikogo w pokoju nie było.

W pomieszczeniu panował bałagan. Zasłony były cale we krwi. Wiedziałem, że pod nimi leży zmasakrowane ciało kobiety. Odwróciłem wzrok od tego widoku. Krzesła i stół porozrzucane były po kątach i tylko mój schowek stał w tym samym miejscu. Zwierzęta dały radę go jedynie przewrócić, ale na powierzchni były widoczne ślady zębów oraz pazurów. Spod ciemnej okleiny świeciła jasną barwą drewniana sklejka.

Wyszedłem z szafki – mięśnie bolały i rozeszły się po nich nieprzyjemne prądy. Ruszyłem ku drzwiom. Strzępki drewna wisiały na zawiasach, reszta została roztrzaskana. Delikatnie wyjrzałem – na korytarzu pusto. Ślady wcześniejszych walk były uprzątnięte. Wahałem się i zastanawiałem, czy zaraz coś mi nie wyskoczy z ciemności. Powoli, krok za krokiem, wszedłem w ten mrok. Starałem się robić to jak najciszej, żeby niczego nie przywabić. Chciałem przejść do drugiego pokoju, jeśli jest jeszcze sens. Może tam uda się skryć.

Doszedłem do załomu korytarza. Przyspieszyłem kroku. W kolejnym pokoju też nikogo nie było. Tylko cisza. Szybko zamknąłem za sobą drzwi. Złapałem pierwszy z brzegu fotel, który stał na środku pomieszczenia, i przystawiłem do drzwi. Potem drugi fotel postawiłem na pierwszym. Znosiłem rzeczy, które mogły zabarykadować przejście. Barykada powoli się powiększała, a ja czułem się bezpieczniej. Przynajmniej na moment. Tylko co dalej?

W środku panował mrok. Nie zapalałem światła – byłby to zbyt wyraźny sygnał mojej obecności. Miałem chwilę na to, żeby pomyśleć o swoich znajomych: gdzie mogli teraz być? Czy są cali i zdrowi? Co się z nimi dzieje? O rodziców się nie martwiłem, akurat wyjechali na kilka dni, więc na pewno nic im nie jest, ale też nie miałem możliwości, żeby im dać znać, że żyję. Jeszcze…

Podszedłem do okna. Wychodziło na drugą stronę domu. Las falował delikatnie, targany wieczornym wiatrem. Przypominał spokojne morze, którego fale uderzają o brzeg, a gdzieś hen na zielonym horyzoncie migały strzeliste dachy kościołów pobliskiej miejscowości. Chmury kłębiły się i przesuwały na niebie. Jakiś taki spokój panował na świecie… Czułem się jak nie na swoim miejscu. Chciałem stąd wyjść, uciec gdzieś, gdzie będę u siebie. Ale już nie było takiego miejsca.

Oparłem się o parapet. Na polanie za domem nie było zwierząt ani ludzi, tym bardziej nie było żadnych ciał. Wszystko odbyło się przed domem. Musiałem przemyśleć dalsze plany. Jakie miałem możliwości? Wyjść przez okno i uciec stąd – marne szanse na to, że nie spotkam niczego niebezpiecznego w lesie. I gdzie uciec w nocy, kiedy jest całkiem ciemno? Musiałem zostać tu albo w…

Westchnąłem zrezygnowany, wiedziałem, co to znaczy, gdy znowu usłyszałem skrobanie przy drzwiach. Zgraja wróciła. Niewiele się zastanawiając, spojrzałem jeszcze raz przez okno – byłem na pierwszym piętrze, nie było to jakoś szczególnie wysoko i mogłem skoczyć, zwłaszcza

że na dole rosła trawa. Jednak upadek z trzech metrów wystarcza, żeby coś sobie zrobić. Otworzyłem szeroko skrzydła okna i usiadłem, zwieszając nogi na zewnątrz. Obróciłem się i bardzo powoli, opierając stopy o ścianę, zacząłem się spuszczać na dół, żeby zminimalizować wysokość. Wisiałem chwilę na koniuszkach palców, po czym rozluźniłem uchwyt.

Przeleciałem dwa metry na ziemię i upadłem na plecy. Poczułem delikatny ból w kolanie i kostkach. Wstałem szybko, adrenalina działała na tyle, żeby znieczulić odczucia. Przytuliłem się do ściany i powoli ruszyłem przed siebie wzdłuż budynku. Starałem się jak najmniej hałasować oraz ciągle rozglądać, czy nie czyha na mnie gdzieś w mroku jakieś zwierzę. Na szczęście – na nic nie trafiłem. Doszedłem do załomu i spojrzałem, co czai się za rogiem. Pusta przestrzeń przecinana pojedynczymi drzewami i niskimi krzakami, a gdzieś dalej przy skraju lasu – stodoła. Zaraz przy domu stał ceglany budynek gospodarczy, w nim jednak ukryć się nie mogłem, bo był jak zawsze zamknięty na cztery spusty. Postanowiłem, że schowam się w stodole, a rano wyruszę dalej. Na ten moment wydawało się to najrozsądniejsze. Tam spędzę noc.

Musiałem tylko przebyć kawałek pustej przestrzeni między budynkami, a tym samym wystawić się na celownik – zwierzęta bardzo łatwo mogły mnie zauważyć i zapolować na mnie. Jednak nie miałem innego wyjścia.

Boże! – powiedziałem. Powtarzając to jedno słowo w myślach przebiegłem i ukryłem się pod ścianą budynku gospodarczego. Panował tu znośny mrok, więc mogłem choć na chwilę stać się niewidzialny. Spojrzałem na polankę, nic się nie ruszało, nic nie biegło w moim kierunku. Ruszyłem wzdłuż ściany, tylko z drugiej strony budynku. Byle dalej od domu.

Ta część podwórka porośnięta była wysoką trawą oraz licznymi dzikimi krzakami. Musiałem się przeciskać między nimi, a jednocześnie robić to przy jak najmniejszym hałasie. Kilka razy zahaczyłem koszulką o gałęzie lub wbiły mi się one w różne części ciała, zadając ból. Było ciężko. Ale nie mogłem się poddawać. Powoli, ale skutecznie posuwałem się do przodu, coraz bliżej stodoły.

Przede mną – między kolejnymi budynkami – znajdowała się następna otwarta przestrzeń, którą musiałem szybko przebyć, nie narażając się na ujawnienie. Mogłem iść też bezpieczniejszą drogą przez las. I tak też zrobiłem. Przemykałem między drzewami, obserwowałem otoczenie. Starałem się posuwać jak najciszej. Kilka razy tylko zatrzymałem się, kiedy usłyszałem ryk jelenia lub wycie wilka. Na szczęście nic na mnie nie skoczyło, nic nie zaatakowało.

W końcu stanąłem przed stodołą i skierowałem się od razu ku drzwiom. Nie były zamknięte. Wszedłem do środka – przede mną rozciągało się wielkie boisko. Wyżej rozciągały się grube belki, które tworzyły olbrzymi spadzisty dach. Po prawej i lewej stronie klepiska wielkie hałdy siana przeciskały się między deskami i rozsypywały na ziemi.

Wszedłem głębiej w budynek. Na drugim końcu budowli były otwarte na oścież drzwi. Przed nimi wykopana dziura. Ziemia z niej tarasowała wrota, uniemożliwiając zamknięcie. Dalej był już tylko las, który teraz straszył ciemnością.

Rozległo się przeciągłe wycie wilka. Odpowiedziało mu kolejne, a jemu jeszcze jedno. Zapanowała jedna wielka kakofonia. Przestraszyłem się, musiałem się koniecznie skryć. Jak się schować przed zgrają dzikich bestii? Wywęszą mnie tak czy inaczej…

– Zakamufluj zapach – usłyszałem gdzieś w głowie głos ojca.

Podbiegłem do hałdy i zacząłem szybko wcierać mokrą ziemię w ciało i ciuchy. Zostawiała na mnie nieprzyjemny zapach i kleiła się niemiłosiernie. Robiłem to systematyczne, kawałek po kawałku. Od włosów aż po czubki palców u stopów. Na ciuchy i pod ciuchy, żeby każde miejsce było dobrze nasmarowane mokrą papką. Brałem ją z środka kupy, żeby była jak najbardziej mokra i jak lepiła się do skóry.

Zajęło mi to wszystko kilka minut, aż stwierdziłem, że wystarczy. Planowałem też wykorzystać wykopany wcześniej dół. Jego wnętrze wyściełałem znalezioną z brzegu plandeką, spod lasu przytargałem ucięte gałęzie sosny i innych iglaków. Położyłem się w dole, pokryłem grubą warstwą materiału, na to grubszą warstwą ziemi. Częściowo przykryłem się już gałęziami, tak gęsto, żeby nie było widać plandeki i ziemi. Wystawała mi spod niej jedynie ręka, którą chciałem gałęziami przykryć resztę swojego kokonu. Udało się w ostatnim momencie, kiedy do stodoły wbiegł wilk. A jednak nie zdążyłem schować ręki. Teraz już nie mogłem się ruszać.

Leżałem i czekałem. Starałem się wyrównać oddech, po chwili całkiem przestałem oddychać. Słyszałem, jak porusza się po placu i wącha. Pewnie czuł mój zapach, jaki zostawiłem wcześniej. Poczułem coś mokrego na ręce – to jego nos, który dotknął dłoni. Zdusiłem krzyk, starałem się nie ruszać, mimo że drżałem. Spojrzałem w kierunku otwartej dłoni przez małą szparkę w plandece – stał nade mną biały wilk. Widziałem jego sierść, która prawie lśniła w tym mroku. Polizał mnie kilka razy po ręce – po czym odszedł. A ja odetchnąłem z ulgą. Czułem cały czas jego język na skórze. Do samego rana, bo tak przetrwałem całą noc. Nie ruszając się, sparaliżowany strachem.

O świcie udało mi się wyjść spod prowizorycznego schronienia i uciec stamtąd, ale już nie było dokąd iść. To nie był jednorazowy i lokalny wybryk. To działo się wszędzie.

A teraz siedzę przy ognisku wśród leśnej roślinności i leśnej zwierzyny. Wszyscy słuchali mojej opowieści, wspominając to, co się wydarzyło i o czym warto pamiętać.

Bo bunt nie musi jeden.

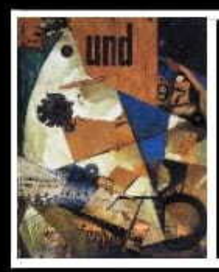
On ciągle się zdarza i ciągle trwa.



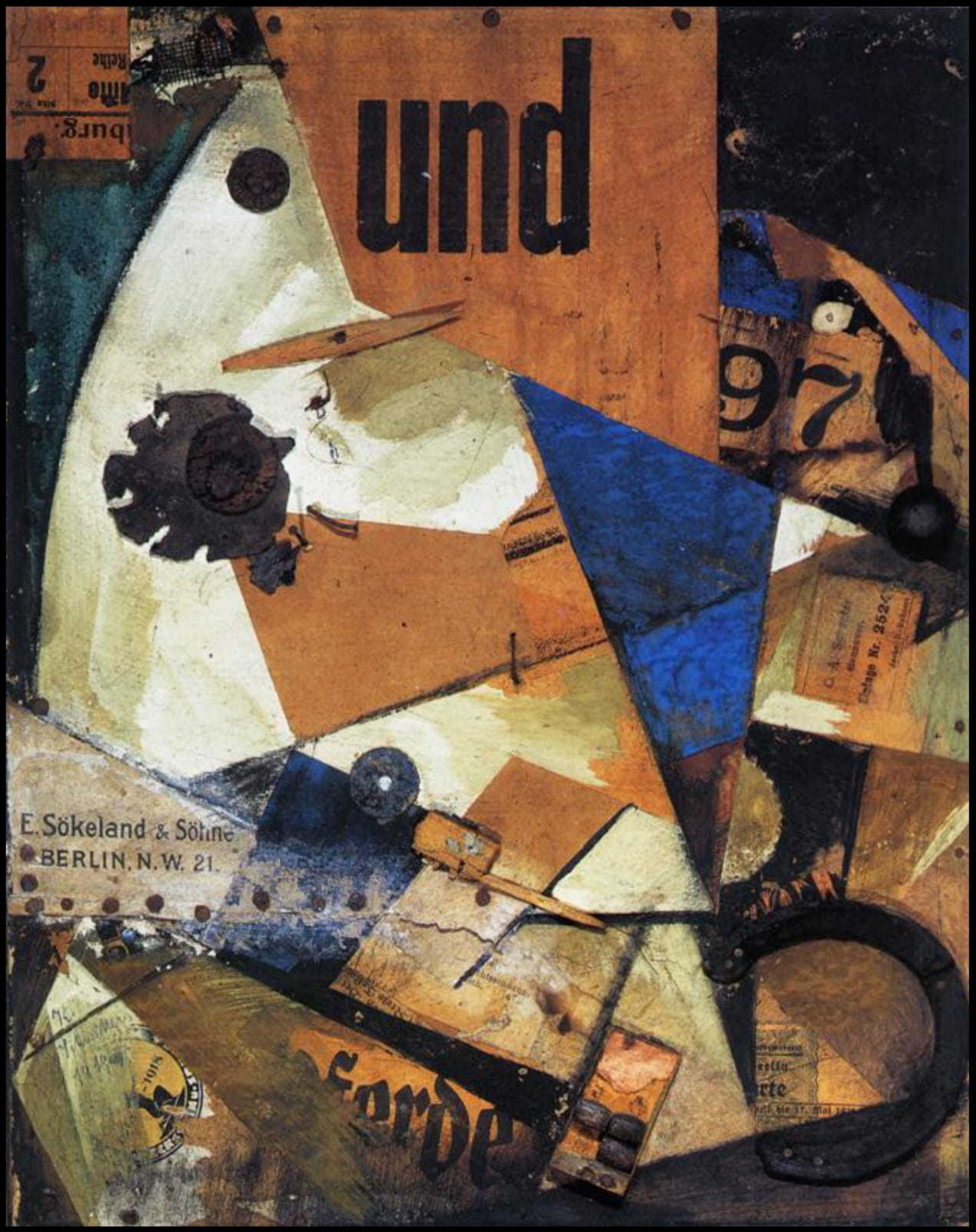
Jackson Pollock, *The She-Wolf* (1943)



*Das Cabinet des Dr. Caligari*, reż. Robert Wiene, zdj. Willy Hameister (1920)

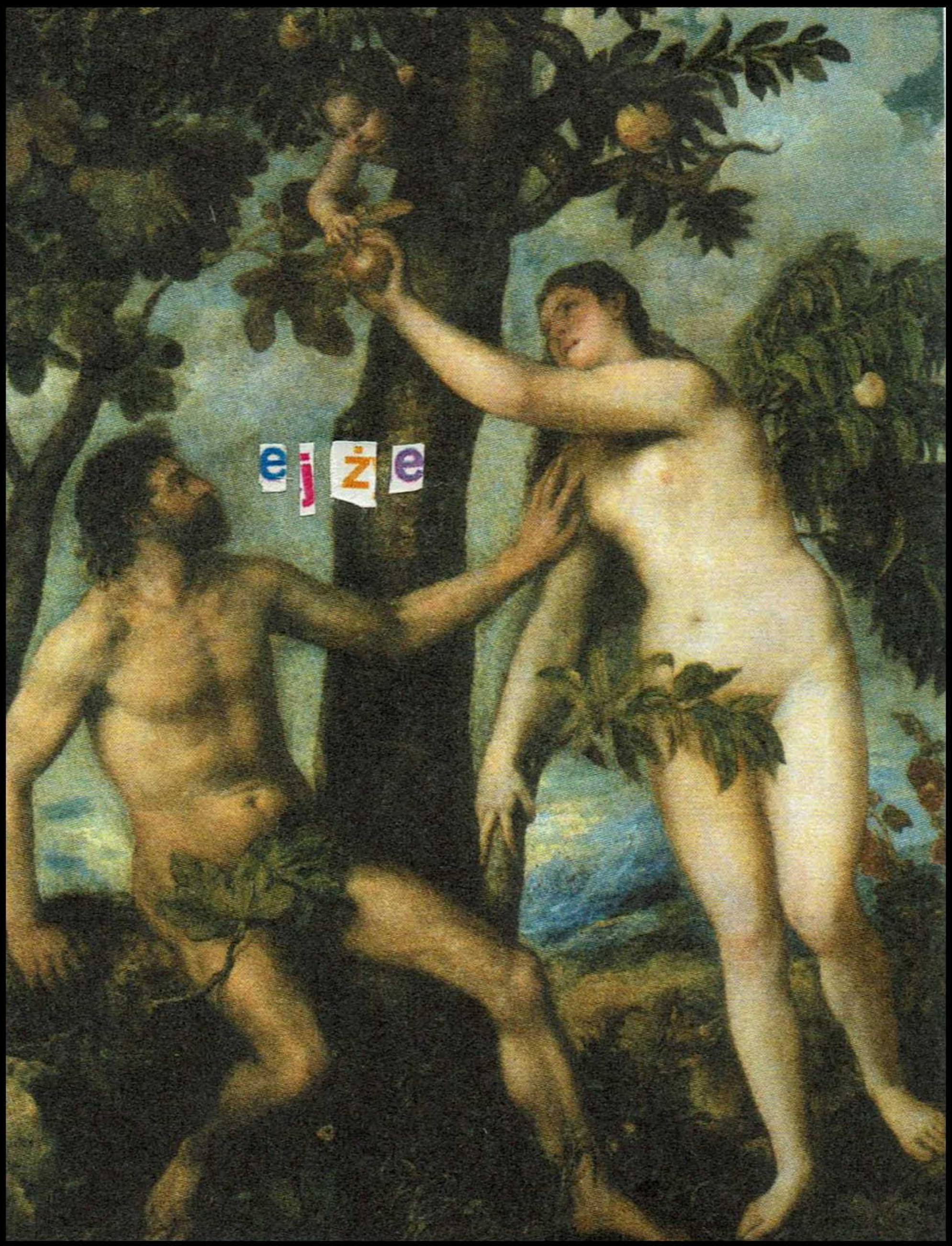


# COLLAGE




Kurt Schwitters, *Merz* (1919)

Zuzanna Heger



Ciało, które zamieszkuję

zajmuje przestrzeń.

Ciało, które zamieszkuję

ma fakturę, miękkość i kształt.

Ciało, które zamieszkuję

nie jest mi winne estetyzmu,

nie jest mi winne funkcjonalności,

nie jest mi winne wpasowywania się w kanon.

Ciało, które zamieszkuję

daje możliwości, przyjemność i dotyk.

Ciało, które zamieszkuję,

przynależy do materialności jak biedronka,

Ciało, które zamieszkuję

jest moją przestrzenią doświadczania.

jak kos,

Ciało, które zamieszkuję

jest moim narzędziem poznania.

jak sekwoja.

Ciało, które zamieszkuję,

samo jest procesem.

Ciało, które zamieszkuję

jest w ciągłej fluktuacji i obiegu

Ciało, które zamieszkuję czerpie ze świata,

z ciepła i chłodu,

z łatwości i z wysiłków.

Ciało, które zamieszkuję

jest niepowtarzalną możliwością czerpania.

Ciało, które zamieszkuję

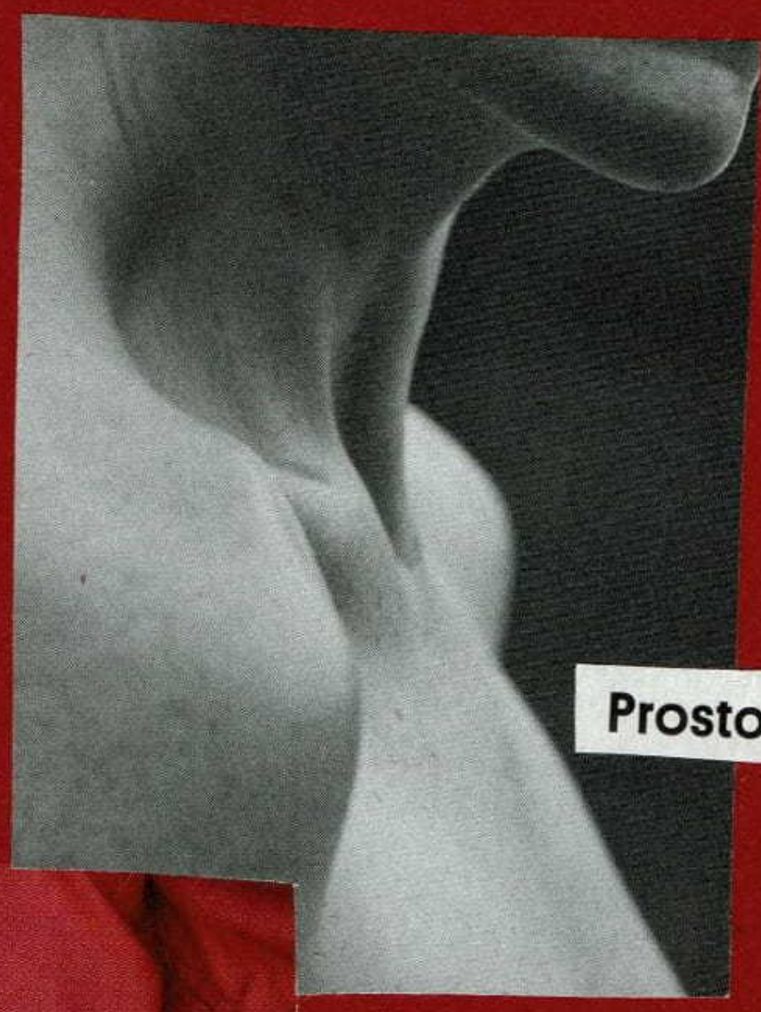
jest moimi drzwiami do kosmosu


Gdy
ma się tylko
słowa
LICZĄ SIĘ
SZCZEGÓŁY

# zauroczenie

HOFLAND

## Poezja *i praktyka*



**DOM**

Prosto z toskańskich wzgórz



# *żona,*

# poezja

O NIEJ, DLA NIEJ

Wino na zgodę



**życie z kotami**

PIĘĆ, A MOŻE SZEŚĆ



# SCENARIUSZ



Man Ray, Le Violon d'Ingres (1924)

# OBCY!

Na podstawie opowiadania „Roog” Philipa K. Dicka

PRZEMYSŁAW MAZURKIEWICZ

PLENER PODWÓRKO DOMU. PORANEK

Dwupiętrowy dom jednorodzinny z rozległym podwórzem. Przed ogrodzeniem, od zewnętrznej strony, stoi duży pojemnik na odpady, którym nagle zaczyna poruszać ktoś znajdujący się poza kardem (widać otwieraną klapę i cienie postaci). Po chwili po przeciwnej stornie ogrodzenia pojawia się rozgniewany BORYS (30) - młody mężczyzna ze zmierzwionymi włosami i parodniowym zarostem, ubrany w znoszony dres - i zaczyna walić w nie pięściami.

BORYS

Kha... Khurrwa, won mi stąd!
Twoje te śmieci? Zostaw te śmieci,
bo cię... bo ci wypruję flaki,
ty cuchnąca gnido. Wara od tego!
Kurwa, ukatrupię!

Borys zostawia ogrodzenie, następnie szybkim krokiem podchodzi do drzwi domu i zaczyna nerwowo walić w nie dłonią, cały czas patrząc przy tym w stronę pojemnika na odpady.

BORYS

I żebym cię tu więcej
nie widział, pokrako!

Drzwi domu otwierają się, w progu staje TOMASZ (30) - postawny, schludnie ostrzyżony mężczyzna, ubrany w eleganckie, ciemne spodnie i wyprasowaną, białą koszulę.

TOMASZ

Czego walisz, jak taras
masz otwarty?

BORYS

Tomek, kurwa, znowu jakiś obcy się dobierał do naszych rzeczy! Spierdolił, ale żebyś widział, jaki był zawzięty. Jeszcze moment i by nam wlazł na podwórko.

TOMASZ

Codziennie rano musisz odstawiać takie cyrki? W końcu ci jakiś sąsiad pociągnie z wiatrówki.

BORYS

Pewnie się skubaniec chowa gdzieś za rogiem. Jakbyśmy się za nim przeszli parę metrów, to może by się spłoszył i już więcej nie...

TOMASZ

Do środka!

Tomasz odsuwa się w progu na bok, aby dać przejść Borysowi. Zmieszany Borys rzuca ostatnie gniewne spojrzenie w stronę płotu, następnie obaj mężczyźni wchodzą do domu.

CIĘCIE DO:

WNĘTRZE. KUCHNIA. PORANEK

Niewielka, przyzwoicie urządzona, odrobinę zapuszczona kuchnia. Zlew pełen naczyń, na jadalnym stole stoi kubek z niedopitą herbatą, obok leży sterta magazynów fotograficznych. Przez oparcie krzesła przewieszona jest ciemna marynarka i krawat.

Stojący przy kuchennym blacie Tomasz nalewa sobie kawy z ekspresu, przeglądając przy tym wykresy giełdowe na telefonie. Borys zirytowany opiera się o parapet i patrzy przez okno.

BORYS

Mówię ci, że oni tylko czekają żeby... tylko czekają na okazję, żeby wleźć za płot. Ci mniejsi są, kurwa, nie do zniesienia. Cuchną... jakąś wódką i brudem,

bełkoczą jak pomyleni i potrafią się tu pałętać nawet po zmroku.

TOMASZ

Na litość boga... Mówili, że po zabiegu się uspokoisz, a ja widzę, że z tobą jest coraz gorzej.

BORYS

Chociaż najgorsi... Najgorsi są ci ogromni! Warczą i wyją tak, że ogłuchnąć można. Jakim cudem wy tego nie słyszycie? I wszystko sobie biorą ot tak, bez żadnego opamiętania. Jebani po prostu przychodzą i biorą! Co niby zrobisz, jak oni wejdą do domu?

Do kuchni ziewając i przeciągając się wchodzi AGATA (30) - młoda kobieta z niedbale upiętymi włosami, ubrana w dresowe spodnie i spraną koszulkę z nadrukiem z filmu „Powiększenie”.

AGATA

Od rana awantury, co?

TOMASZ

Borys znowu ma jeden z tych swoich ataków.

Tomasz odkłada telefon i dosypuje sobie cukru do kawy. Agata podchodzi do Borysa i gładzi go po ramieniu.

AGATA

Co tam? Głodny jesteś?

BORYS

Ja-akiś... Znowu jakiś natręt nam się dobierał do rzeczy. Z tych mniejszych, chyba jakiś nowy. Nie wiem... Oni wszyscy cuchną podobnie. Wyraźnie się przymierzał, żeby wleźć za ogrodzenie, a Tomek, jak zwykle, ma w to wyjebane.

TOMASZ

Jak tam projekt?

AGATA

A daj spokój! Pół nocy nie spałam. Patałachy wysyłają niedoświetlone zdjęcia i każą coś z tego rzeźbić. Łatwiej by było całość zrobić od zera.

BORYS

Aga, kurwa, to nie są żarty! On się może ciągle... Łażą ciągle... Ciąągle pałętać gdzieś koło domu. A jak jest ich więcej? Albo jak mają tego wielkiego? Trzeba pójść się rozejrzeć dla pewności.

AGATA

No już, już. Po śniadaniu się przejdziemy, co?

BORYS

Nie-e ma czasu
na jebane śniadania!

AGATA

(do Tomasza)

Są jeszcze jajka?

Agata podchodzi do lodówki, otwiera drzwi i przegląda zawartość. Tomasz bierze łyk kawy, następnie zaczyna wiązać, wcześniej wiszący na oparciu krzesła, krawat.

Borys kilkukrotnie nerwowo spogląda to na nich, to na podwórko za oknem. Skubie palcami rękaw bluzy, zgrzyta zębami i lekko stuka się knykciami w głowę, dukając przy tym szeptem nieskładne sylaby. Na rogu ulicy koło domu widać nagły ruch gałęzi jednego z krzewów.

BORYS

Wy... Ja... Bo wy... Czy wy naprawdę, naprawdę tego nie widzicie? Naprawdę nie macie z tym żadnego problemu? Jak to... przeż... są jacyś obcy. Cała masa, kurwa, obcych! Cała cuchnąca masa, która codziennie przychodzi i która ciągle się czai! I nie przeszka-hadza wam, że oni zabierają nasze rzeczy? Nasze! Na razie starczają im te zza płotu, ale co jak w końcu wejdą do środka? Co jak do ciężkiej kurwy ci obcy wejdą do środka i coś wam zrobią!?

Agata zerka na Borysa z lekkim niepokojem.

TOMASZ

Dzisiaj to już naprawdę przeginasz.

BORYS

Bo mam już, kurwa, dość! Bo przecież ja się o was boję! I przecież sam sobie bez was nie poradzę! A tymczasem was bezpieczeństwo tego domu w ogóle nie obchodzi. Ty! Ty codziennie rano gdzieś wyłazisz i cię nie ma całe wieki. A ty! Ty się zamykasz w tamtym pokoiku na długie godziny i ja nawet nie wiem, czy jeszcze żyjesz. I nawet jak mnie gdzieś zabierasz, to i tak się ciągle gapisz w ten ekranik. Więc jak mam nie mieć dość, skoro muszę ciągle łazić po tym domu, no i po podwórku, bo z jakiegoś, kurwa, powodu, nigdy nie zamykacie tarasu, i wciąż uważać na tych pierdolonych natrętów. A jak próbuję was ostrzegać, to mnie zbywacie jak kretyna. Zero reakcji, zamiast tego szepczecie tylko między sobą te wszystkie dziwne nazwy,

nie racząc wyjaśnić, o co chodzi.
Friedman, Sherman, Thaler,
Leibovitz, Tirole, Gursky,
Samuelson, Frank. Co ten jebany
bełkot w ogóle znaczy!?
Albo te wszystkie wasze
zagrożenia, których nawet
nie próbujecie mi tłumaczyć.
Że jakaś polityka prorodzinna
nam nie sprzyja, albo że inflacja
nas zabije. Ja pierdolę,
jak możecie z takim spokojem mówić
o tym, że ktoś chce nas zabić!?
Czy możemy sobie w końcu dokładnie
wyjaśnić, co się tu dzieje?
Bo ja nic, nic, kurwa, z tego
nie rozumiem. I mam wrażenie,
że wy też niczego nie rozumiecie.
Jak bym codziennie nie próbował,
nic nie dociera! Nic, nic, nic,
nic nie rozumiecie! Cały ten
czas... jak tu z wami jestem...
wy nie rozumiecie... ani
jednego... mojego... jebanego...
słowa!

Roztrzęsiony Borys stoi na środku pomieszczenia dysząc ciężko. Tomasz z rezygnacją opiera się o kuchenny blat i upija łyk kawy. Agata gładzi Borysa po ramieniu.

AGATA

No już, już, spokojnie.
Jak dzisiaj skończę pracę,
to razem sobie pójdziemy pobiegać.
Zobaczysz, będzie super!

Borys przerażony spogląda na nich zeszklonymi oczami.

CIĘCIE DO:

PLENER. PODWÓRKO DOMU. PORANEK

Borys stoi na podwórzu przez domem i w skupieniu przygląda się wiewiórce skaczącej po gałęzi jednego z drzew.

Nagle w tle zaczyna narastać nieprzyjemny, mechaniczny dźwięk, przypominający syrenę alarmową. Borys zrywa się z miejsca, błyskawicznie dobiega do płotu i z dziką furią zaczyna walić w niego pięściami, niemal przy tym płacząc.

BORYS

Precz! Zostaw to! Zostawcie
te rzeczy! Kurwa, pozabijam!
Zostaw, słyszysz!? Aga! Tomek!
Te skurwiele zaraz... Kurwa...
zostaw... błagam...

Pojemnik na odpady znika za kadrem w oparach gęstego smogu, ciągnięty przez niewidoczną postać. Dźwięki syreny alarmowej stopniowo przechodzą w pikanie śmieciarki.

Ponowne ujęcie na podwórze domu. Pod płotem, zamiast krzyczącego mężczyzny, widać teraz ujadającego psa.

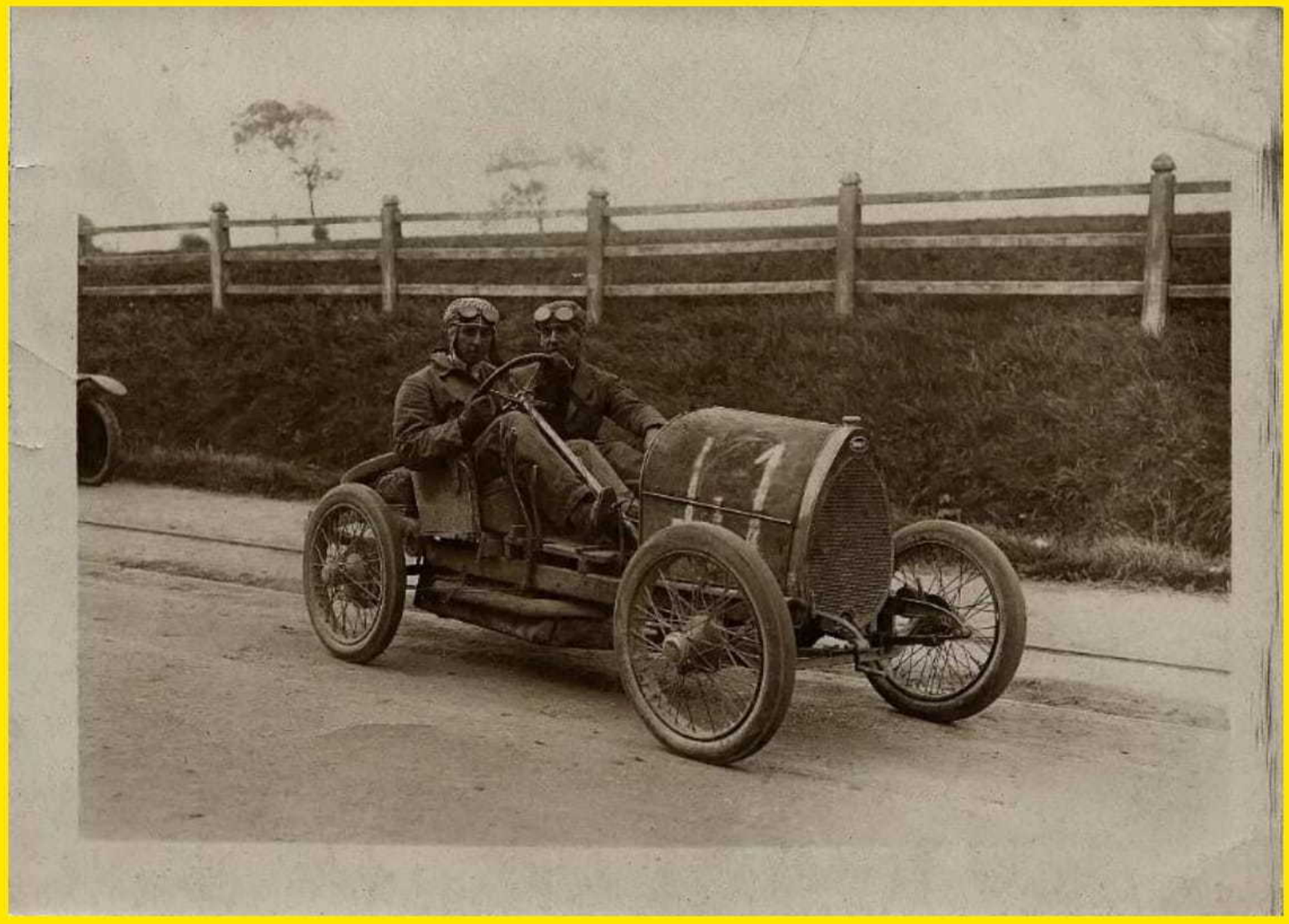
[KONIEC]



*The Tall Ones.*
*Źródło: Reddit*



# ESEJ



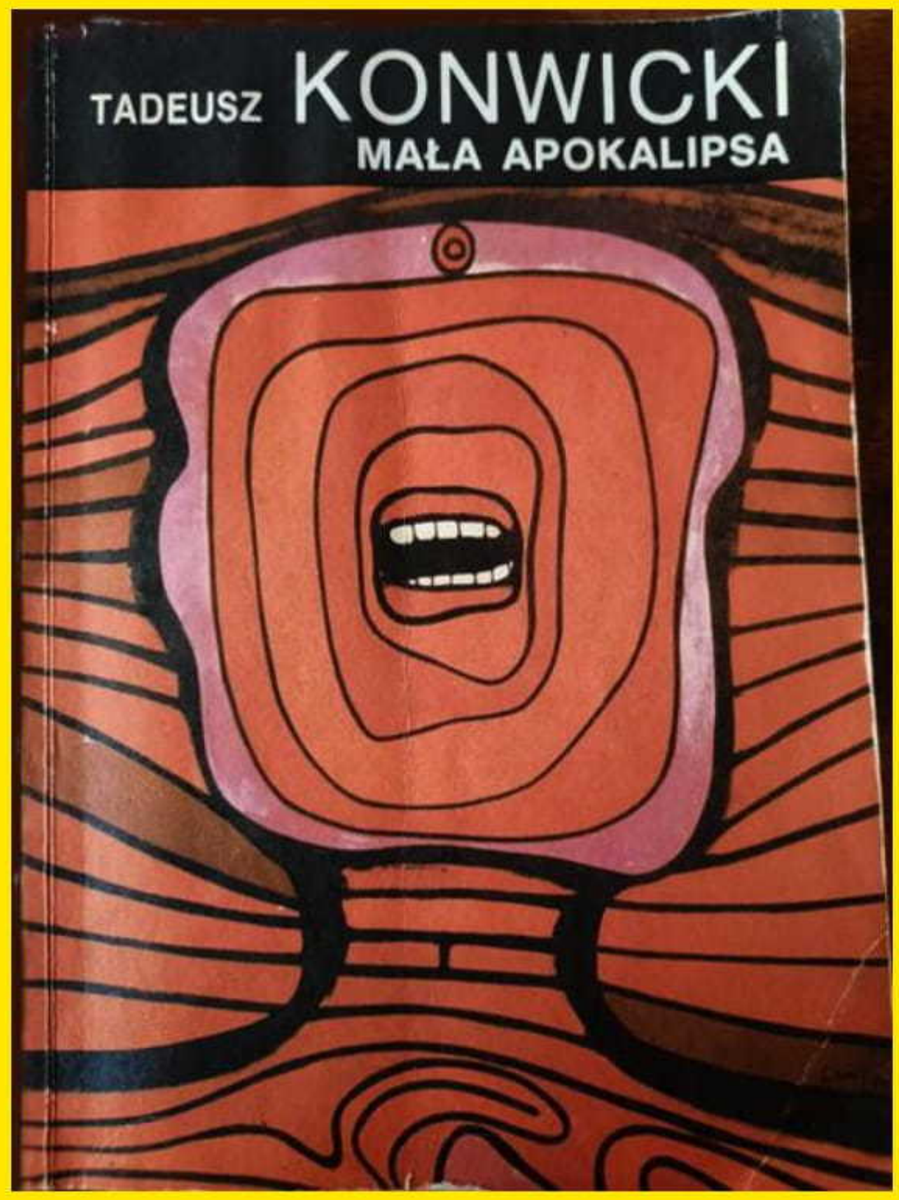
Bugatti T13 “Brescia” (ok. 1920)

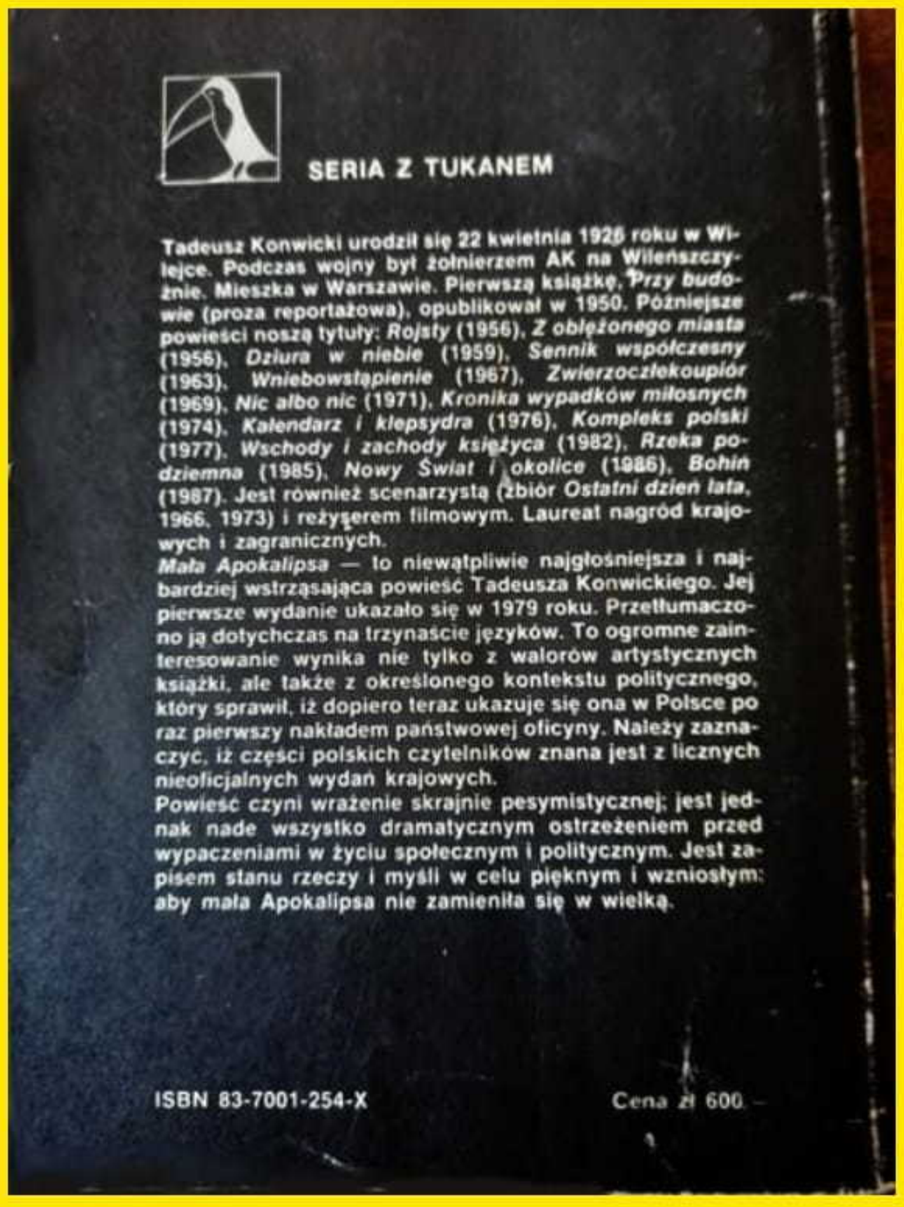
Jan Szopa

## Apokalipsa mojego ojca

Ostatnio w ręce wpadła mi *Mała Apokalipsa* Konwickiego. Znalazłem ją w księgozbiorze mojego ojca, przeszukując ponownie jego bibliotekę. Wykształciłem w sobie tradycję przeglądania tych książek obserwując jak, podczas własnych literackich studiów, obecne tam nazwiska nabierają dla mnie znaczenia. W ten sposób, usłyszawszy o Konwickim na zajęciach ze stylistyki, ucieszyłem się odkrywając go na półce ojca kilka tygodni później.

Wydanie *Apokalipsy*, w którego posiadanie wszedł mój ojciec, to zeszyt, w mojej opinii, najwyższej próby. Piękna okładka, prezentująca luźno pole semantyczne powieści, ze wspaniałym malunkiem, tak samo pomysłowym i kunsztownym, jak sprawiającym wrażenie czegoś niewymuszonego, przychodzącego artyście – Janowi Lenicy – do głowy naturalnie.

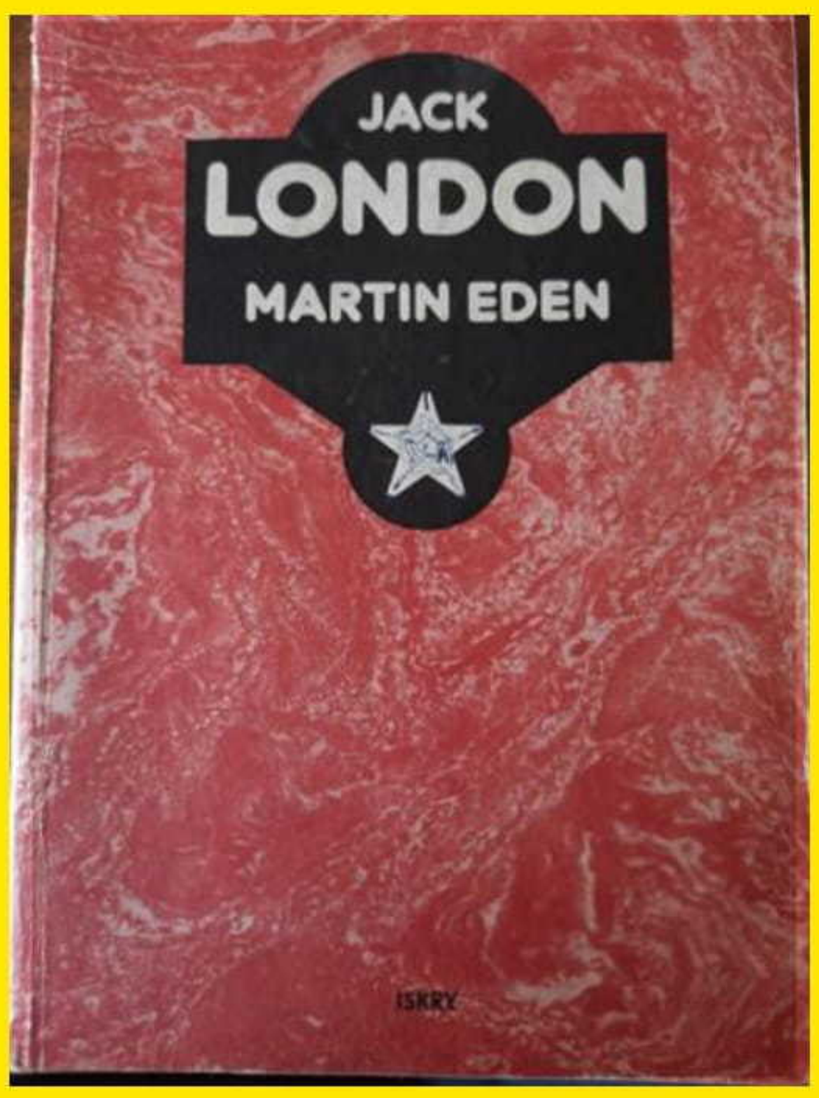


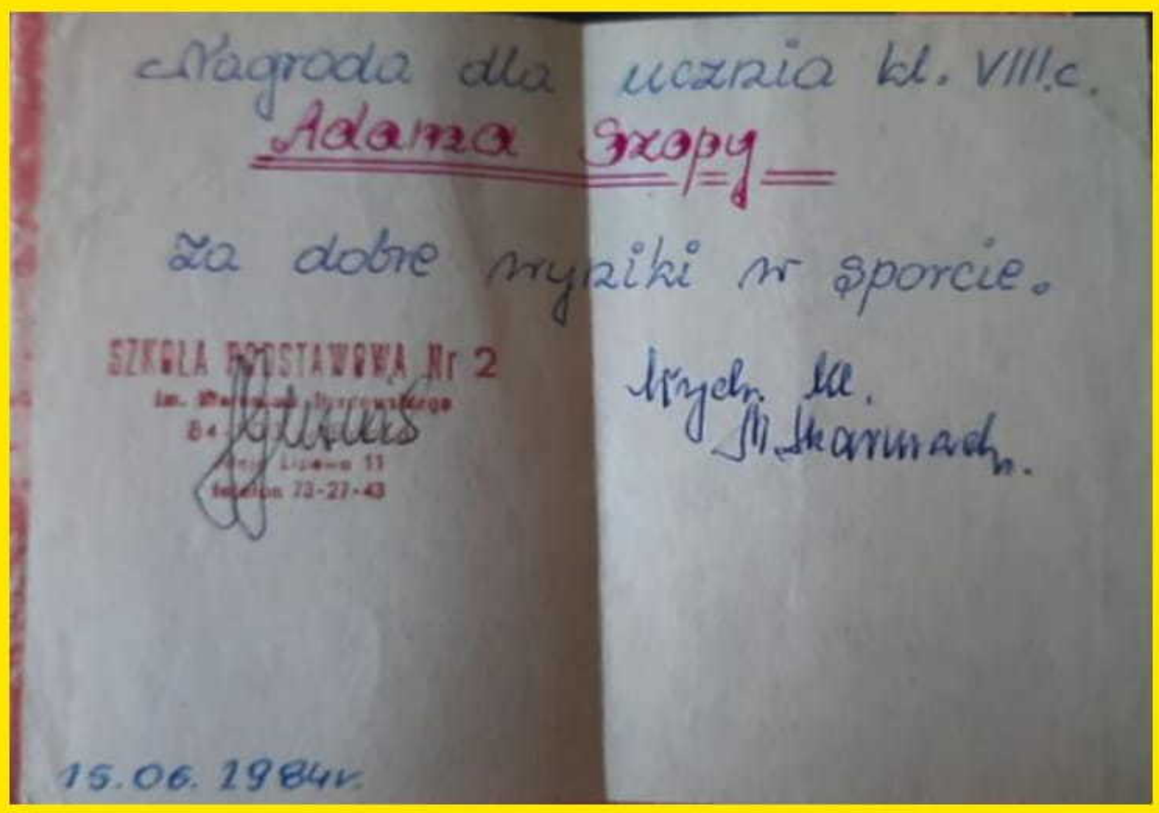




Piękny jest zwłaszcza ten ogromny obszar zadrukowania ilustracji, wychodzący nawet za miejsce złożenia książki, i ten skromny tytuł z podpisem. Seria z tukanem to wydawana w latach osiemdziesiątych kolekcja około dwudziestu książek, głównie autorów kojarzonych z alternatywą

czy postmodernizmem. Konwicki ma szczęście być najczęściej obecnym w niej pisarzem, Tukan widział wszystkie jego najważniejsze książki.

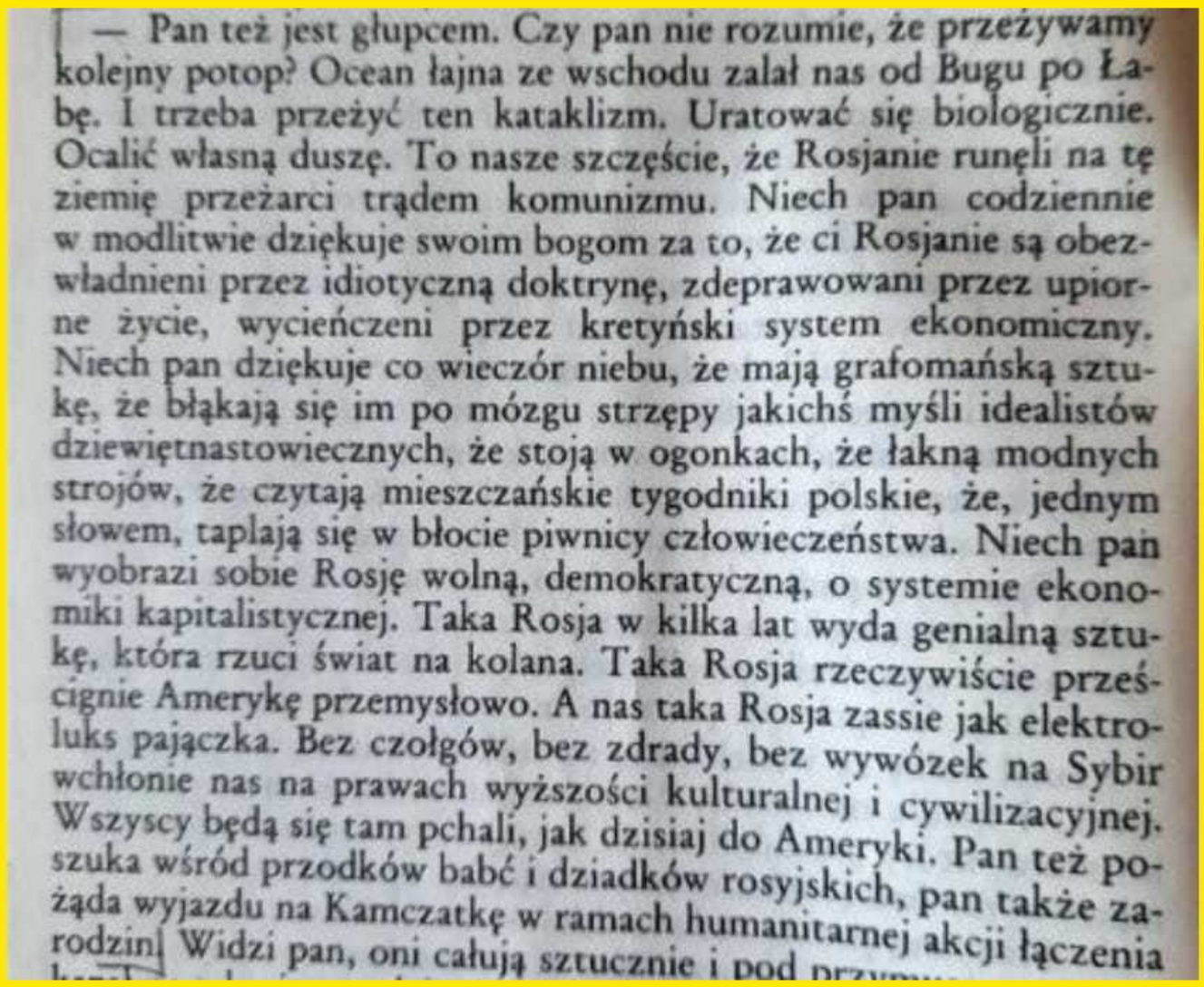
Uwielbiam formę książek z tamtej epoki, ich szaloną szerokość i wielkość czcionki. Nawet najgrubsze arcydzieła są chudziutkie, stronę przewraca się co kilka minut – to imponująca oszczędność ruchu i papieru. Wydania są też cudownie miękkie, można je pozycjonować, uginać i odwracać w dowolny sposób – to wytchnienie od twardego ekranu czytnika, z którego czasem korzystam, daje wrażenie trzymania historii w garści, manipulowania nią. Z takim przedmiotem ciężko się rozstać, pamiętam że po przeczytaniu mojej ulubionej pamiątki tamtego czasu – *Martina Edena* Londona – czułem autentyczny ból rozstania z tą formą, powrotu do twardych książek współczesności, z ogromną czcionką i trzeszczącym pod palcami papierem.




*Martin Eden*, którego otrzymał mój ojciec za wybitne osiągnięcia sportowe w 1984 roku

W *Małej Apokalipsie* mój ojciec zdobył się na oznaczenie trzech fragmentów, bardzo blisko osadzonych, w okolicach czterdziestej strony. Ciekaw jestem, dlaczego wybrał akurat te, ale nawet bardziej zastanawia mnie, czemu wybrał tylko tyle akapitów. Każe to zadać pytania: czy ojcu podobały się z całej książki najbardziej? Czy zaczął zakreślać w okolicach strony trzydziestej piątej, a finalnie, pięć stron później, znudziło go to zajęcie? Czy nie doczytał książki Konwickiego, a może wciągnęła go na tyle że porzucił separowanie jej na poszczególne, małe fragmenty – przyjął całościowo?



— Pan też jest głupcem. Czy pan nie rozumie, że przeżywamy kolejny potop? Ocean łajna ze wschodu zalał nas od Bugu po Łabę. I trzeba przeżyć ten kataklizm. Uratować się biologicznie. Ocalić własną duszę. To nasze szczęście, że Rosjanie runęli na tę ziemię przeżarci trądem komunizmu. Niech pan codziennie w modlitwie dziękuje swoim bogom za to, że ci Rosjanie są obezwładnieni przez idiotyczną doktrynę, zdeprawowani przez upiorne życie, wycieńczeni przez kretyński system ekonomiczny. Niech pan dziękuje co wieczór niebu, że mają grafomańską sztukę, że błąkają się im po mózgu strzępy jakichś myśli idealistów dziewiętnastowiecznych, że stoją w ogonkach, że łakną modnych strojów, że czytają mieszczańskie tygodniki polskie, że, jednym słowem, taplają się w błocie piwnicy człowieczeństwa. Niech pan wyobrazi sobie Rosję wolną, demokratyczną, o systemie ekonomiki kapitalistycznej. Taka Rosja w kilka lat wyda genialną sztukę, która rzuci świat na kolana. Taka Rosja rzeczywiście prześcignie Amerykę przemysłowo. A nas taka Rosja zassie jak elektroluks pajączka. Bez czołgów, bez zdrady, bez wywózek na Sybir wchłonie nas na prawach wyższości kulturalnej i cywilizacyjnej. Wszyscy będą się tam pchali, jak dzisiaj do Ameryki. Pan też poszuka wśród przodków babć i dziadków rosyjskich, pan także zażąda wyjazdu na Kamczatkę w ramach humanitarnej akcji łączenia rodzin. Widzi pan, oni całują sztucznie i pod przy-

tem:

— Umiera ziemia guślarzy i wróżbitów, umiera ziemia proroków i mesjaszy, co już nie zdążyli zbawić świata.

36

czną, po prostu reakcyjną. W dzisiejszym wieloznacznym świecie charakter to despotyzm, tyrania i totalna nietolerancja. Wreszcie przyszedł czas, żeby wielbić brak charakteru i słabość wewnętrzną człowieka. Nasza epoka to szlachetne wątpliwości, to błogosławiona niepewność, to święta nadwrażliwość, to boski brak decyzji.

Przecież doskonale wiem, dawno zrozumiałem. Charakter to brak wątpliwości, charakter to uporczywość trwania przy swoim zamiarze choćby nie wiem jak bezsensownym, charakter to brak wyobraźni, charakter to wrodzona tępota, charakter to nieszczęście ludzkości.

Cztery cytaty, pozostawione mi w spadku
w *Małej Apokalipsie* Konwickiego

Te cztery komentarze, wyrażające światopogląd pisarza, można podzielić na dwie grupy.

Pierwsza to wyraz, aktualnej w 1979 roku, konfrontacji kulturowej między Polską a Rosją. Zwłaszcza pierwszy cytat komentuje tę patologiczną zależność. Autor wypowiedzi celebruje nieporadność kulturową komunizmu i, już wtedy widoczną, klęskę socrealizmu. Uważa on, że te porażki myśli i wolności dały możliwość rozkwitu kultury alternatywnej. Według niego, Rosja wolna (i kapitalistyczna) byłaby skuteczniejsza w walce z kulturą państw podległych, jej wigor i narkotyzm wyparłby wątłą narodowość Polaków – sztuka ZSRR jest jedyną tak słabą, że tendencyjna sztuka opozycyjna może wypadać przy niej dobrze. Tadeusz Konwicki wielokrotnie krytykuję polską opozycję artystyczną w *Małej Apokalipsie*, uważa ją za niepotrzebnie wymyślną i skrycie przytuloną do Reżymu. Zwłaszcza w rozmowie bohatera z Władysławem Bułatem, reżyserem zawdzięczającym sławę swojemu celnemu wpasowaniu się w granice tego, na co partia pozwala, widać ten negatywny, prześmiewczy osąd. Filmy Bułata ogląda każdy, i opozycjonista, i PZPR-owiec; każdy w tych laurkach dopatruje się udowodnienia postawionych przed seansem tez. Prozy Rysia, opozycyjnego pisarza książek bez znaków przystankowych, nie czyta nikt, staje się on popychadłem większych aktorów sporu, o którym myśli, że bierze w nim znaczący udział. Tacy jak on nie potrafią wybić się na indywidualność, płynąć pod prąd. W książce Konwicki wspomina Rysia uprawiającego seks z jego kieszenią, biedak pomylił ją z pochwą leżącej obok dziewczyny – jest to naturalistyczna metafora iluzji, w której żyje.

Z drugiego cytatu płynie następna diagnoza Konwickiego. Umiera ziemia Guślarzy, Proroków, Wróżbitów i Mesjaszy – co może to oznaczać?

Jest pewna czcza duma, z którą samopostrzega się Polska. Jest to to mickiewiczowskie poczucie mesjaństwa i wyjątkowości. U Konwickiego PRL służy jako kolejna przestrzeń, w której realizują się podobne fantazje, opisywane przez Miłosza w *Ocaleniu* rozmowy z duchami, gusła i bajania o udziale w jakimś międzypokoleniowym maratonie ku ziemi obiecanej. Nie jest to już podróż jednopokoleniowa, jak czterdzieści lat chodu Mojżesza, a kilkusetletnia, dzieląca Polskę Realną od Polski Prawdziwej. Autor *Apokalipsy* wydaje się oczarowany nieprzystawalnością tej wizji do rzeczywistości Polski Ludowej. W powieści kraj to nie arena ścierania się sił dobra i zła, a teatr postaci o wielu maskach – sztucznych i prawdziwych opozycjonistów, okrutnych i współczujących katów. Widać to w scenie, w której SB-ek, bijąc głównego bohatera, wyznaje mu, że sam jest opozycjonistą – dzieli ich jedynie sposób walki. Warte zanotowania jest, że proroctwo o śmierci guślarzy wypowiada Tadek – powieściowa figura członka nadchodzącego pokolenia. Jeszcze zanim Konwicki poznaje Tadka, jest to jedna z pierwszych interakcji między nimi, ten wyrzeka się uczestnictwa w teatrze śmierci. Tadek musiał być w wieku Świetlickiego czy Podsiadły – poetów

pokolenia BruLionu. Później Tadek okazuje się starszym agentem, co może mieć jakieś znaczenie – z teorią o ojczyźnie ufać nie można nikomu.

Chronologia poszerza w ciekawy sposób odbiór tych dwóch fragmentów. Konwicki musiał pisać je przed rokiem 1979, przed Solidarnością i stanem wojennym, w latach, w których supremacja rosyjska to groźba o zupełnie innym natężeniu. W tekście mówi się nawet o planach wcielenia terytorium Polski w granice Rosji sowieckiej.

Mój ojciec czytał tekst dekadę później. Ta dekada była jedną z najważniejszych w historii – reżym stał już po niej na chwiejnych nogach, sypał się. Było już po rozpoczęciu pierestrojki, po debatach 1988 roku, w perspektywie był Okrągły Stół. Ojciec miał dwadzieścia lat, musiał czuć pewnego rodzaju entuzjazm, ale też strach. Groźba wchłonięcia zamieniła się w groźbę porwania falą rozpadu, komunizm odchodził – co przyjdzie po nim? Właściwie to w 1979 roku chodziło się po twardszym gruncie, wiadomo było, co i jak, co można mówić, czego nie można mówić i kiedy biją; bohaterowie *Apokalipsy* bardzo wprawnie poruszają się w tych realiach. W 1988 wiadomo było zgoła mniej, z wolnością szła niepewność.

Jaka jest lektura *Apokalipsy* w 2022 roku? Czuję grozę, gdy widzę spełnione proroctwo Konwickiego. Mamy w końcu Rosję kapitalistyczną, należącą do świata, gotową nas wchłonąć. Kiedy to piszę, spadkobiercy komunizmu dokonują ludobójstwa na Ukrainie. Radzieckiemu uporowi i monolitalności wystarczyło kilka dekad, by zlać się z carską dumą i kapitalistycznym oportunizmem. Na wschodzie mamy giganta prawdziwego faszyzmu, ustroju idealnie złego, niehamowanego już przez żadną, nawet fałszywą, ideę. Chętna bierność połączyła się, na Wschodzie, z trywialnym czynem.

Ciekawa jest kwestia charakteru i nietypowe poglądy, z którymi patrzy się na charakter w dwóch ostatnich fragmentach. Charakter jako źródło nieszczęścia ludzkości budzi w nas pewien opór, myślimy o nim raczej jak o cnocie – silny charakter to cecha człowieka, którego niełatwo złamać, jego duszy nie erodują trudne okoliczności, historyczne i prywatne. Konwicki widzi w charakterze więcej – w końcu wielcy zbrodniarze komunizmu to też silne charaktery. To przekonanie o własnej racji, buta i odwaga sądu mają być powodami ludzkiego cierpienia.

Około sto lat przed Konwickim pisał o charakterze Fryderyk Nietzsche, jego książki są wypełnione uwielbieniem dla pewnego typu psyche. Człowiek nieugięty, realizujący swoje cele – chodzący za własną wolą mocy – to człowiek pełny. Poglądy Nietzschego mocno starły się w tym okresie (*Poza dobrem i złem* wychodzi w 1886 roku) z europejskim chrześcijaństwem. Niemiecki filozof miał obiekcje dotyczące fałszywości XIX-wiecznego chrześcijaństwa, jego nadęta wyższość moralna – nazywał wierzących samozwańczym klubem dobrych ludzi – budziła w Nietzschem obrzydzenie. Podobnie jak Oscar Wilde, wolał pierwotne chrześcijaństwo;

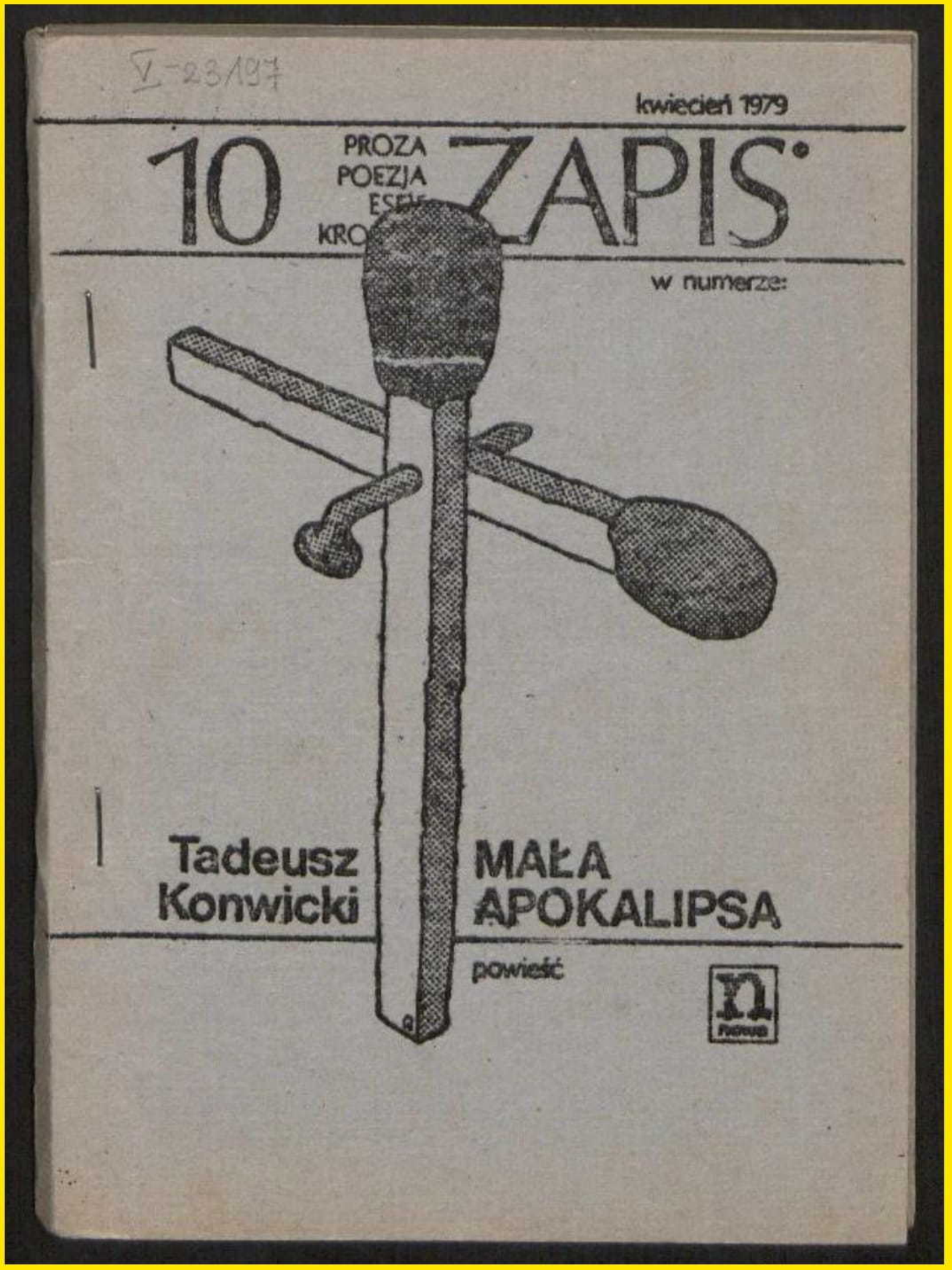
żyjący w średniowieczu katolicy gwałcili uniżeniem, w ten sposób pokazywali siłę swojego charakteru. Obydwaj myśliciele znajdują w uwielbieniu cierpienia prawdziwą autentyczność tej religii. Fryderyk Nietzsche nigdy nie zgodziłby się z średniowiecznym chrześcijaństwem, cierpienie nie było dla niego celem, a środkiem ku osiągnięciu wyższego stanu, szanował jednak oddanie cierpieniu. Z tych dwóch instancji możemy ukłuć fałszywą dychotomię silnego charakteru:

| Silny charakter uwielbiający *cierpienie* | Silny charakter dążący do *władzy* |
|---|---|

Co dodaje Konwicki do tej dyskusji na temat charakteru? Otóż uzupełnia ją o pogląd esencjalnie postmodernistyczny, jako pierwszy z przedstawionych nie pyta o siłę charakteru, nie jest nią ślepo zafascynowany, a o płaszczyznę, w jakiej charakter się realizuje, i o niebezpieczeństwa tego procesu. Komentuje trochę myśl Lyotarda, o wielkich narracjach, zauważając że w Polsce lat siedemdziesiątych jest tych narracji dalej sporo. Jeśli ktoś romansuje z wielką narracją, jak powieściowy Rysio, Żorżyk czy Bułat, to obraca się w krainie fałszu, a jego upór nie powinien nas fascynować, a przerażać. Trzeba uwielbiać słabość – słabość jest rozważna, nie zabija i pozostawia miejsce na zastanowienie. Brak charakteru to też droga ku wolności, nie można zaprzeczyć, że bohater *Apokalipsy* jest bardziej wolny niż Hubert i Rysiu. Dopóki opozycja nie włącza go do swojego wielkiego planu, jego myślenie pozbawione jest celu – ma to plusy i minusy. Kiedy Konwicki czuje oddech śmierci na karku, zaczyna z powrotem pisać, kochać i rozmawiać z drogimi sobie ludźmi. Jest to jednak możliwe dlatego, że Tadeusz widzi możliwość rezygnacji, gdyby ją stracił, wpuściłby do swojej głowy wielkie narracje, stałby się takim samym niewolnikiem jak Bułat, wielki reżyser, który po prostu nie może przestać tworzyć umiarkowanie antyrządowych filmów.

Mój ojciec przez całe moje życie uważał się za człowieka słabego, mówił mi o tym wielokrotnie, a ja kilkukrotnie chciałem się z tym nie zgodzić. Teraz, gdy czytam *Małą Apokalipsę*, nie dziwi mnie wybranie przez niego tego fragmentu; ma on smak czegoś, co mogło być dla ojca naprawdę ważne. Nie dowiem się, jak szerokie było znaczenie tych słów w głowie mojego taty, mającego wtedy blisko dwadzieścia lat; w sumie nie chciałbym tego wiedzieć, sztuczne odtworzenie jego myśli jest dużo ciekawsze – to podróż wyobraźni. Wierzę jednak, że cząstka tego, co czuję na temat tej pozytywnej słabości, została z nim po lekturze. Zawsze imponowało mi, jak niezachwiany bywa ojciec, na wyrok z powieści – wezwanie do samospalenia – mógłby zareagować z podobnym do bohatera ostrożnym wycofaniem.

Odpowiadając na pytania z początku tekstu, wydaje mi się że mogły to być najważniejsze w *Małej Apokalipsie* zdania – teraz już nie tylko najważniejsze dla mojego ojca, ale też dla mnie. Wskazywał mi je przez dwadzieścia lat, a ja teraz spróbowałem ubrać je w znaczenie, zrozumieć książkę przez jej malutki fragment, zrozumieć jego przez fragment jeszcze mniejszy, minimalny – a jednak – i ten zapełnił kilka stron przemyśleniami.




Tadeusz Konwicki, *Mała Apokalipsa*. Okładka pierwszego wydania – „Zapis" nr 10, kwiecień 1979. (Ilustracja od redakcyi)

# REPORTAŻ





Nadar, [*Nadar avec sa femme, Ernestine, dans un ballon*] (ok. 1865)

Paulina Mocka

# Samodzielne podróżowanie oczyma kobiety

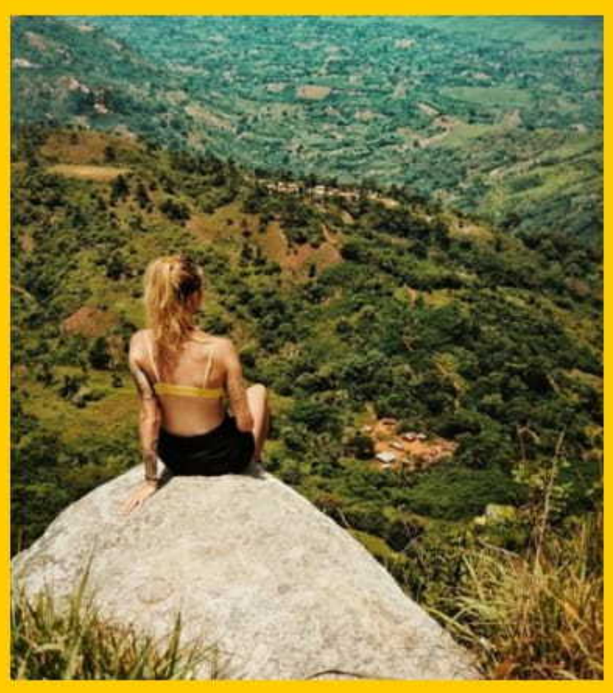
**„Gdybyś teraz zapytała mnie, czy pojadę sama autostopem do Szczecina, to już wtedy bym się zestresowała, a co dopiero mówić o fakcie, że za trzy tygodnie lecę do Afryki!" – opowieść o kobiecie, która samodzielnie przemierzyła dziesiątki tysięcy kilometrów po świecie. Na co dzień mierzy się z własnymi lękami, którymi nas, kobiety, się zaraża.**

**Czy naprawdę należy bać się świata?**

Jadę. Po raz pierwszy od kilku lat jadę sama. Stres związany z koniecznością przesiadki spowodował, że wybrałam kurs bezpośredni. Musiałam przez to wyjechać dużo wcześniej. To nic, komfort jest najważniejszy. Z powrotem będzie trudniej, trzeba będzie szybko przesiąść się z pociągu do pociągu. Czuję już to napięcie i wyzwanie, a przecież nawet nie dojechałam jeszcze do celu. Ciarki przechodzą po skórze, tworząc konstelacje lęków. Mimo to strach zaczyna się zmniejszać i zamiast paraliżować, zamienia się w ekscytację. W końcu po to wybieram się na tę rozmowę. Chcę zrozumieć, co czuje doświadczona podróżniczka, kiedy wyjeżdża sama. Czy boi się tak jak ja? Czy coś nas łączy poza tym, że obie jesteśmy kobietami?

## Przekraczanie siebie

Dodo odkłada nadzwyczajnie dużą filiżankę kawy na stolik i snuje opowieść o barierach, które zdołała już przekroczyć oraz tych jeszcze nieosiągalnych. – Każda podróż sprawia, że możliwości jest coraz więcej, horyzont się poszerza, a świat zdaje się rosnąć – mówi.



**Autorka: Dominika Knitter**

Jej pierwsza wyprawa solo za granicę była krótkim wypadem do Norwegii. Okazała się testem. Lotnisko, bramki, autostop i brak kompana u boku. Przetrwała i nawet miło to wspomina. Ostatni wyjazd w pojedynkę był już wędrówką po Afryce. Amerykę Południową lub kraje jak Afganistan czy Pakistan wolałaby odwiedzić z kimś u boku. Pomimo tego, że są osoby, które nawet w tak odległe krainy wybierają się same. Nie czuje się jeszcze gotowa. Jeszcze rok temu panicznie bała się lotu do Tanzanii. Kiedy już tam była,

nie zamierzała przekraczać sąsiadujących granic. Teraz Tanzanię odwiedzi tylko na chwilę, a wyzwanie stanowią Kenia, Rwanda, Uganda, Zambia, może nawet Mozambik, ale nie dalej. Dalej jest Sudan. Kto wie, może za rok wyląduje w Sudanie. Wszystko małymi kroczkami.

Częściej stara się przekraczać swoje możliwości niż rezygnować lub odmawiać sobie czegoś. Łatwiej wyrzec się rzeczy, które nie do końca nas pociągają. Dodo często rezygnuje z uprawiania sportu. Stawia sobie granice – kiedy nurkuje, to tylko z przyczepioną boją. Trudniej było odmówić możliwości jeżdżenia po Tanzanii motocyklem crossowym. Takim samym, którym teraz będzie podróżować, kiedy dotrze już do Afryki. Wtedy czuła, że to zbyt niebezpieczne. Wiedziała, jak się nim jeździ, i że może być to świetna przygoda. Nie miała jednak odpowiedniego prawa jazdy. Nie była gotowa.

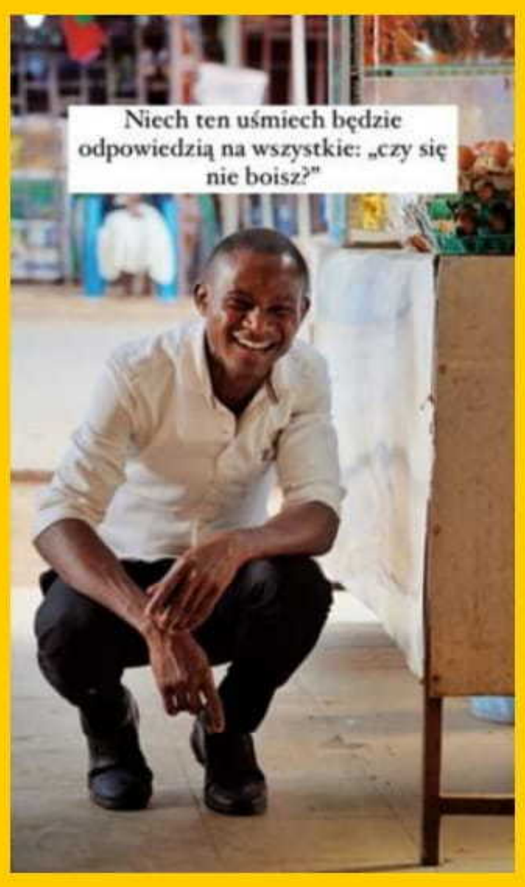
**Stres, który da się ujarzmić**

Doświadczeni podróżnicy też się boją. Niektórzy w stresowych sytuacjach się śmieją. Dodo też się uśmiecha. – Gdybyś teraz zapytała mnie, czy pojadę sama autostopem do Szczecina, to już wtedy bym się zestresowała, a co dopiero mówić o fakcie, że za trzy tygodnie lecę do Afryki! – jej entuzjazm przeplata się z licznymi obawami. Stres zawsze towarzyszy jej przed podróżami, ale w trakcie mija. Najbardziej stresogenne są sytuacje związane z przekraczaniem granic, kontrolami i dokumentacją. No i wypadki. One mogą wydarzyć się zawsze i wszędzie. Myśl o pobycie samej w szpitalu wydaje się nieznośna. Jednak po dotarciu na miejsce wszelkie troski odstawia na bok. Wychodzi z założenia, że lepiej zapobiegać niż leczyć – być tak ostrożną, by nie dopuścić do przykrych sytuacji. W telewizji dużo się o nich mówi, o niebezpieczeństwach. Zupełnie jakby ofiara sama się o coś prosiła, prowokowała wyglądem lub zachowaniem. Żyjemy w kulturze, w której to poszkodowanych się obwinia. Przed każdą podróżą Dodo sprawdza informacje o kraju, do którego się wybiera. Podchodzi do nich jednak z dystansem. Podczas jej pobytu w Tanzanii zmarł prezydent tego kraju. Przyczyną jego zgonu był zawał serca. Europejskie media przekazały inną historię, twierdząc, że zmarł na Covid, w którego nie wierzył. Kiedy z telewizji dowiadujemy się o jakimś wydarzeniu za granicą, najczęściej jest ono ukazane w negatywnym świetle i zabarwione stereotypami. Nie skupiamy się na pozytywach. Po medialnych doniesieniach z zagranicy Dodo dostaje wiele wiadomości od obserwatorów jej profilu, którzy podziwiają ją za samodzielne podróże. Twierdzą, że sami by tak nie potrafili. Kiedyś ona również nie potrafiła. Zaczęła podróżować blisko osiem lat temu i dopiero po takim czasie jest w stanie wyjechać sama do Afryki. Kiedyś wyjazd do Niemiec był dla niej wielką przygodą. Do wszystkiego dochodzi się powoli.

Brak znajomości języka angielskiego często wprawia ludzi w dyskomfort i nie pozwala wyruszyć poza granice kraju. Dodo twierdzi, że nie tyle ważne jest nauczenie się go, ile odwaga, by wykorzystać swoje umiejętności. W Afryce niewielu tubylców potrafiło porozmawiać z nią po angielsku. Więcej osób mówiło w suahili, w języku, którego nie znała. Mimo to potrafiła się porozumieć – na migi, uśmiechem, pokazując zdjęcia lub rysunki. Wystarczyła obustronna chęć, dzięki której, kiedy zbłądziła w lesie, szukając wodospadu, lokalni Afrykańczycy pomogli jej go odnaleźć na podstawie zwykłego zdjęcia. W dodatku nieukazującego tego konkretnego zbiornika wodnego.

**Różne strony medalu**

W czasie samodzielnej podróży nie spotkała ją jeszcze żadna zagrażająca życiu sytuacja. Najczęściej tylko jej się wydawało, że jest w niebezpieczeństwie. Zagrożenia pojawiały się wyłącznie jako scenariusze w głowie. Tak było pewnego razu, gdy obudziła się na Zanzibarze w środku nocy. Spała wtedy w namiocie. Słyszała krzyki, przerażające, dziecięce, jak z horrorów. Strach ją sparaliżował, a wyobraźnia nie dawała spokoju. Przyczyną wrzasków okazały się maleńkie antylopy, zamieszkujące Zanzibar. Wyglądają niewinnie i uroczo, lecz potrafią wydobyć z siebie niezapomniane dźwięki. Dużo zdarza się takich momentów, kiedy jest przerażona i myśli, że coś złego się stanie, lecz często zupełnie niepotrzebnie. Mimo wszystko zawsze zachowuje ostrożność.



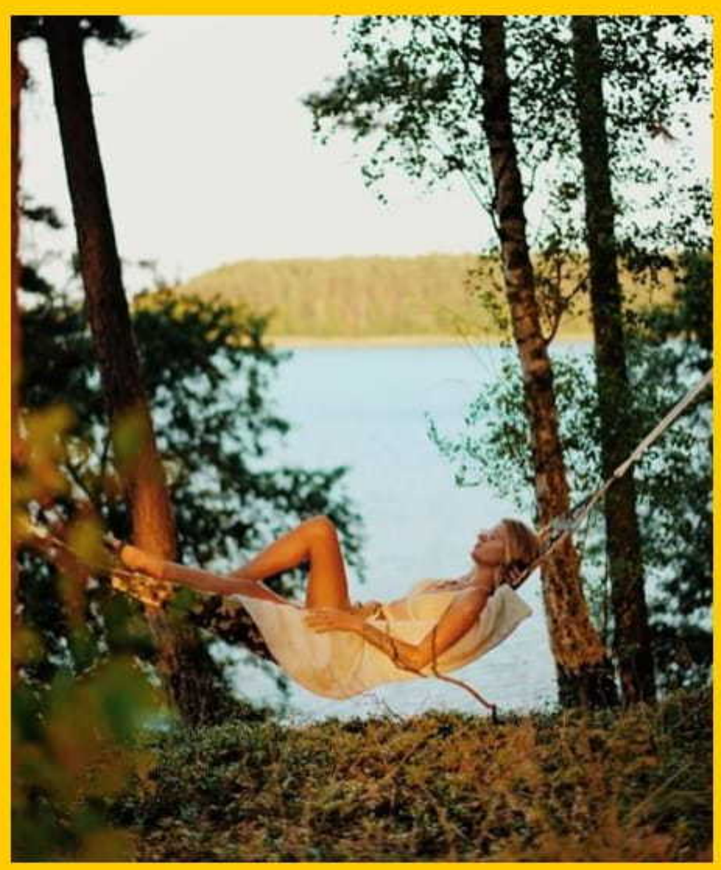

**Autorka: Dominika Knitter**

Mężczyźni bardzo często budzą lęk w kobietach, zarówno w podróży, jak i życiu codziennym. Dodo miewa obawy, ale nie może przyznać, że w ogóle czuje taki lęk. W podróży ma przede wszystkim kontakt właśnie z nimi, więc stara się nie oceniać czyichś zamiarów przez pryzmat płci. Próbuje być zawsze ostrożna i nie chce się bać, bo wtedy nie mogłaby już z nikim rozmawiać ani przebywać. Będąc w Afryce, otaczała się przede wszystkim mężczyznami. To oni zajmują się handlem, są taksówkarzami i pomagają turystom, gdyż to najczęściej właśnie oni znają angielski. Natomiast kobiety zajęte są obowiązkami domowymi, przez co rzadko mają czas na rozmowy. Niektóre są również bardzo wstydliwe. Zdarzają się jednak wyjątki.

Więcej nieprzyjemnych sytuacji spotkało ją jednak w Polsce. Gdy pewnego dnia wracała z pracy o godzinie 22:00, została na przystanku zaatakowana przez grupę mężczyzn. Otoczyli ją i ograniczyli możliwość swobodnego przejścia. Zaczęli ją dotykać, a ona krzyczała. W końcu udało jej się przebić przez tłum, choć dyskomfort pozostał.

Na przystanku byli też inni ludzi, ale nikt nie odważył się zareagować. Pobyt w domu nie daje gwarancji bezpieczeństwa. Nic nie jest w pełni bezpieczne. Dodo boi się napaści, ale tak samo obawia się jej w ojczystym kraju, jak i w Senegalu. Podczas podróży poza Polską miała w swoim życiu już dwie propozycje erotyczne. Kiedy zapytałam o Polskę, nie była w stanie policzyć.

Do wypadku czy kryzysowej sytuacji może dojść wszędzie. W każdym miejscu na świecie zagrożenia te różnią się od siebie. Następuje pauza, Dodo skubie palcami ozdobny kwiatek stojący na stoliku. W końcu sypią się z niego igiełki. – W Afryce najbardziej przejmuję się wypadkiem na drodze. Jeśli ktoś go spowoduje, a osoba poszkodowana jest ranna, to winny musi płacić za jego leczenie dożywotnio. Z kolei, jeśli zamorduje, to nic nie płaci, dlatego dobijają rannych, by uniknąć płacenia odszkodowań. To przerażające. – delikatnie zbiera rozsypane igiełki. Wie jednak, że ona, jako biała kobieta, może czuć się bardziej bezpiecznie. Lokalne społeczności dbają o turystów. Gdy wiedzą, że chce gdzieś iść sama i może, to i tak nie chcą pozwolić jej wyjść bez przewodnika. Ponownie pojawia się kwestia mediów. Kiedy coś złego stanie się białej kobiecie, kraje afrykańskie doświadczą dużego spadku zainteresowania turystyką, z której się utrzymują. Jednak wie, że mimo wszystko zawsze może coś się wydarzyć. Kiedy udaje się do lasu, to myśli o wężach, lwach, lampartach i krokodylach, które tam żyją, a w mieście – o ludziach. Tam na ulicach zawsze są tłumy. W Tanzanii trudno być samemu. Ma pewność, że gdyby coś się stało, ludzie by zareagowali. Kiedy wraca do Europy, przeżywa szok. Ludzie są bardziej zamknięci i oziębli.



**Autorka: Dominika Knitter**

Myślała o tym, jadąc niedawno pociągiem do Warszawy. Mężczyzna siedzący z nią w jednym przedziale nie odezwał się w ogóle przez cztery godziny wspólnej podróży, mimo że liczyła na, bodaj krótką, pogawędkę. Nie wyobraża sobie, żeby taka sytuacja miała miejsce w Tanzanii. Kiedy do jednego autobusu wsiadają zupełnie obcy sobie ludzie, po godzinie rozmawiają i dzielą się jedzeniem. Zachwyca się tą społecznością, która żyje w symbiozie, choć wie, że nie jest idealna.

**Czasami lepiej samemu**

Podczas podróży w pojedynkę Dodo czuje największy luz. Odpowiada tylko za siebie, dlatego stres związany z lękiem o drugą osobę w ogóle nie istnieje. W książce *Samotne wyprawy* Beata Pawlikowska potwierdza ten fakt i opisuje, jak przygotować się do wyjazdu w pojedynkę oraz jakie dostrzega w tym zalety. Gdy podróżuje się z kimś, to częściowo odpowiada się za tę osobę, a decyzje jednej wpływają na życie pozostałych członków wyprawy. Co ważniejsze, Dodo twierdzi, że czuje się bezpieczniej będąc sama. Wtedy jest bardziej czujna. W trakcie studiów, znając na pamięć miasto, ludzi, rozkład tramwajów, żyła w pewnej rutynie i nie zwracała uwagi na wszystko. Natomiast w czasie samodzielnej wyprawy wraca wcześniej do domu, nie ryzykuje i nie pije alkoholu. Stara się być ostrożna, bo nie zna nikogo dookoła. – Do najdramatyczniejszych sytuacji, np. gwałtów, dochodzi, niestety, w naszym najbliższym środowisku – mówi. W podróży ludzie są nowi, więc dystans zachowuje dodatkowo zwiększony.



**Autorka: Dominika Knitter**

Zwykle, gdy decyduje się na wyjazd z osobą towarzyszącą, wydarza się coś niespodziewanie nieprzyjemnego. Zatraca się czujność. Podczas jednej z podróży z przyjacielem, Mikołajem Sondejem, przeżyła stresującą sytuację. Przekraczali granicę samochodem i oboje byli pewni, że któreś z nich sprawdziło, czy mogą swobodnie przejechać. Okazało się, że w ostatnim dniu ich wiz byli pośrodku niczego, na granicy, której nie mogą przekroczyć osoby z Europy. Mieli wtedy szczęście, celnicy niczego się nie dopatrzyli. To przykład tego, że intuicja działa słabiej, gdy przebywa się z kimś. Kiedy jest się samemu, trzeba o wszystkim pomyśleć i nie można zrzucić odpowiedzialności na drugą osobę. Często jest to męczące, ale i wyzwalające. Kształtuje się siła charakteru i samodzielność podróżnika.

Możliwość kradzieży to jedna z wielu obaw osób podróżujących. Dodo została okradziona wiele razy, ale nigdy, gdy była sama. W takich sytuacjach zawsze towarzyszyła jej bliska osoba i wtedy bardziej przeżywała swoją stratę. Podczas jednego z takich zdarzeń była jeszcze niedoświadczoną, młodą dziewczyną, która wraz z przyjaciółką jechała autostopem z Hiszpanii do Portugalii. Mężczyźni w samochodzie wydali im się podejrzani, w dodatku palili coś o dziwnym

zapachu. Wtedy jeszcze nie wiedziały, że to haszysz. Kwintesencją tej wyprawy były relacje jej przyjaciółki zapisane w pamiętniku: „Drogi pamiętniczku, jedziemy do Portugalii, kierowcy to prawdopodobnie espaniolscy bandyci". Na następnej stronie napisała: „Drogi pamiętniczku, jestem na komisariacie, okradli mnie. Płaczę". Z perspektywy czasu sytuacja ta wydaje się zabawna, lecz nawet teraz, jako już wprawiona podróżniczka ma chwile słabości. Podczas ostatniej z wypraw również została okradziona. Pewnego wieczoru straciła czujność. Odwiedziła ją przyjaciółka i zapomniała później schować wartościowe przedmioty. Z jednej strony czujemy się bezpiecznie z drugą osobą, z drugiej – nasza uwaga ulega rozproszeniu.

**Każdy jest inny**

Dodo zdaje sobie sprawę ze swoich przywilejów i docenia wsparcie rodziny. Rodzice opłacili jej trzy lata studiów, aby wystarczało na wynajem pokoju i jedzenie. Pieniądze, które dodatkowo zarabiała, mogła odkładać na podróże. Wcześniej bliscy lękali się o nią, gdy oznajmiała, że wyjeżdża. Teraz to oni wypychają ją w świat. Lubią słuchać jej relacji, przygód i są z niej dumni. Wie, że pod warstwą ekscytacji i troski, kryje się także strach, ale jest już mniejszy i dominuje nad nim zaufanie. Fakt, że urodziła się pod koniec XX wieku, w Polsce, w rodzinie nieopływającej w luksusy, ale w której też niczego nie brakowało, sprawił, że miała dogodny początek. Możliwość posiadania wizy i paszportu polskiego to duży przywilej. – Gdybym powiedziała osobie z Afryki czy Mołdawii: „Słuchaj, to jest proste – pakujesz się i jedziesz", to byłby szczyt głupoty i bezczelności – dorzuca.

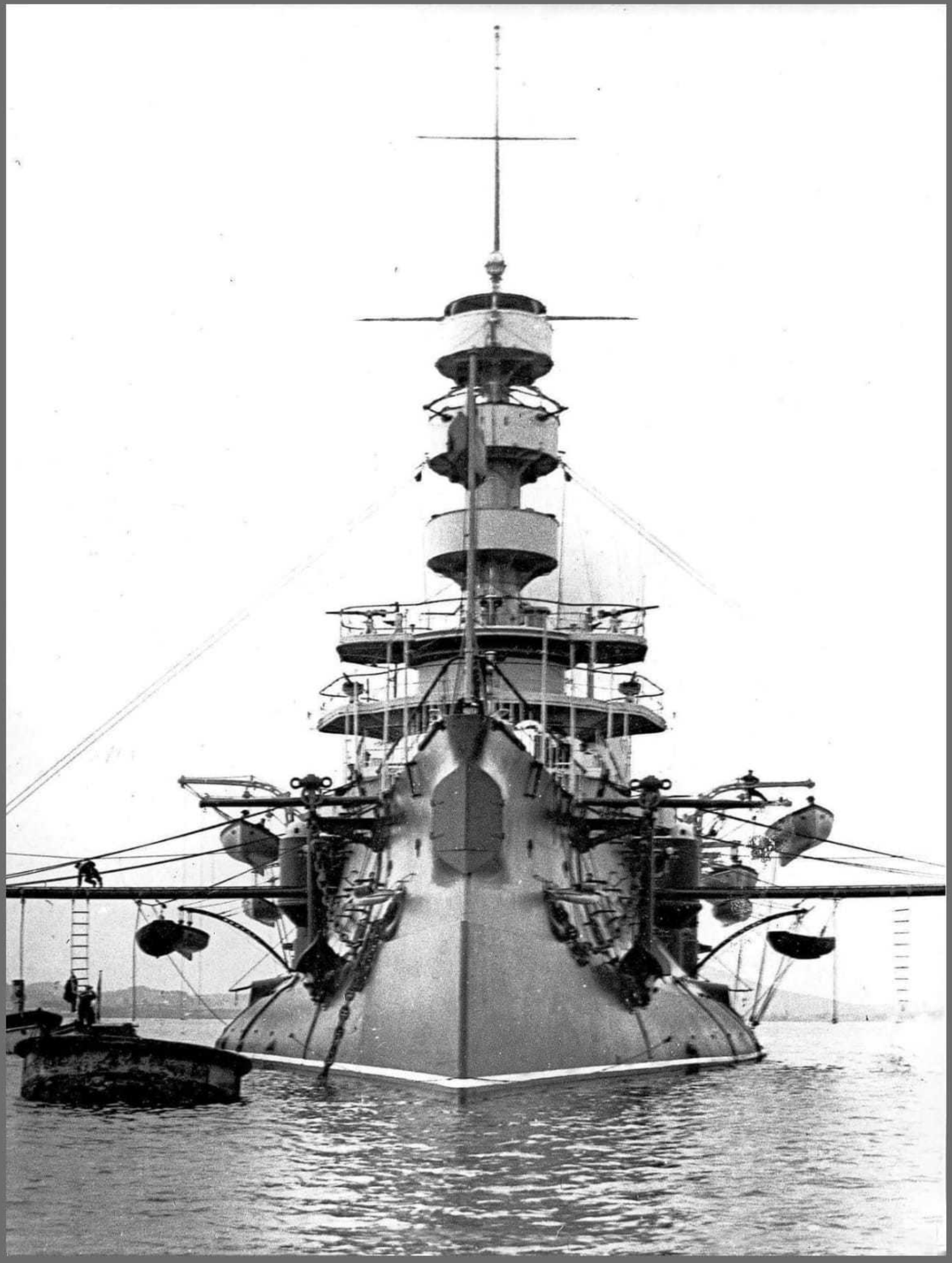
Jednak taki start to jeszcze nie wszystko. Wiele kobiet, pomimo podobnej sytuacji życiowej, jaką miała Dodo, nie potrafi przełamać się i wyjechać w pojedynkę. Ogranicza je strach, tęsknota lub poczucie bezsilności. Podróżowanie wymaga czasu, chęci i odwagi. Niektóre nie mają też takiego szczęścia. Potrzeba więc siły charakteru, determinacji i odrobiny wsparcia.

Na spotkanie przyjechałam z Gdańska do Chojnic, zimnym i obskurnym pociągiem, który dał mi wiele radości. Niby nic, a jednak tak dużo. Każda z nas znajduje się w zupełnie innym położeniu. Staramy się poszerzać granice własnego strachu i najbardziej boimy się tego, co nieznane. Nie chcemy się bać, ale to nieuniknione, taki już jest świat – wspaniały i przerażający. Strach, jeśli nas nie ogranicza, nie jest zły. Nie trzeba więc być żadną superwomen, aby spełniać marzenia. Dziś Chojnice, niedługo Hamburg. Bilet kupiony.

Tekst publikowany we wrześniu na łamach studenckiego periodyku UG „CDN... Ciąg Dalszy Nastąpi".



# ΦOTOGRAFIA



*Le cuirassé «Charles Martel»* (octobre 1897)

Róża Piotrowska




obuwie zdrowotne
PROFILAKTYCZNE
BIURO



Igor Muchowski





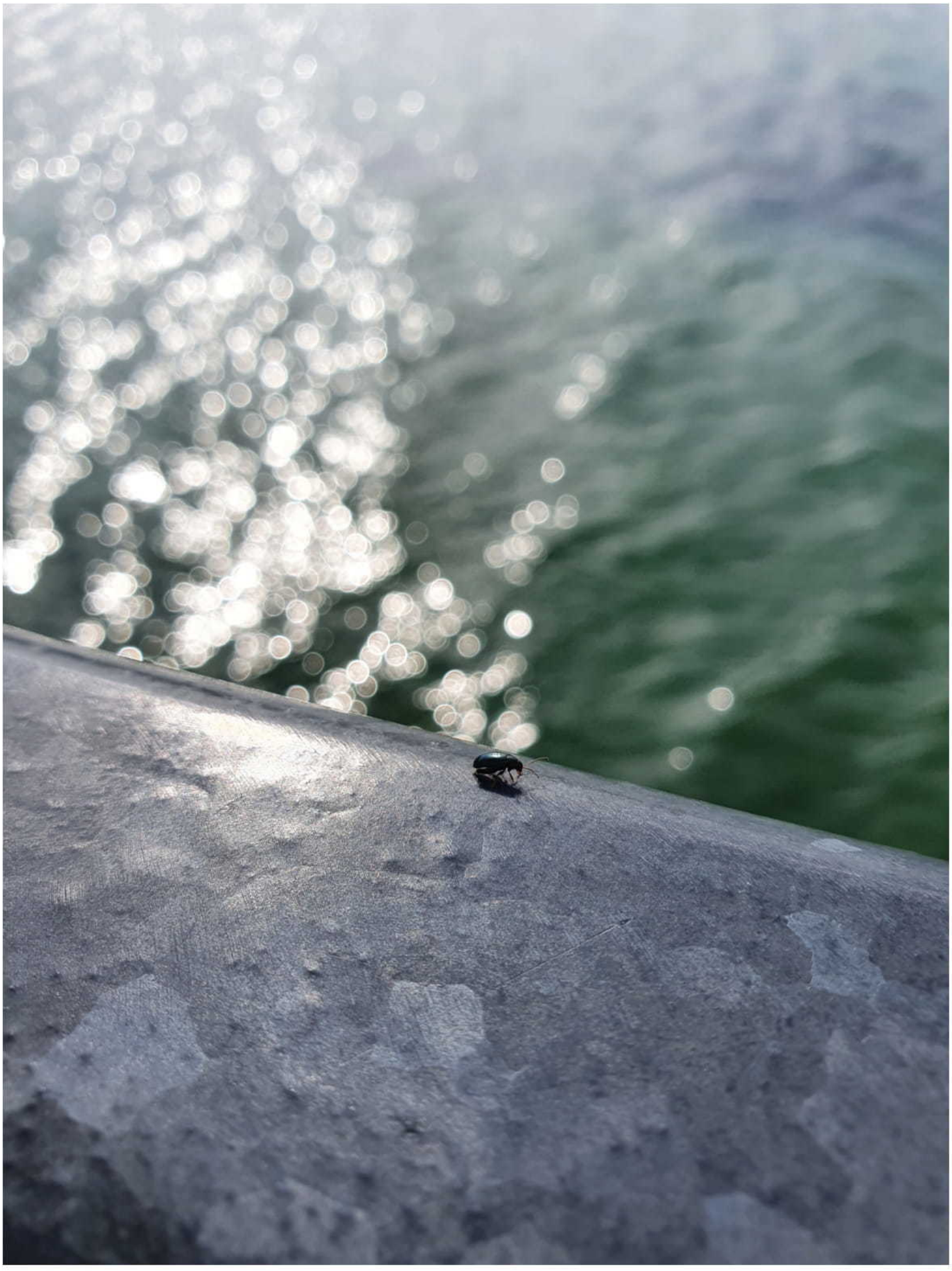
Milena Zielińska







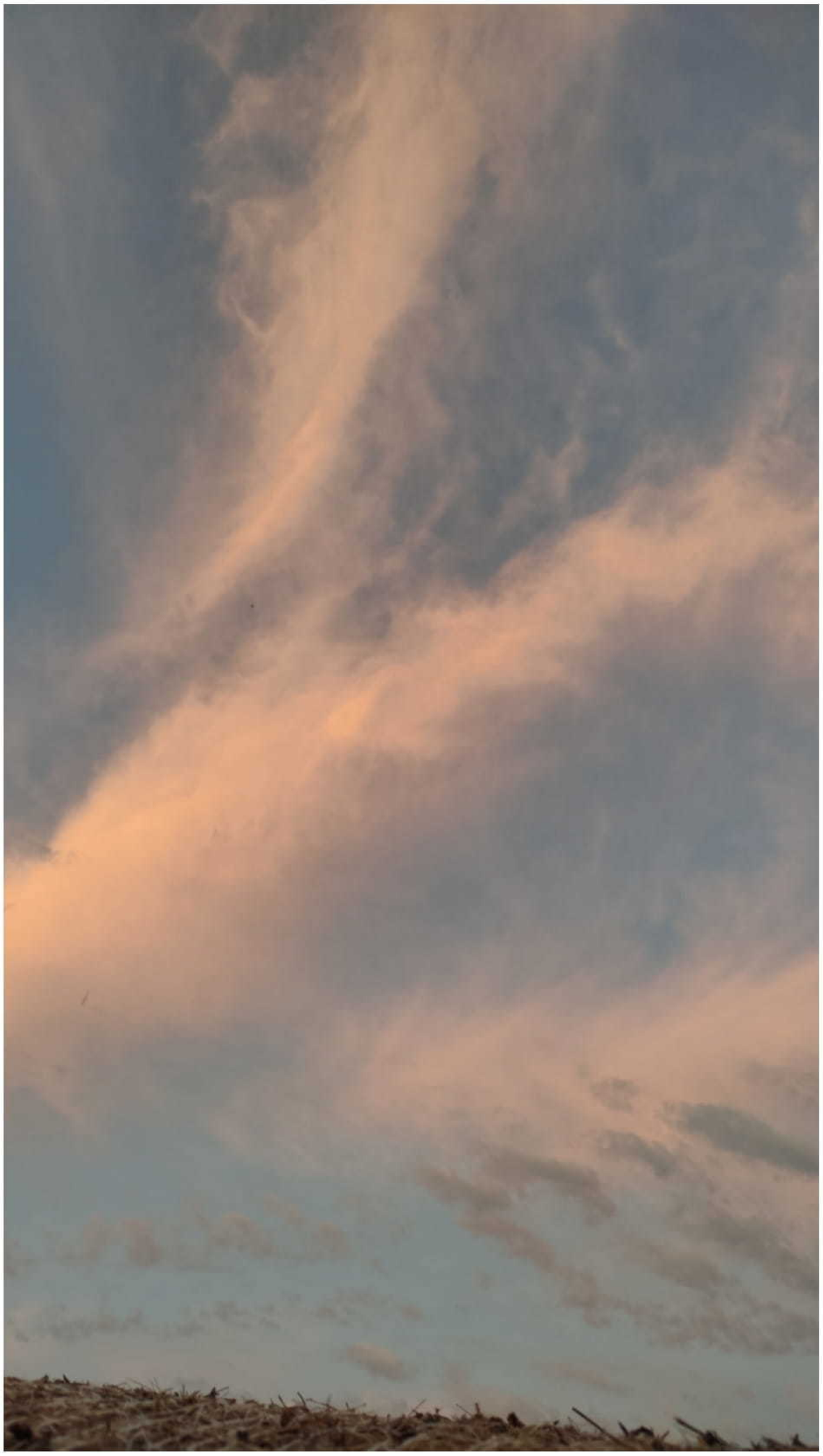




Bartosz Dłubała



Starorzecze



Ba-lot



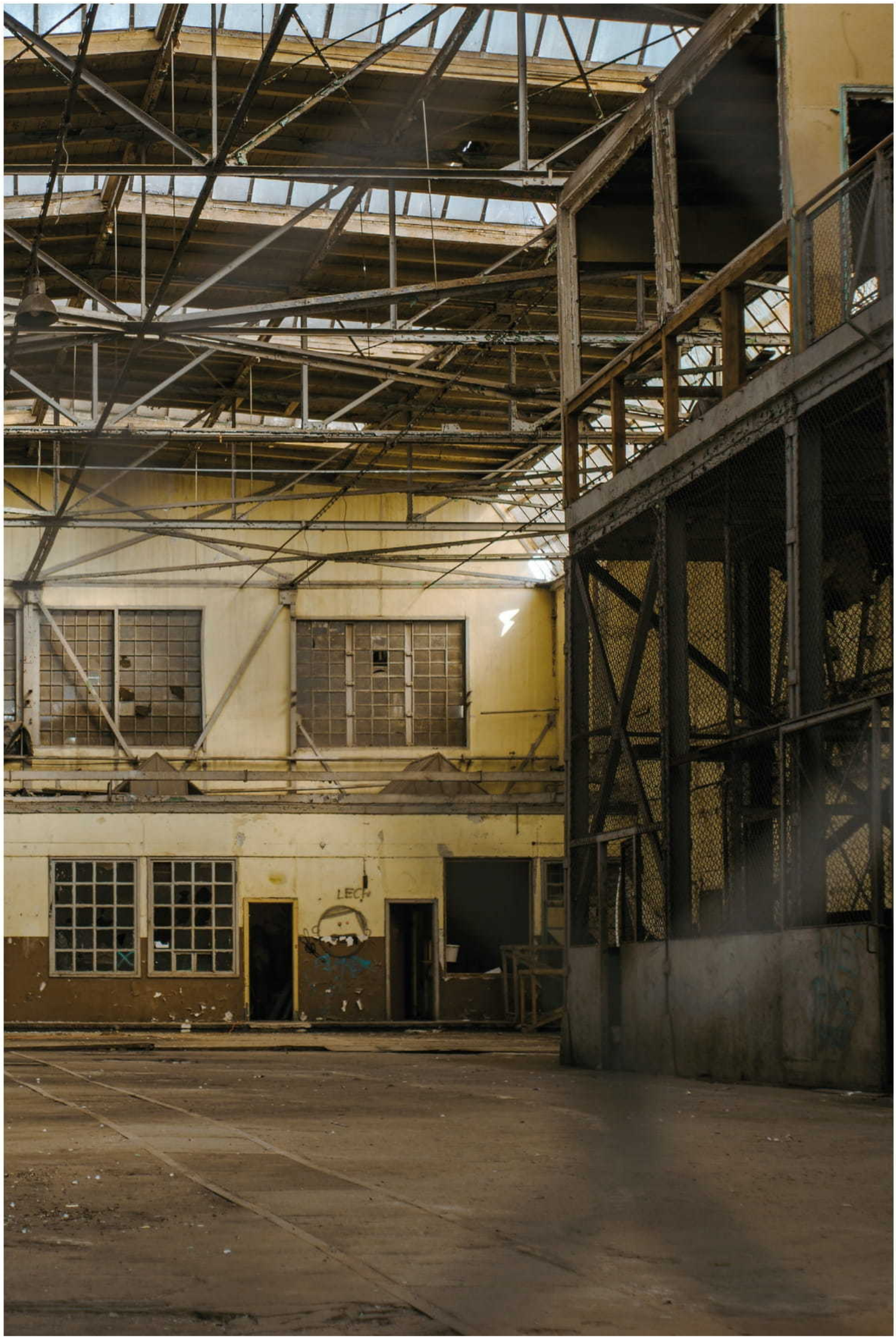
nad

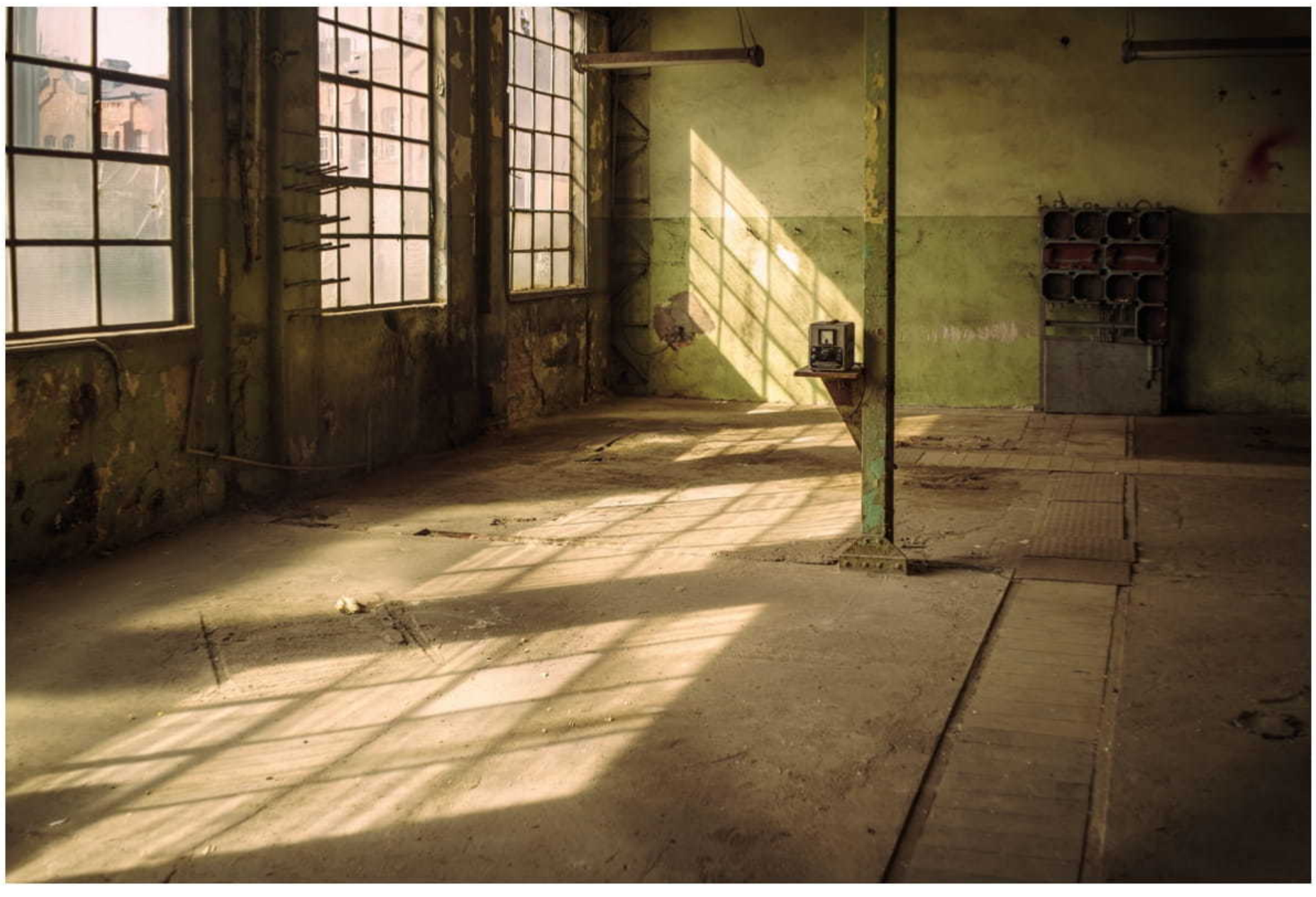


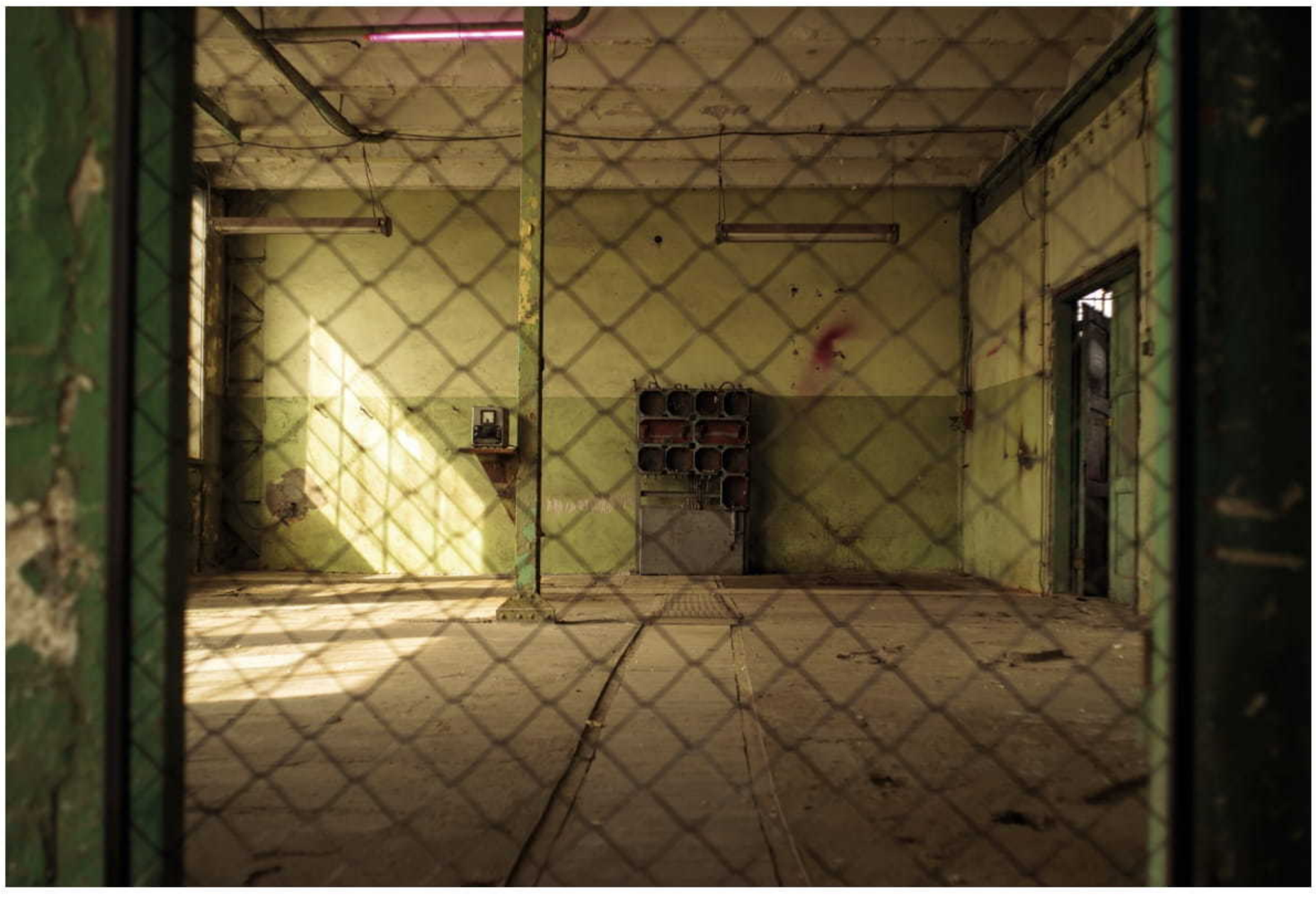
Ambona

Kacper Buńkowski

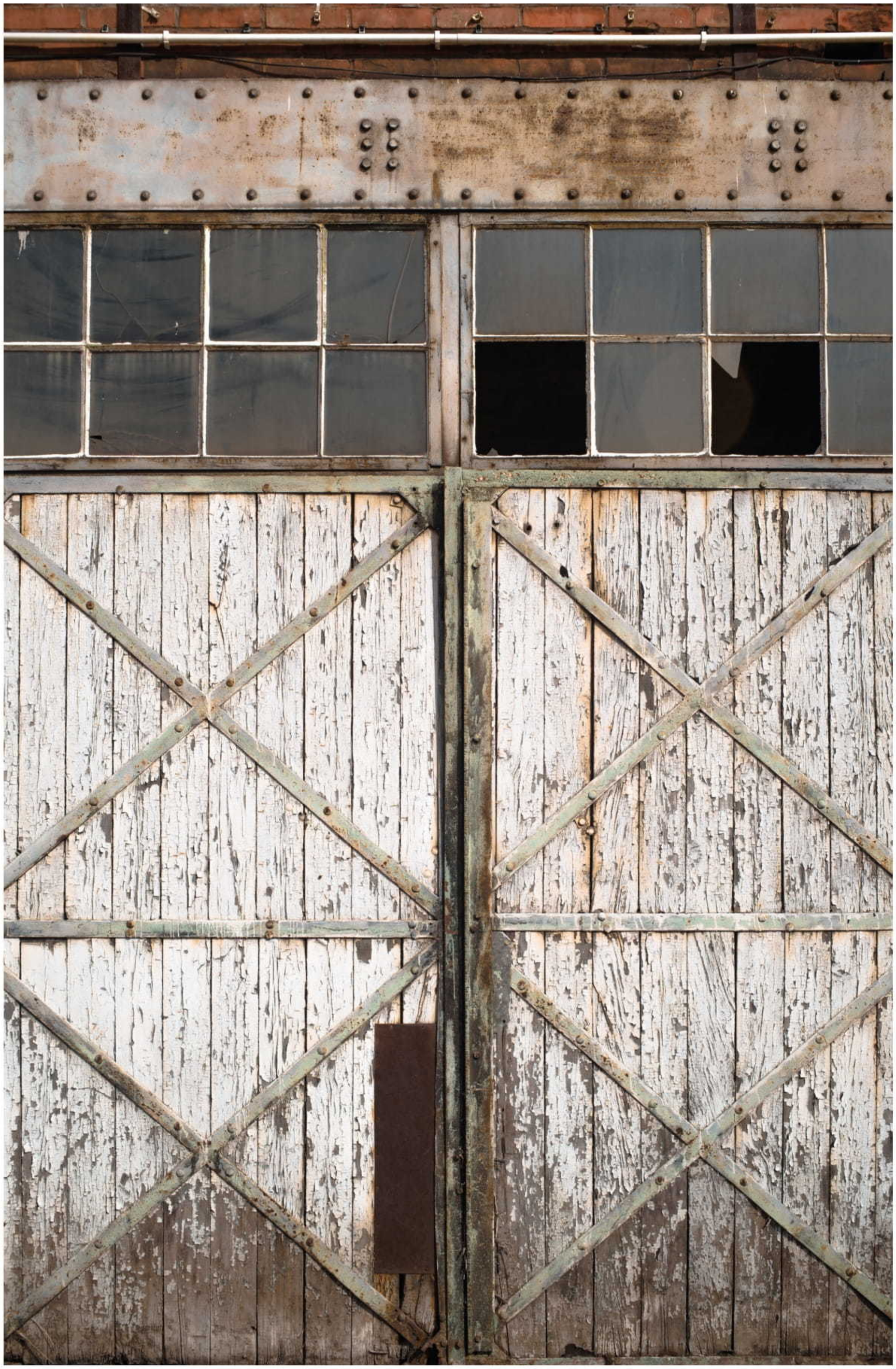


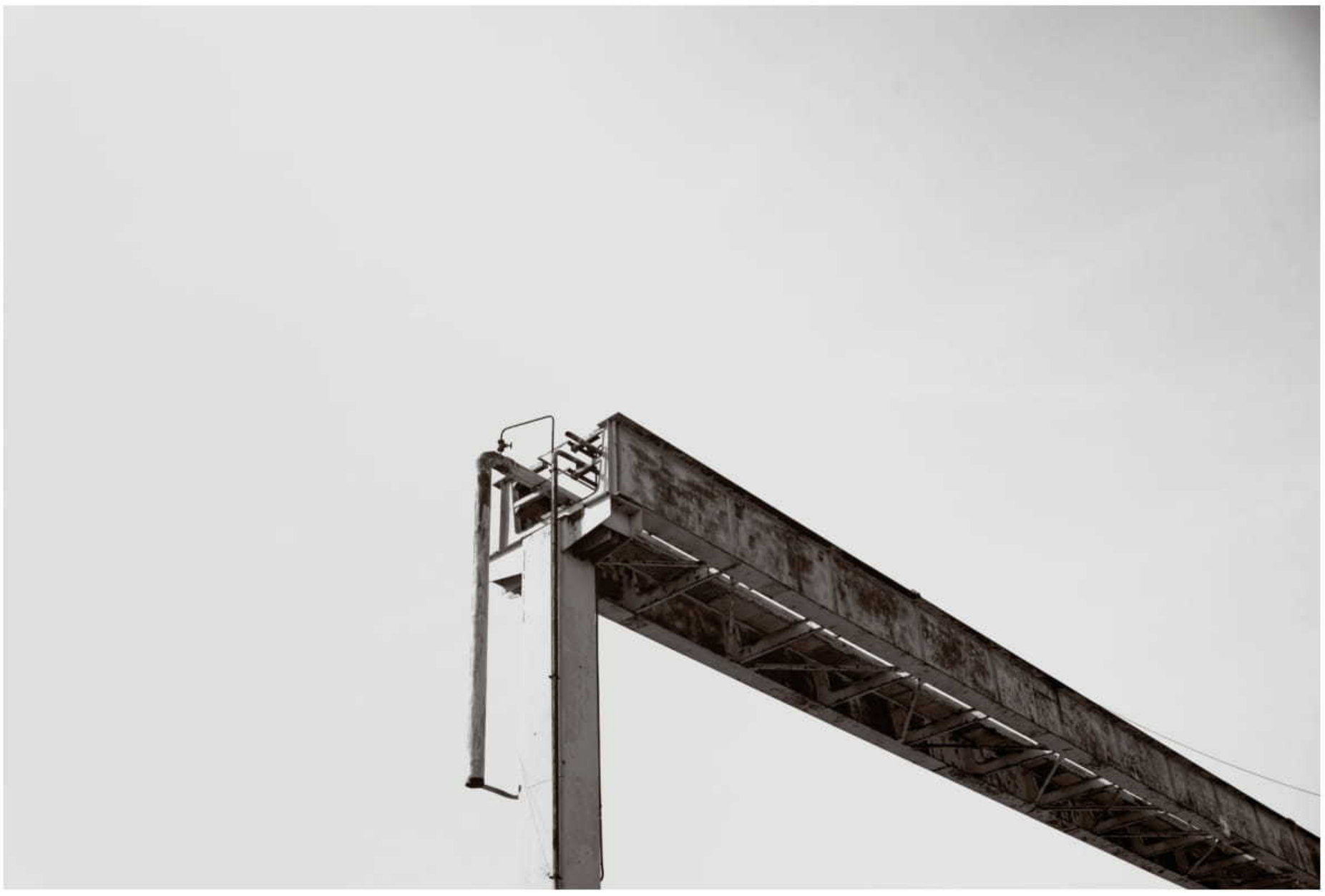

LEC





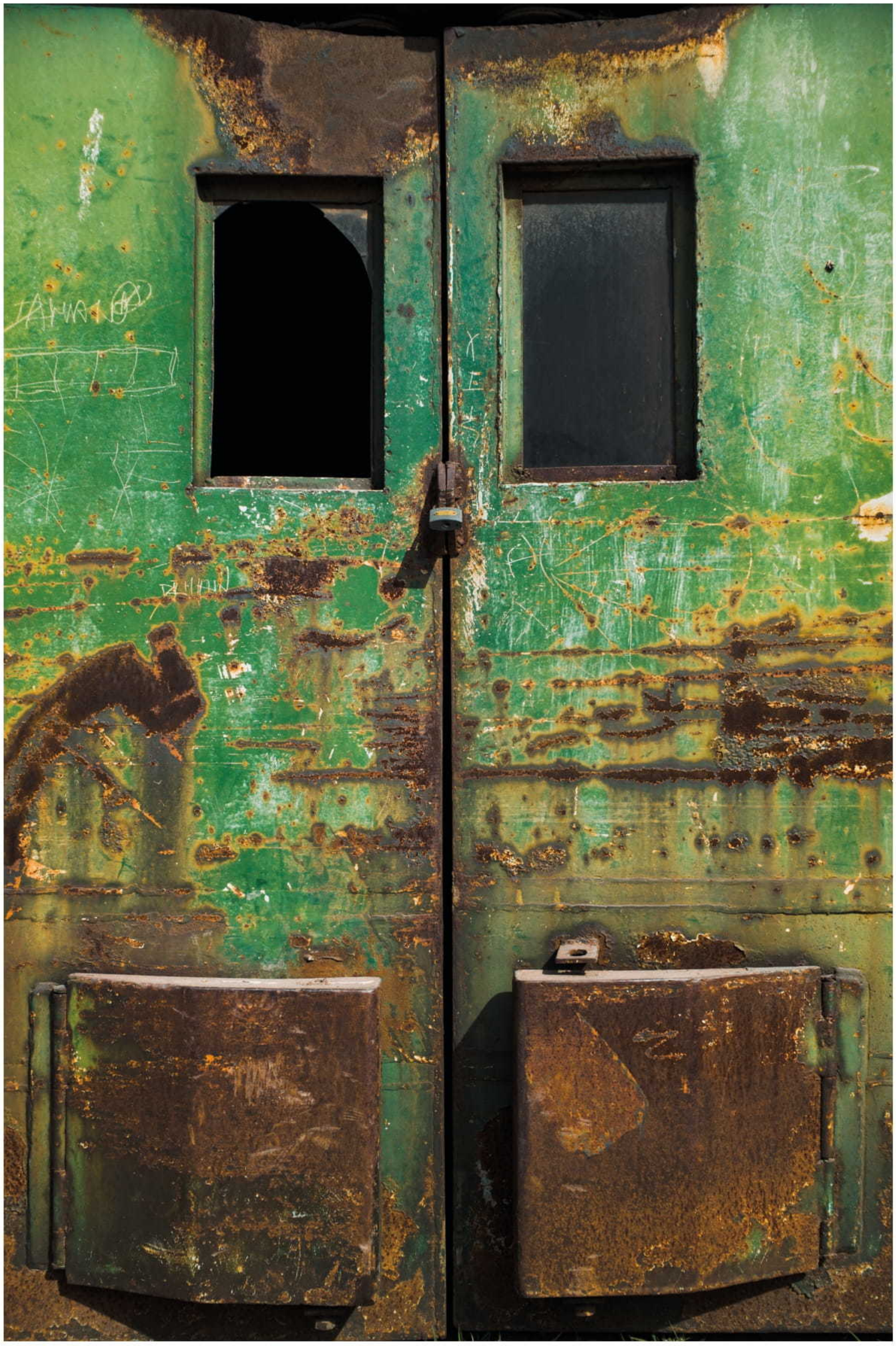

10/14/65A

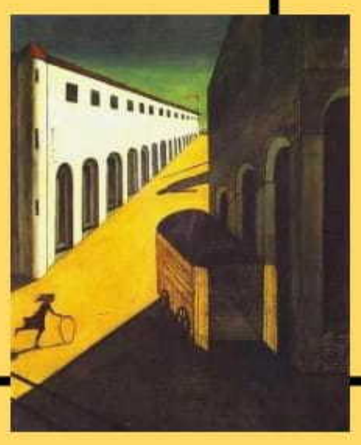







HOW TO SUPPORT UKRAINE ON S
DOUBLE CHECK
SOURCES
POST ONLY
DO NT USE
HELP





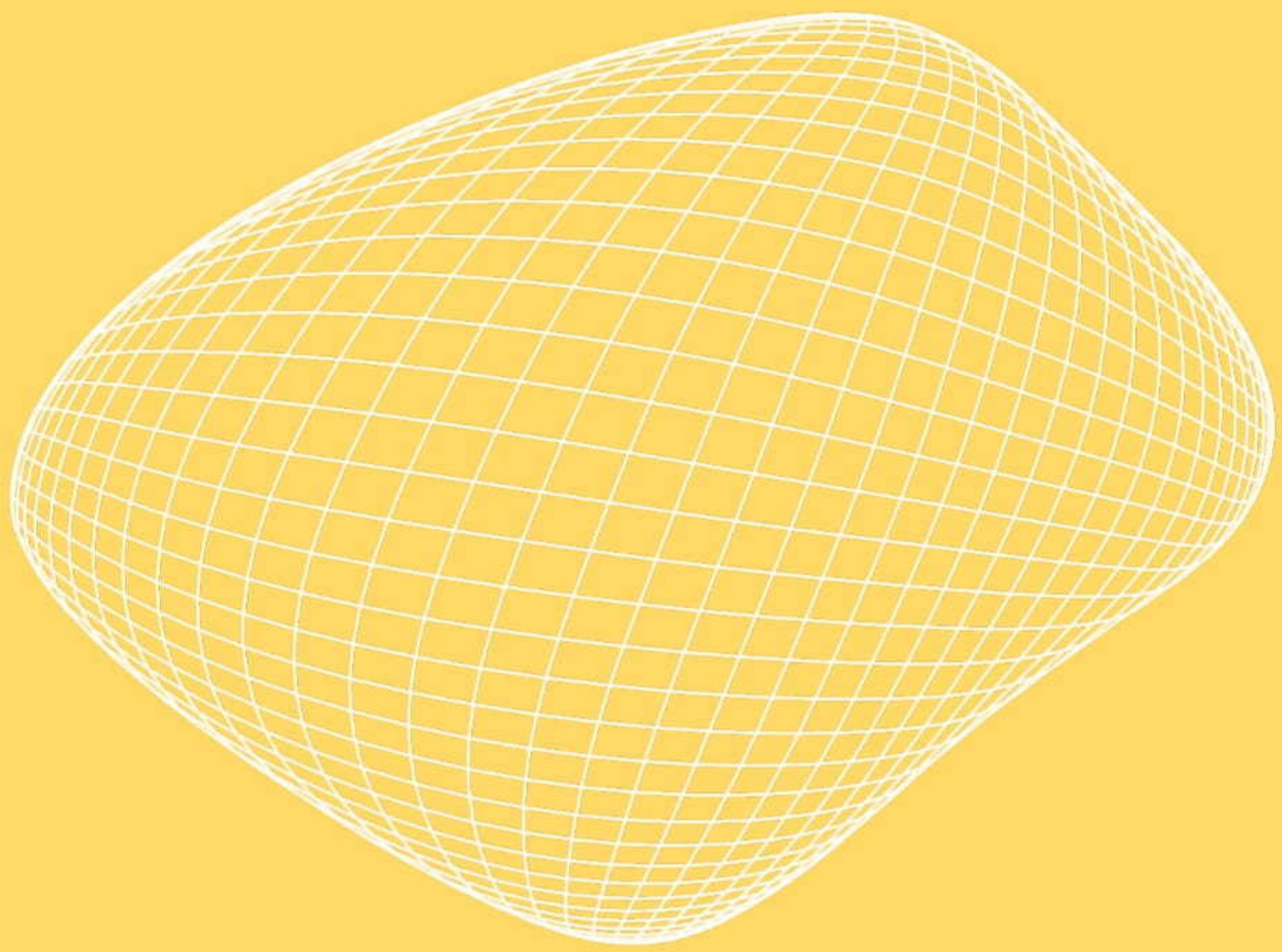
# NASZE PODWÓRKO

CZYLI O CZYM HYR IDZIE **W NASZEJ KAMIENICY**
(ALE TO TYLKO WYBÓR, BO I DUŻO, I GŁOŚNO :D)

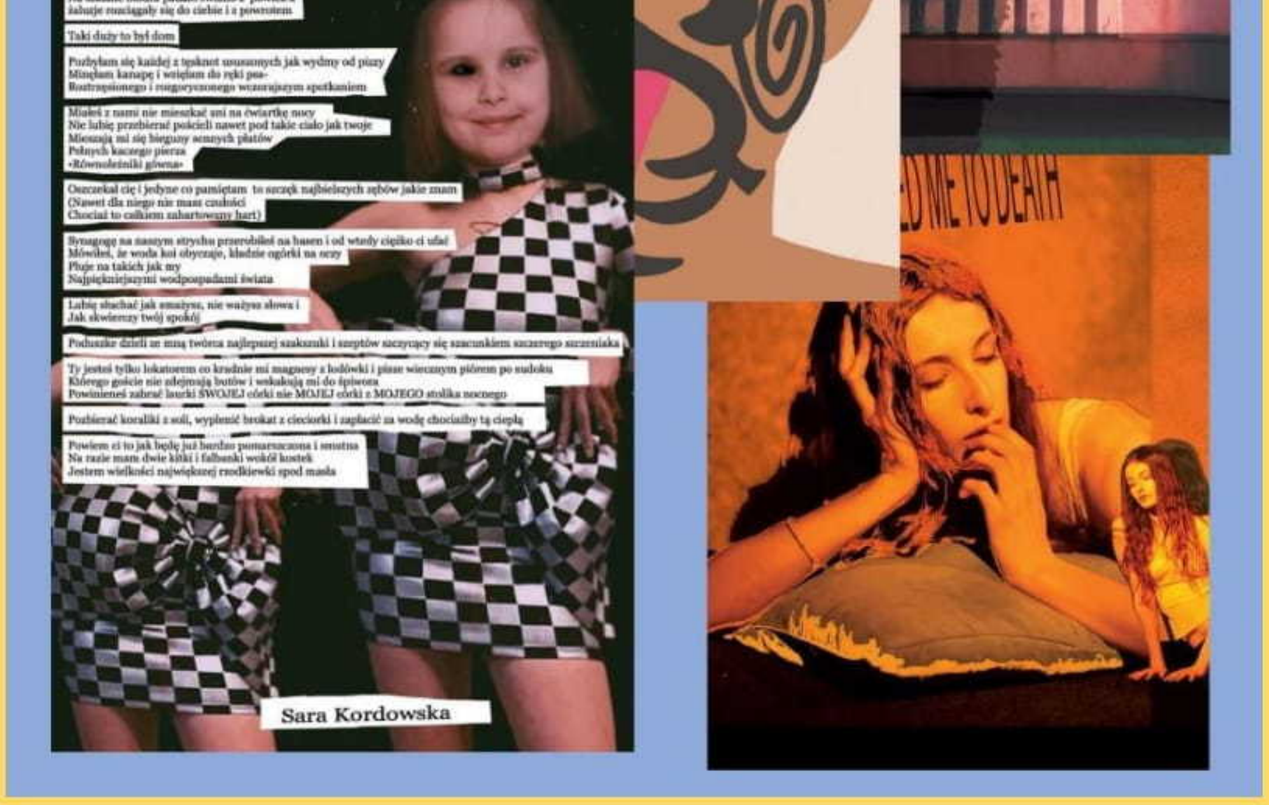
1. Absolwent kulturoznawstwa UG **Norbert Bukato** zaprasza do odwiedzania jego dyplomowej wystawy ***Estetyka Y2K***. Wystawa dostępna online, adresik tutaj: https://norbertbukato.com/#y2k
   A kodzik QR zaraz na następnych stronach.



Projekt poświęcony jest estetyce „roku 2000”, to znaczy trendom w projektowaniu właściwym mniej więcej dekadzie 1995-2004.



2. Absolwentka wiedzy o filmie i kulturze wizualnej UG **Maja Kiszowara** zaprasza do lektury artzinu ***Dzidka*** (poproście autorkę przynajmniej o wersję .pdf, bo warto) oraz do wizytowania online'owego wcielenia projektu na Insta (niektóre obrazki się szybko ruszają i w drukowanym wydaniu ich nie znajdziecie):
https://www.instagram.com/dzidka.zin/
Kod QR też mamy, ździebko dalej.



3. W sierpniu w Dużym Formacie „Gazety Wyborczej” ukazał się wywiad absolwentów polonistyki UG **Pauliny Sokólskiej** i **Maksymiliana Rzepki** poświęcony naocznemu świadectwu powstania warszawskiego, widzianego oczyma dziewięcioletniej wówczas Pani Ani (rocznik 1935): ***Mnie się upiekło***.
Wywiad przeczytać można pod adresem:
https://biuletynimm.pl/2002564815/CTO2Y/z/p
QR, a jakże, dalej…




Gazeta Wyborcza Duży Format

Zaloguj

01-08-2022

AVE: **112 674** | Dotarcie: **524 000**

**9-letnia Ania o powstańczej Warszawie**

MNIE SIĘ • upiekło

4. A o kolejnych międzynarodowych sukcesach filmu ***Inkluzja*** (nasi tu byli: **Marcin Makara, Jagoda Janowska, Łukasz Byczkowski**) to już nie ma siły pisać. XD Aktualia tu: https://www.facebook.com/inkluzja.film
A QR za chwilę. 😉

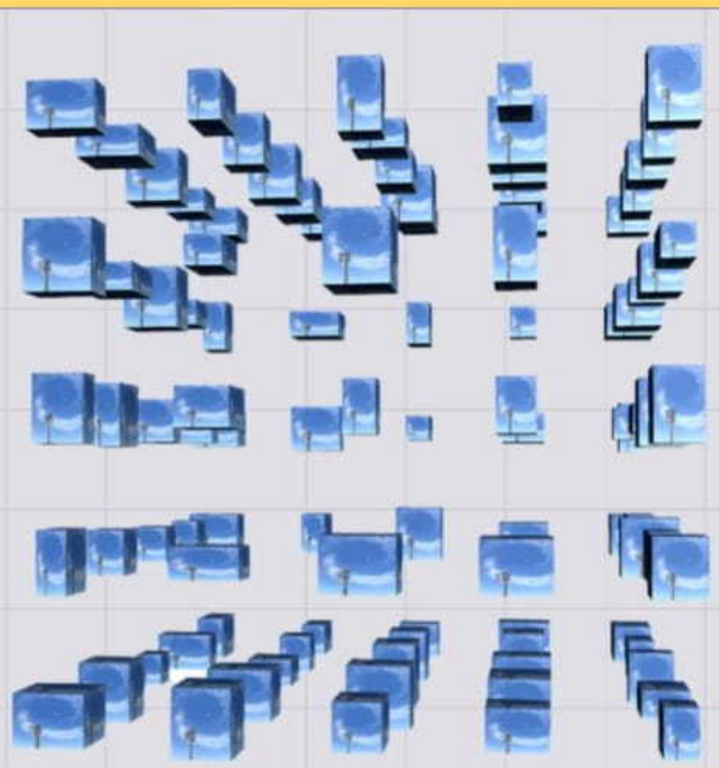


Norbert Bukato

# *Estetyka Y2K*

Y2K jest numeronimem. Skrót pochodzi od połączenia litery Y oznaczającą „rok" (z j. ang. year), cyfry dwa i wielkiej litery „k" będącej przedrostkiem w jednostkach w skali SI oznaczającym 1000, oznaczając „rok 2000".

Estetyka Y2K była trendem obecnym we wzornictwie i sztuce, przypadającym na lata ~1995-2004. Charakteryzowała się motywami futurystycznymi, wpisanymi w kolorystykę chłodnych odcieni niebieskiego i srebra, często zestawionymi ze zdobyczami rozwoju technologicznego tamtego okresu.



## Forma

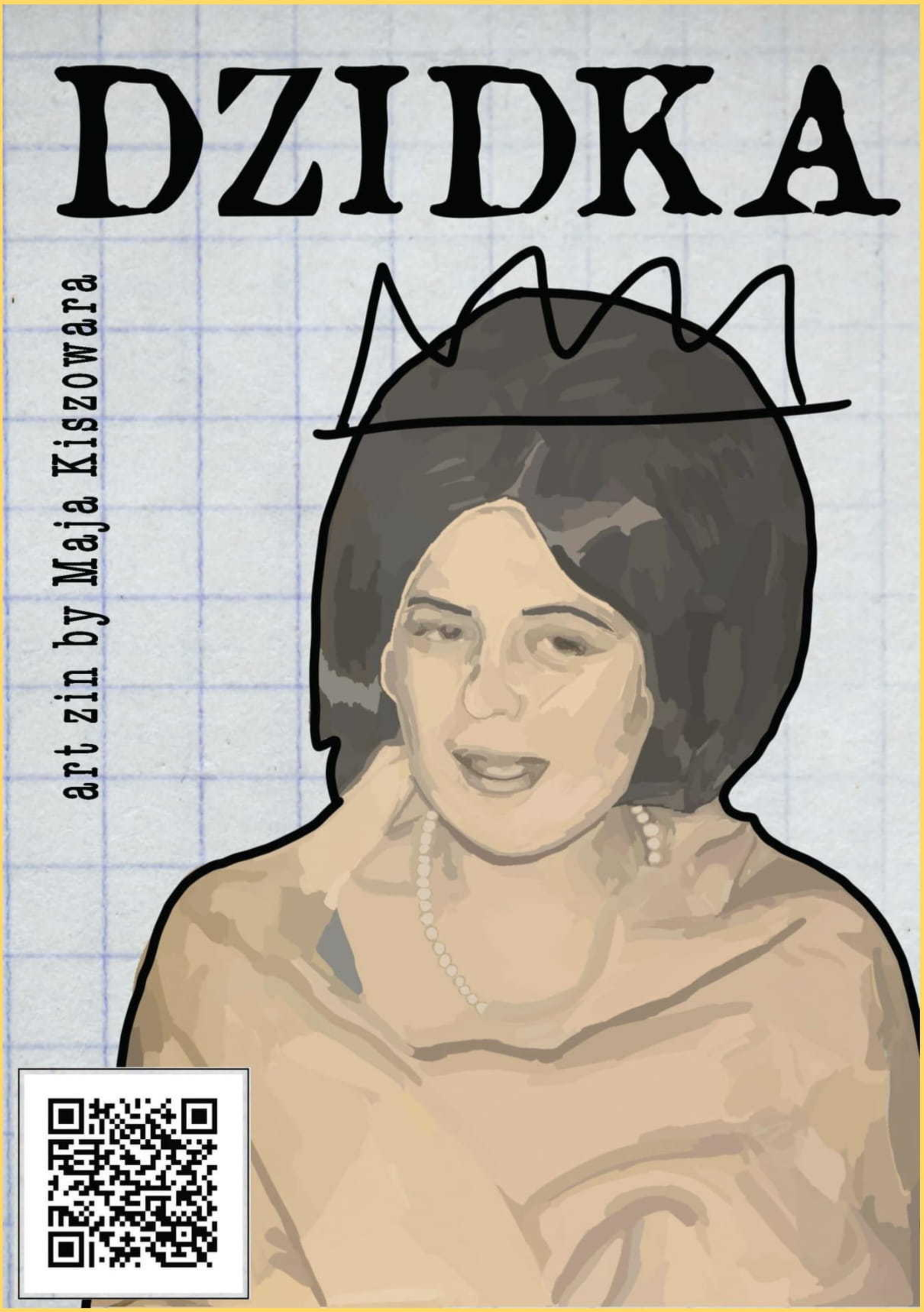


Powszechną formą wyrazu, którą obejmowały obiekty projektowane w latach 90. i następnej dekadzie, był popularnie rozumiany blob (z j. ang. „kropla, kleks"), będący fantazyjną formą plastyczną. Blob jest amorficznym kształtem, znajdującym swoje źródło inspiracji w organicznych formach. Jednocześnie jest dostosowywalny do potrzeb i projektu autora.



Maja Kiszowara

***Dzidka***



Paulina Sokólska, Maksymilian Rzepka

***Mnie się upiekło***



Gazeta Wyborcza Duży Format

Zaloguj

01-08-2022

AVE: **112 674** | Dotarcie: **524 000**

# **Poprosiłam mamę:** „Jak zaczną strzelać, podnieś mnie do góry, żebyśmy zginęły razem"

*Siedzimy w stałym składzie – troje studentów: dwoje z polonistyki, jedna z Uniwersytetu Trzeciego Wieku. Szczupła, energiczna, uśmiechnięta. Rodowita warszawianka, rocznik 35. Pani Ania.*

*Co poniedziałek słuchamy jej wspomnień.*

*Trasa, którą codziennie przemierzała do szkoły, prowadziła wzdłuż granic getta. Wysoki mur biegł samym środkiem Żelaznej. Z jego okien Niemcy celowali z karabinów w stronę dzieci idących z tornistrami.*

– Tego dnia przyjaciółka mamy zabrała mnie do Falenicy pod Warszawą, do ogrodu ich wspólnej koleżanki. Ta przyjaciółka mieszkała na Chłodnej, czyli parę ulic od naszego domu. Kiedy wracałyśmy z Falenicy, już wiadomo było, że nie dojedziemy przed godziną policyjną i ona mnie nie zdąży odprowadzić. Więc na Chłodnej wysadziła mnie z tramwaju i mówi: słuchaj, masz dziesięć minut. Z bukiecikiem konwalii biegłam środkiem ulicy. Specjalnie środkiem, by było widać, że to nie żaden zamachowiec. Do 18.00 była jeszcze chwila. I nagle z wieży strażniczej przy bramie getta Niemcy zaczęli strzelać.

Gdyby chcieli mnie trafić, toby natychmiast trafili, ale oni strzelali po bruku. Podejrzewam, że z nudów dzieckiem, które znalazło się na tym spotkaniu. Na dworze znów strzelali. Nie zabrałam ze sobą żadnej zabawki ani nic i podeszłam do okna.

Zobaczyłam egzekucję Żydów przy wykopanych rowach.

Widziałam wszystko: ustawieni do rozstrzelania padali, po czym następna ekipa, którą przywozili, miała lekko przysypać tamtych, zanim sama pójdzie pod ścianę. Po nich przyjeżdżali jeszcze kolejni i zasypywali poprzednich, taki powtarzający się cykl.

Patrzyłam na to i dopiero w którymś momencie dorośli zorientowali się, że to nie są widoki dla siedmioletniego dziecka, nie? Pamiętam, że ktoś rzucił się, żeby mnie odciągnąć od okna, i syknął mi do ucha: „Jak coś zauważą, to cię snajper zabije".

Nie, nie żądano od mieszkańców, żeby okna były zasłaniane. Jedynie nie wolno było przez nie wyglądać i patrzeć, co się dzieje.

## BECHSTEIN

– Był taki czas, że moja mama mieszkała razem z ro-

*tkaniny, która uniemożliwia przedostawanie się piór oraz pierza na zewnątrz".*

– Więc z tego inletu były poszwy na poduszki i kołdry? – pytamy.

– Jakie kołdry? Pierzyny! To był czas pierzyn! Jak gęstszy inlet, to mogła być nawet puchowa pierzyna, arcyciepła! I właśnie on był czerwony, więc najprostsza rzecz, żeby uzyskać materiał na flagę, to było rozpruć tę pierzynę. A zatem: górą – białe prześcieradło, dołem czerwony inlet, z którego jeszcze leciało pierze, bo nie da się tak błyskiem wytrzepać, a nikt przecież nie miał zdrowia, żeby to prać i czyścić. Dlatego leciały te pióra i właśnie to zapamiętałam jako dziecko: pierzaste czerwono-białe flagi na ulicy Ogrodowej.

## CZAPECZKA

– Po wybuchu powstania wydawało się, że w piwnicach będzie jakoś bezpieczniej. No, średnio bezpieczniej, bo jak się dom zawalił, to ludzie przeważnie i tak ginęli. W każdym razie zeszliśmy

Tekstowa | Oryginalna

*a odbyła się duża selekcja: ty z dziećmi pognano dalej, owie.*

– Nie pamiętam, czy wszyscy nocowaliśmy w tym kościele, czy jeszcze tego samego dnia odseparowano od nas tatę, a my zostałyśmy zabrane do parowozowni w Pruszkowie. Gdy wyprowadzono nas już poza Warszawę i oglądałam się przez ramię, to widziałam wielką krwawą łunę nad miastem.

*Transport z Woli był pierwszym, który dotarł na miejsce. Dulag (albo durchgangslager), czyli obóz przejściowy, utworzono 6 sierpnia 1944 w Pruszkowie, na terenie dawnych Zakładów Naprawczych Taboru Kolejowego. Dzisiaj na murze byłego obozu znajduje się napis „Tędy przeszła Warszawa". Szacuje się, że przeszło przez niego kilkaset tysięcy.*

– Podobno jeśli ktoś miał odpowiednich znajomych czy łapówki, mógł być stamtąd wyciągnięty. Kiedy na Woli rozstrzeliwano tylu ludzi, to była ta wczesna faza, Niemcy jeszcze nie wypuszczali warszawiaków. Dopiero potem, gdy nagle mieli milion ludzi „do zagospodarowania", po prostu wypychali ich poza Warszawę.

*Wiedziałam, jaki był los niedobitych dzieci. Czekała je śmierć od kolby karabinu albo żołnierskich butów*

PAULINA SOKÓLSKA
MAKSYMILIAN RZEPKA

*Ale w okupowanej Warszawie żadnego domu nie można było uważać za bezpieczny azyl.*

– Pewnego dnia w naszym budynku Niemcy przetrząsali wszystkie mieszkania. Nie szukali nikogo z mojej rodziny, ale i tak czuło się przerażenie, które jakby przenosiło się przez ściany. Na parterze od podwórza mieszkał stary schorowany człowiek, który poruszał się na wózku. Sąsiedzi pomagali go zaopatrywać w różne rzeczy, bo sam nie opuszczał mieszkania. Podczas rewizji Niemcy go zastrzelili.

## OKNO

– Strzelanie w Warszawie w czasie wojny było chlebem powszednim. Jeżeli w ciągu dnia padały jakieś strzały, to nie rzucaliśmy się naraz do okien, tylko, no, znowu gdzieś tam strzelali, tak? Dorośli dalej zajmowali się swoimi sprawami. I nie inaczej było tamtego dnia. To mógł być rok 1942.

W domu z widokiem na boisko sportowe mieszkali kuzyni mojego ojca i myśmy poszli tam w odwiedziny. Tak się złożyło, że byłam akurat jedynym

wyraźnie. Na nasze podwórko wniesiono kobietę. Została postrzelona w brzuch. Szpital był za daleko, nie było szansy na ratunek. Krzyczała, póki miała siłę. Nie umiem powiedzieć, jak długo. W końcu się wykrwawiła.

Ten krzyk przeraźliwy został mi w pamięci. Wydaje mi się, że czasami wciąż go słyszę.

## PUCH

– Chodź, chodź, musisz to zobaczyć! – pamiętam, że siedziałam tacie na ramieniu i tak zaniósł mnie na Ogrodową. Popatrz – mówi – bo sprzed wojny nie pamiętasz.

Na całej ulicy powiewały biało-czerwone flagi, zrobione z czego się dało. Było coś niezwykłego w tym, że Polacy natychmiast potrafili się zorganizować. No więc biały materiał – to proste, bo wtedy były lniane prześcieradła. Natomiast... Czy wiecie, co to jest inlet?

*Nie wiedzieliśmy.*

*Za Wikipedią: „Inlet – rodzaj bardzo gęstej tkaniny bawełnianej, o splocie skośnym, atłasowym bądź płóciennym. (...) Cechą charakterystyczną jest konstrukcja*

*40 tysięcy mieszkańców dzielnicy. Natarcie przypuszczały oddziały gen. Reinefartha i znane z okrucieństwa brygady Dirlewangera.*

– Ostatniego dnia w piwnicy moja mama poszła do mieszkania. Podeszła do okienka, które rodzice kazali kiedyś dodatkowo przebić na tzw. ślepej ścianie budynku. A przez to okienko na podwórzu domu przy Ogrodowej zobaczyła masową egzekucję. Wszystkich ludzi, którzy byli w budynku, ustawiono pod mur i wystrzelano. Mama wróciła do piwnicy kompletnie roztrzęsiona.

Jeszcze tego samego dnia Niemcy weszli na podwórko naszej kamienicy. Mieliśmy przygotowane jakieś paczuszki, gdyby trzeba było nagle wychodzić. Ale jak przyszli Niemcy i zaczęli nas wyprowadzać, mama to wszystko wyrwała nam z rąk. Widziała, jak rozstrzelali sąsiadów, i była przekonana, że nas spotka to samo.

Wygnano nas na ulicę.

Poszliśmy z pustymi rękami. Ja w czerwonej czapeczce z czarnym futrzanym pomponem.

*7 sierpnia 1944, po zajęciu dzielnicy, Niemcy pognali ulicą Ogrodową mieszkańców wyprowadzonych z piwnic i podpalili okoliczne budynki.*

***Inkluzja***

scenariusz: Jagoda Janowska i Marcin Makara
zdjęcia: Łukasz Byczkowski
reżyseria: Marcin Makara










# INKLUZJA



SCENARIUSZ
Jagoda Janowska
Marcin Makara

ZDJĘCIA
Łukasz Byczkowski

REŻYSERIA
Marcin Makara

DŹWIĘK
Damian Cejlowski

MUZYKA
Mikołaj Trzaska
Robert Szordykowski



Jagoda Janowska
Marcin Makara
Dorian Zypper
Oliwer Zypper
Daria Byczkowska
Daniel Kalinowski
Ewa Tomaszewicz Makara
Iwona Lamkiewicz



# NOTY BIOGRAFICZNE

Dla zachowania walorów indywidualney ekspresyi Redakcya zdecydowała nie uyednolicać biogramów, pozostawiayąc ie w formie nadesłaney przez Autorki i Autorów, iedynie z rzadka uzupełniayąc o konieczne drobiazgi. :)

**Ävælíne** – *nom de guerre OFC* – prozaiczka od lat pisząca do szuflady i wierna czytelniczka fantastyki, z którą przygodę zaczęła od książek Paoliniego. Pisze najczęściej nocą, przy dźwiękach rocka i riffów gitarowych, choć sama tworzyć umie jedynie teksty. Nie potrafiła zdecydować, czy woli być smoczym jeźdźcem czy wilkołakiem, więc została autorką, wiernie zapisując podszepty bohaterów i wykazując się w stosunku do nich pokładami cierpliwości, których nigdy się po sobie nie spodziewała.

**Kacper Buńkowski** - zajmuje się fotografią, wideo i różnymi formami dźwiękowymi, rzadziej słownymi.

**Beata Budzkowska** – studentka wiedzy o filmie, rok trzeci. Zawodowa fotografka. Bardziej obserwatorka niż uczestniczka, jednak często korzystająca z prawa głosu. Pisząca piórem i kamerą. Wielka fanka filmów popularnonaukowych i książek Stephena Hawkinga.

**Philip K. Dick** (1928-1982) - tak, to ten, co wymyślił *Ubika* i *Bladerunnera*.

**Bartosz Dłubała** (ur. 2001) – student Wydziału Socjologii UAM, w AlmanaXie szef Ekspozytury Poznańskiej. Poeta i prozaik. Laureat konkursów literackich, m.in. Ogólnopolskiego Konkursu Poetyckiego im. St. Czernika, Ogólnopolskiego Konkursu Literackiego im. Dionizego Maliszewskiego. Interesuje się muzyką rockową, ale potrafi grać tylko na nerwach.

**Michał Harat** – pochodzi ze wsi na południu Polski. Lubi grać w gry video i oglądać anime.

**Zuzanna Heger** - studentka socjologii, entuzjastka słów nietypowych. Wycinam z kontekstu i reinterpretuję już raz powiedziane. W wolnym czasie uczę się śpiewu. Więcej publikuję na Instagramie: @karteluszki_.

**Michalina Janas** (ur. 2000) - studentka Kuratorstwa i Teorii Sztuki na Uniwersytecie Artystycznym im. Magdaleny Abakanowicz w Poznaniu. Od zawsze zatopiona w świecie teatru i sztuki. Lubi płakać i śmiać się na spektaklach, tańczyć w zamkniętym pokoju i pokazywać znajomym zdjęcia swojego psa.

**Szymon Kamiński**, ur. 1993 r. - absolwent gdańskiej polonistyki, obecnie doktorant w Szkole Doktorskiej Nauk Humanistycznych i Społecznych UG, dziennikarz, pretendujący prozaik. Laureat ogólnopolskiego konkursu literackiego „Piórem Malowane" w 2014 i 2015 roku oraz „Jesteśmy stąd - Dom na Żuławach" w 2008 roku, a także wyróżniony w konkursie „Walizka pełna strachu" w 2014 roku. Autor „Zeszytu czasów żałoby". Współpracuje z magazynem trójmiejskim „Prestiż" oraz „Linia". Zainteresowany literaturą, kinem oraz gastronomią.

**Tadeusz Karabowicz** (także Тадей Карабович/Tadej Karabowicz). Urodził się 6 kwietnia 1959 roku w Sawinie w województwie lubelskim. Jest poetą, tłumaczem, krytykiem literackim, historykiem literatury oraz literaturoznawcą. Należy do Lubelskiego Oddziału Związku Literatów Polskich oraz Narodowego Związku Pisarzy Ukrainy. Jest honorowym członkiem Klubu Inteligencji Twórczej Stowarzyszenie Żywych Poetów (Brzeg), członkiem Komisji Polsko-Ukraińskich Związków Kulturowych PAN Oddział w Lublinie.

**Aleksandra Kasprzak** - ur. 1998, studentka filologii rosyjskiej i sztuki pisania na UAM. Poetka, czasem slamerka, plakaciara, feministka. Ma trójkolorowego kota o imieniu Mysza.

**Klaudia Kłosowska** - rocznik 2000, absolwentka filologii polskiej, aspirujaca redaktorka, samozwańcza twórczyni memów. Szczególną sympatią darzę powieści fantastyczne, przejażdżki rowerowe i haftowanie.

**Martyna Krawcewicz** (ur. 2001) - studentka III roku filologii polskiej, aspirująca redaktorka tekstów. Jej zainteresowania to edycja i korekta beletrystyki, dlatego wybrała powyższy kierunek. Miłośniczka szeroko pojętego piśmiennictwa i wszystkiego, co się za nim kryje: od narodzenia się pomysłu na tekst, aż do wydania utworu w publikacji zwartej. Lubująca się w literaturze pięknej i wszystkim, co do piękna można zaliczyć.

**Patrycja Kuchta** – studentka I roku studiów stacjonarnych II stopnia filologii polskiej. Autorka reportażu „Wywiad przy filiżance herbaty" opublikowanego w 2022 roku na stronie internetowej Stowarzyszenia Magnolia. Miłośniczka białego pieczywa i wszystkiego co słodkie

**Laura Lange –** studentka filologii polskiej UG, specjalności dziennikarsko-publicystycznej.

**Katarzyna Łada** – absolwentka filologii polskiej na Uniwersytecie Gdańskim. Reprezentuję beznadziejny przypadek fascynacji poezją wiązaną – nie zniechęciły mnie nawet zawiłości wersyfikacji. Popełnione przeze mnie wiersze znalazły się między innymi w antologii Otwieranie Głosu, autonomicznym tomiku *Pryzmat* oraz aplikacji mobilnej *PoGo – Poetry on the go*. Poza poezją interesuję się kulturą Japonii i psychologią.

**Przemysław Mikołaj Mazurkiewicz**, w Internecie Cgan lub Karo (ur. 1991 w Gdyni) – eskapista z wyboru, wielbiciel wszelkich form narracyjnych z sentymentalnym zamiłowaniem do strukturalizmu i niespełnioną ambicją zostania eseistą lub krytykiem. Wieczny student (pięć semestrów filologii polskiej, trzy ekonomii, aktualnie piąty wiedzy o filmie), w chwili obecnej magazynier i operator maszyn transportowych. Niedoszły bloger, sporadycznie współpracownik portalu Tanuki.pl. Miłośnik literatury klasycznej (Jorge Luis Borges, Franz Kafka, Bruno Schulz), fantastyki (Ursula K. Le Guin, J.R.R. Tolkien), filmu animowanego – zwłaszcza animacji japońskiej (Satoshi Kon, Naoko Yamada, Shin'ichirō Watanabe, Kunihiko Ikuhara), a także gier hack'n'slash, VTuberek i modeli Gunpla.

**Paulina Mocka** – z wykształcenia polonistka i dziennikarka, z zamiłowania fotografka oraz początkująca podróżniczka. Angażuje się w walkę o prawa zwierząt i kobiet, a wolny czas spędza na czytaniu, pisaniu i spacerach ze swoim czworonożnym przyjacielem.

**Igor Muchowski** – interesuje mnie wiele rzeczy, ale coś, co sprawia, że mogę oderwać się od codziennej rzeczywistości, to fotografia analogowa i eksperymentowanie z grafiką. Upamiętniam miejsca i chwile wyłącznie, kiedy je czuję. Staram się w nich dostrzec coś, czego nikt przede mną nie zauważył.

**Станіслав Новицький (Stanisław Nowycki)** – rocznik 2000, poeta ukraiński, Student Narodowej Akademii Gwardii Narodowej Ukrainy w Charkowie. Obecnie na froncie.

**Adrian Krystian Pacuszka** - student prawa na Uniwersytecie Jagiellońskim, fan polskiej prozy życia i pisania o niej wierszem. Uwielbia wieczorne podróże tramwajem, pracuje w kawiarni na dworcu kolejowym, na wypadek, gdyby prozy życia nagle zabrakło.

**Róża Piotrowska**, urodzona wiosną 1997 r. w Łodzi, prozaiczka, autorka scenariuszy, fotograficzka. Aktualnie studentka III roku wiedzy o filmie i kulturze audiowizualnej. Niespełniona flecistka, siatkarka, reżyserka dźwięku, florystka... Miłośniczka roślin i natury w ogóle.

**Malwina Prusinowska** (2001) – studentka trzeciego roku filologii polskiej, próbującą swoich sił w prozie. Na co dzień stara się żyć zgodnie z ideą zero waste, nie zapominając o naszej planecie. Miłośniczka roślin, stąd wiele czasu spędza, przesadzając kwiaty, a w wolnych chwilach z zapałem układa puzzle przy jednoczesnym słuchaniu audiobooków.

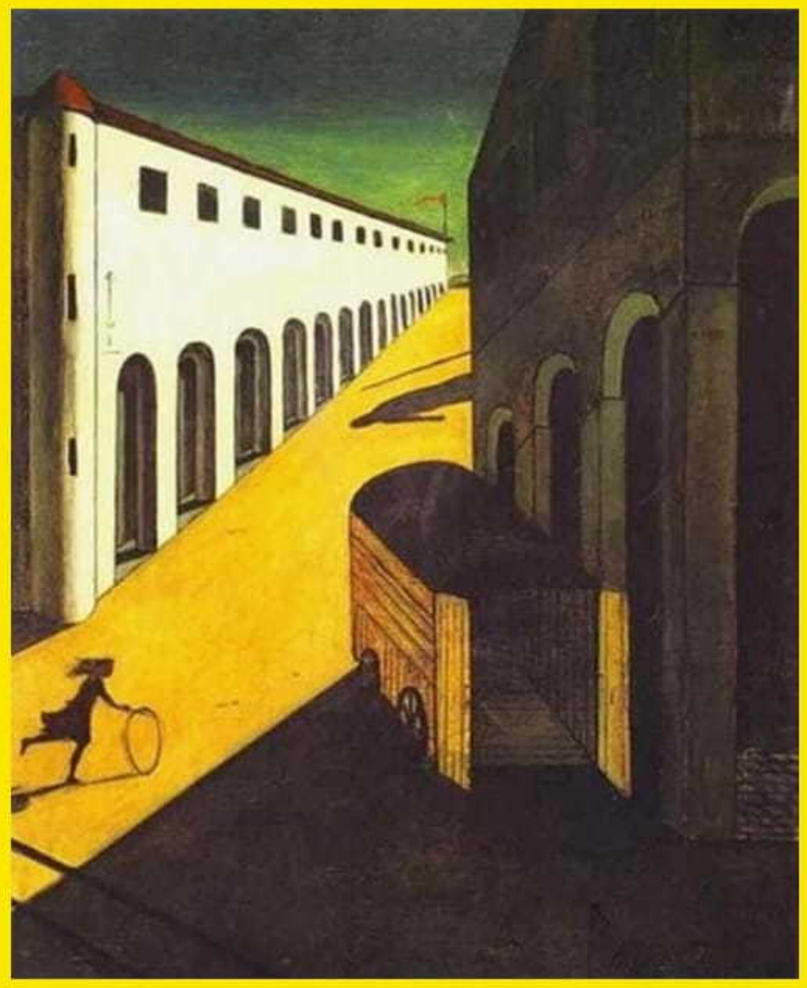
**Kinga Sokołowska** – studentka III roku filologii polskiej. Koneserka wszystkiego, co dziwne w popkulturze. Półoficjalnie recenzentka literatury wszelakiej o dźwięcznym pseudonimie „blok sera szwajcarskiego” (Goodreads).

**Paulina Sokólska** – Twoja przyszła ulubiona minstrelka, o której nigdy nie słyszałeś. Absolwentka polonistyki UG, obecnie na studiach magisterskich na Uniwersytecie Jagiellońskim. Urodzona w 1999 nad morzem; mentalnie – w latach 20, gdzieś na Kresach. Szefowa działu „Proza. W stronę liryki” w AlmanaXie.

**Jan Szopa** - obrzydliwy postmodernista, piszący w Gdyni. Student III roku polonistyki, pracuje jako stróż nocny (BARDZO pisarska praca) i trenuje zawodowo trójbój siłowy. Po przeczytaniu *Consider the Lobster* dwa lata temu stwierdził, że chciałby pisać eseje.

**Oliwia Walijewska**, studentka III roku filologii polskiej. Prozaiczka. „Aquila” to debiut :). Zainteresowania - przede wszystkim literatura dziecięca, *fantasy* i fantastyka naukowa (aczkolwiek ostatnimi czasy największą przyjemność sprawia mi czytanie Marii Janion).

**Milena Zielińska** – jestem osobą fotograferską z Poznania. Aparat to moja prawa ręka i towarzyszy mi przy każdym spacerze, co owocuje mniej lub bardziej zaplanowanymi zdjęciami. Poza fotografią interesuję się także roślinami, grami komputerowymi i socjologią.

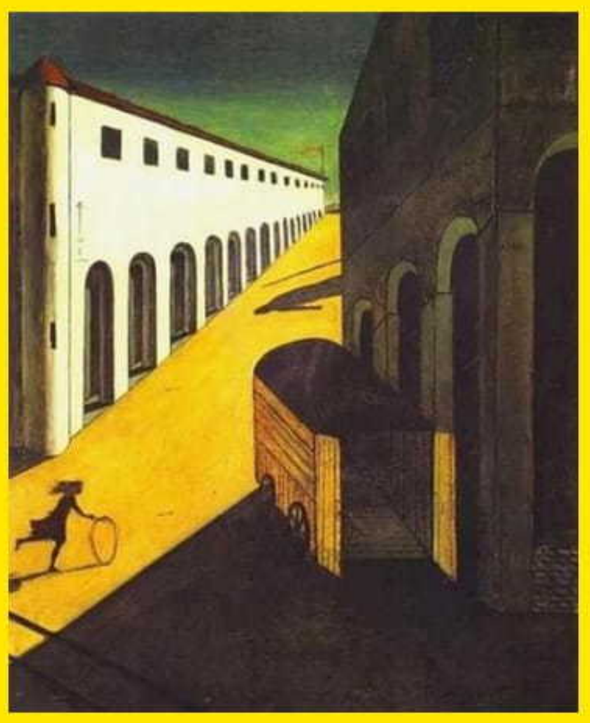


# ALMANAX

# ALMANACH TWÓRCZOŚCI ARTYSTYCZNEJ STUDENTÓW UG

KOŁO NAUKOWE TEORETYKÓW LITERATURY UG

VOL. 2 (2022), NR 2 (LATO)



PATRONAT:

WYDZIAŁ FILOLOGICZNY UG

INSTYTUT FILOLOGII POLSKIEJ UG

Uniwersytet Gdański

Wydział Filologiczny Uniwersytetu Gdańskiego

KOŁO NAUKOWE TEORETYKÓW LITERATURY